

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Eliza Orzeszkowa

Dziurdziowie

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WSTĘP

W ogromnej, wysokiej sali aparat sądowy roztoczył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy, gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstroczinę twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonej dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, z boku pod jedną ze ścian na dwu wysokich i ozdobnych ławach miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę praw, przy drugim sekretarz sądu przerzucał stosy papierów. Urzędnik przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobnym w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie. Wśród wielkiej ciszy, nie zważonej nawet powstrzymywanymi na chwilę oddechami kilkuset piersi, przewodniczący sądowi głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnię, o którą podsądni oskarżonymi zostali. Nie było to przestępstwo, ale była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych, które niekiedy jak sny złośliwe i ponure przesuwają się przed udręczonymi oczami ludzkości. Kim byli, do jakiej społecznej warstwy należeli, jak wyglądali ci nieszczęśni i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki ołówkiem kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim nad wysoką poręczą ławy podniosły się i w pełnym świetle stanęły cztery męskie postacie w więziennych, długich, szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez niskie drzwi, zza których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze bocznej jakiejś sieni. Zdawać się mogło, że wychodzili z otchłani. Niskie drzwi zamknęły się wnet za czterema uzbrojonymi żołnierzami, którzy stanawszy z obu stron ławy zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety w olśniewającym świetle lamp. Pomiedzy lśniącymi ostrzami bagnetów, twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła uwydatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czterej podsądni stojąc w nieruchomych i oczekujących postawach odpowiadali na zwracane ku nim pytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męskie głosy dość wyraźnie, głośno odpowiedziały z kolei:

- Piotr Dziurdzia.
- Stefan Dziurdzia.
- Szymon Dziurdzia.
- Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnej jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzi, który nie tylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swej wiosce ważny w społecznym życiu chłopów urząd starosty.

Teraz pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinieni zostali?

Znowu cztery głosy z kolei ciszej lub donośniej, lecz zawsze wyraźnie odpowiedziały:

- Przyznają się.

Przyznają się. Nie ma więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnię. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletariatu żyjącego w trującej atmosferze palących zawisłości i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry boże niosą rzeźwość i zdrowie... posiadacze, którym ziemia własna rodzi bujne kłosa... pracownicy, których uznojone czoła równać się mogą

w powadze i czystości czołom uwieńczonym wawrzynem. Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy kiedy jeszcze w kolebkach byli, geniusz zbrodni napoił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca ani sumienia, ani w piersiach swych żadnej z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mazołem ludzkość wypracowała w swym łonie? Byliż to może szaleńcy, idioci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach: zgodności pomiędzy nimi a tym, co popełnili, dostrzec nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idiotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzia, był wysokim, dość szczupłym i już niemłodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe, siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierz więziennej opończy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu twarz jego, blada nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe, zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wąsem drżały trochę, na wąskim czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek, a siwe, zamysłone oczy spod brwi wypukłych i gęstych wodziły dokoła powolnym, poważnym i bardzo smutnym wejrzeniem. W chwili gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzec zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane pytania, splecione ręce złożył na poręczy ławy i oczy wzniosł w górę. Wówczas w twarzy jego zjawiono się coś marzycielskiego, coś, co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła i tak już ze splecionymi rękami, poważny, łagodny, bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra był stryjeczny brat jego, Stefan. Wysoki także, ale barczysty i bardzo wyprostowany, brunet z czarnymi jak noc włosami i czarnym, bujnym wąsem, byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopca, gdyby nie szczególne i uderzające przedwczesne zestarzenie twarzy. Nie miał jeszcze lat czterdziestu, a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobna by na nich znaleźć najmniejszego gładkiego miejsca. Przy tym mogło się zdawać, że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlekł ją ciemną, prawie brązową cerą. Widocznym też było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz że zmięły ją i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgryzoty. Była to twarz ponura i zrozpaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana posepnie, lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energia, której zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionej, gwałtownej popędliwości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Niski, chudy, z wełnistym, splątanym włosiem, który mu czoło całkiem prawie zakrywał, z otwartymi nieco ustami i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, bardzo widocznym nadużyciem alkoholu ogłupiony i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego z bladobłękitną źrenicą pływały w chorobliwej wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, ogłupiały, nie wiedział, co począć z rękami, które splatał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przy tym ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym, bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym, był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdzi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnymi jak niebo oczami, wydawał się makiem polnym, bujnie wśród pola wyrosłym, i tu w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przenikniętą światłem sztucznym i grozą wążących się przeznaczeń gwałtownie przesadzonym. Panującym uczu-

ciem, które malowało się na młodzieńczej i jak zorza świeżej jego twarzy – był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku niemu spojrzenia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu wymawiając wyraz: „Przyznaję się!” i rumienił się potem za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyslał się i daleko, daleko kędyś patrzył. Wtedy do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu młoda ciekawość przewyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy spod powiek nieśmiało, ale chciwie przypatrywał się wszystkiemu, co go otaczało, a o czym pod strzechą swoją ani nawet śnił kiedy. Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosy otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata: takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesoły festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sądzić mają. Jak osądzą? Bóg to jeden wie. Za tymi ścianami wiatry boże wieją, ku jego wiosce rodzinnej lecą, ku tej chacie lecą, gdzie stara matka z załamanymi rękami została, ku temu polu lecą, które on orał już od lat paru, kiedy słońko świeciło jasno, zioła pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak, jak teraz, gdy kołace w piersi ze wstydu i trwogi, niby na porzebie bijący dzwon...

Więc to ci czterej ludzie popełnili tę zbrodnię przerażającą i ponurą jak sen zimowej, burzliwej nocy? Była to też wtedy zimowa, burzliwa noc... Ależ dlaczego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i poszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych później a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego odsłoniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historia następująca.

I

W Suchej Dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosięgający. O co tak bardzo szło mieszkańcom tej wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów dość malowniczo rozciągniętej pośród pól z lekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów? Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy nimi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakowało i takich, które świeciły białymi kominami, sporymi oknami i porządnymi ganeczkami opartymi na słupkach i zaopatrzonymi w wąskie ławeczki do siedzenia. Te pola falujące i gajami zwieńczone miały pozór żyźności i niezłej uprawy, za nimi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk, w ogrodach gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba kiedy niekiedy i tylko do najuboższych chat: najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nie tylko chleba, a nawet mleka i miodu, a może i groszy nie brakowało. Jakież więc niepokój wstrząsnął w ten piękny wieczór letni mieszkańcami tej wioski? O czym gromada bab przed jednym z najdostatniej wyglądających domostw zebrana gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niej zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych? Dziewczynki od lat siedmiu do czternastu, w sinych spódniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytymi w czerwonych chusteczkach, spod których wymykały się kosmyki jasnopłowych włosów, stanęły pod płotem długim szeregiem i splótłszy na spódniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy napełnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach zachodzące słońce rozżarzało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykulowały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płotem. Bosi także, jasnowłosi, w szare płótno odziani, wciskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesole, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za fartuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy; jeden z młodszych, pięcioletni może, w długiej do stóp koszuli, z wypukłym brzuchem i opuchłymi, żółtymi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnymi błękitnymi źrenicami patrzył nieruchomo w twarz swojej matki, a płaczącym, przeciągłym grosem od chwili do chwili wołał:

– Ta... ta!

Na wąskim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci, panował także gwar ptaków, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniej i ciszej od niewiast mówiących. Jeden z nich u wrót stajenki przyklekawszy siekierą rozszczeptał kłoc drzewa na drobne drewnienka, a tak bardzo pogrążonym był w tej robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgiętymi plecami chłop ten, niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był to jeden z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchej Doliny, właściciel tej chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, dalej stryjeczny brat Piotra, ale wcale doń niepodobny, Stefan, w wymowie chłopów Stepan, Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałej, zmiętej i jakby spalonej twarzy; dalej jeszcze stał także Dziurdzia, imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdym odetchnieniem wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczów krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki, ona też może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodzielowe

kapoty i grube, ale dostatnie, aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcej i mniej ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tym, co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechami na ustach i wyrazem żywej ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyncze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z ferworu wielkiego aż przysiadła czasem ku ziemi albo rękami uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które odwracając się, spieszenie je odpychały i dalej swoje prawić zaczynały aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższemu i najprzeróżliwszemu dźwiękom ludzkiej krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich ku dziedzińcowi chaty zwracając się zawołała:

– Pietruk! hej, Pietruk! Skończysz ty kiedy czy nie? A to słońce zajdzie i psy, nie ludzie, po polach chodzić będą!

– Pora i d z c i (ić), dalibóg, pora! – chórem powtórzyło kilka piskliwych kobiecych głosów.

Inne dodały:

– Czy wam nie wstyd, Pietruk, tak marudzić? Oj! m u s z c z y n a (mężczyzna) niby to silny! A baba prędzej by tych trzasek naszczepiła jak on... gospodarz wielki!

Piotr Dziurdzia wykrzykników tych ku niemu zwróconych jakby nie słyszał, ani głowy podniósł, ani ustami poruszył. Rozszczepiał wciąż i odszczepiał polana na cienkie drewnianka z taką powagą i uroczyością, iż zdawać się mogło, że tuż, tuż przeżegna się i robotę swą przeżegna, tak była dlań ona ważną i niemal świętą. Dwaj w pobliżu niego stojący chłopci jednocześnie stryjecznego brata jego, Stepana Dziurdzie, zapytali:

– Nie ma! no i ani troszeczkę nie ma?

Zmarszczony, zgryziony Stepan odpowiedział:

– Tak, jak nic nie ma! Kropelkę z siebie puści i żeby ją zabić więcej już nie da! Dziecku, jak rozkrzyczysz się, nie ma czego w gębę wlać...

– A-a-a-a! – głośno i przeciągle dziwili się pytający.

– A wprzódy jak było? – zapytał ktoś z boku.

– Wprzódy – odpowiedział chłop – bywało i więcej jak garniec dadzą...

– Dwie?

– A dwie.

– To tak jak i u mnie! – zauważył mizerny Szymon – jedna tylko, a bywało, z garniec da...

Chłopi trącili się łokciami i wejrzeniami ukazali sobie wzajem ponurą twarz Stepana.

Przy tym ozwał się żartobliwy głos jakiś:

– Oj, biedaż tobie, Stepanie! Toż to tam teraz u ciebie piekło gorące...

Inny z grubym śmiechem dodał:

– Jaż wczoraj słyszał, jak t a j a (ta) wrzeszczała w swojej chacie jak o c z y n i o n a (opętana)...

– Kto? – zapytał ktoś z boku.

– A Rozalka, Stepanowa żonka...

– Oj, zła baba, to zła... jak ogień... – dodał jeden z rozmawiających.

Stefan niżej jeszcze pochylił głowę i milczał.

Zza wrót doleciał jeszcze znowu ten sam co wprzódy głos niewieści, tylko jeszcze piskliwszy i więcej rozgniewany niż wprzódy:

– Pietruk! oj, Pietruk! skończysz ty kiedy czy nie?

Kilku spomiędzy mężczyzn zaśmiało się chórem.

– Ot, jak Stepanowa żonka h o ł a s i ć, pilno jej wiedźmę łapać! Hej, Pietruk, c h u t k o (prędka) i d z i! bo baba jak po swojemu rozgniewa się, to bieda będzie... już ty jej nie poradzisz... wybije!...

Piotr Dziurdzia siekierę oddał jednemu z synów, aby ją do chaty zaniósł, a sam z kłęczek powstał, nie dlatego zapewne, aby przeląkł się gniewu Stepanowej żonki, ale dlatego że już robotę swoją ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewniaków. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki poodrywały się od płota i podchodziły doń z wolna, chłopcy jak żrebięta, skakali dokoła niego wierząc i wrzeszcząc.

– Won! poszli! – krzyknął Dziurdzia na dzieci, które też rozbiegły się na wsze strony, ale w pobliżu stanawszy przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedną z bab, tą, która właśnie rej pomiędzy wszystkimi innymi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarnym pałającym okiem, Rozalka, Stepanowa żona, wyskakując naprzód i rękami za biodra swe chwytając, z niezmiernym zapalem do Piotra zawołała:

– A osinowe drzewo?

– Nu, a jakież? – pogardliwie odrzucił poważny chłop.

– Czy pewno osinowe?

I zaczęła dalej prędko i z zawziętością trzepać językiem:

– Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe... P r y s i a h n i j, Pietruk, że osinowego drzewa narąbał, p r y s i a h n i j, t u t - ż e z a r a z p a l c e n a k r z y ż z ł ó ż i p r y s i a h n i j, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia targała rękaw i poły samodziłowej kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyski, które chwytając ją za ramiona i koszulę zapalczywość jej powściągać próbowały. Spróbował uczynić to i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się: ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i byłaby upadła, gdyby nie płot, o który oparła się ręką. Wnet przecież szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka, przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i, w najmniejszym stopniu nie zajmując się nim dalej, biegła znowu za Piotrem drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając:

– A osinowe drzewo? Pewno osinowe?... P r y s i a h n i j, Pietruk, że osinowe...

W gromadzie postępującej za Piotrem wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Do policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonością, ani się dotknął ale ciemna i gruba skóra jego twarzy sfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobna by wynaleźć na niej najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzony oczy wlepił w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydział się może i wrzał cały.

– W s t y d n o! – rzekła głośno niemłoda i widocznie schorowana, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdostatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniej krzycząca. – Ja z moim wiek przeżyłam, synów pohodowałam, że wyrosli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

– W s t y d n o! – powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów, na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

– T a k i j z n i e g o m u ż y k? B a b i e p r z y w o d z i ć p o z w a ł a! j a b y j a...

Nad tym gwarem słów i śmiechów wzbili się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jej nóż do gardła przykładano:

– A osinowe drzewo? pewno osinowe? p r y s i a h n i j, Pietruk, że osinowe...

Stary, niski, chudy chłop, którego zwano Jakubem Szyszką, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwość co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości wprawiała, i z powagą przemówił:

– Nie d u r y ś, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nie-szczęście... i ja chcę tej wiedźmie przeklętej w oczy zajrzeć... czy ja by zgodził się, żeby drzewo insze było jak osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i cofnąwszy się nieco od Piotra, spiesznym i nierównym krokiem, zwykłym istotom gwałtownym i niespokojnym, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu gromada malała. Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy tylko co z pastwiska przygnane, drżącym, jęklwym głosem odzywały się owce, nie wyprężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich pośpiechem i ciekawością znać pobudzani opuścili. Tu i ówdzie ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małymi oknami złote jego blaski, na wieczерzę zapraszając, głód przypominały. Mężczyźni tedy i kobiety odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców albo we wnętrzach domostw znikali. Przedtem jednak zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanymi a całą myśl ich mającymi streścić wyrażeniami.

– K a m e d i j a! – wzruszając ramionami mówili jedni.

– Niech t u j u k a m e d i j u lichu porwie! – sierdziście odpowiadały kobiety. – H e t o bieda jest, z h r y z o t a, u t r a t a wielka, a nie k a m e d i j a...

– Ciekawość! nu, ciekawość, kto h e t a wiedźma?

– Przyjdzie ona na ogień czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne, męskie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzien, u których dziewczęta przy skrzypie żurawi wodę czerpały.

– Przyjdzie ona na ogień czy nie przyjdzie?

Najstarsi odpowiadali:

– Czemu przyjść nie ma! Z a d z i d ó w, p r a d z i d ó w naszych przychodziła, to i teraz przyjść musi...

Tymczasem Piotr Dziurdzia szedł wciąż naprzód krokiem powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojej chaty włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy starą czapkę zniszczonym futrem baranim oszytą. W długiej kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w tej czapce, której strzępy zwisały mu nad gęstymi brwiami, z grubą więzią drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściągłej, krótkim zarostem otoczonej nie był wcale ponurym ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślonym, prawie uroczystym. Milczał jak grób, patrzył wprost przed siebie siwymi oczami, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Można by przypuścić, że w głębi duszy swej odmawiał on w tej chwili żarliwe pacierze. Tuż za nim szli dwaj jego synowie, rośli, jasnowłosi, z otwartymi i wesołymi twarzami parobcy; dalej, nisko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stepan, obok którego włókł się w obdartym odzieniu swym i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia i bardzo poważnie stąpał stary, niski, siwy Jakub Szyszko. Z kobiet pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna z wesołą miną wciąż na młodego Klemensa Dziurdzie zerkająca, i na niej kończył się już ten pochód. Dzieci wszystkie, tak dziewczynki, jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono i jeden ów tylko czteroletni chłopczyna w koszuli, z wyдутym brzuchem i nabrzmiałymi policzkami odpędzić się nie dał. W kilka kroków za idącymi prędko, prędko swymi małymi, bosymi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i bruzdach wiejskiej ulicy i od czasu do czasu płacząco, przeciągle wołał:

– Ta... to!

Ludzie jednak składający pochód na to dziecięce wołanie żadnej nie zwracali uwagi. Tu i ówdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkim gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tętentem

licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siadały na płotach; przez wrota pootwierane wybiegały żółte, czarne i pstre kundle, a poznawszy swoich ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami, słońce już wnet zajęść miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie nietrwałe, różowe łuny. Rubinowe zaognione przed chwilą szyby okien bladły i gasły, natomiast coraz częściej złościł je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami, wprzód rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami ciemne, gęste chmury półkolem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialnym. W pobliżu ostatnich, lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie liliowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywana zmrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ściernisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piaszczysta białość dróg przerzynających pola. Mniej niż o wiorstę od ostatnich domostw wioski cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga falując wraz z falującym gruntem przepadała kędyś w niedoścignionej dla oka oddali, trzecia, prosta i gładka, końcem długiej swej taśmy znikała w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i ówdzie wierzbami i dzikimi bzami osadzona, kończyła się u płotu otaczającego chatę w pewnej odległości od wioski zbudowaną, samotną, ocienioną kilku starymi drzewami. W pobliżu tej chaty widać było budowę niewielką, niską, bez okien, w której od razu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznalby kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się one w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole wystrzeliwał stary, wysoki krzyż. Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wąskim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia Piotr Dziurdzia stanął i ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, po czym wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spojrzął i z kieszeni kapoty hubkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało też pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się oni wszyscy w ściśniętą gromadkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkim, co nie było tą szczególną czynnością, dla której tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wąskie usta, żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wlecieć by w nie mogło; Jakub Szyszko wyprostował się i tak uroczyście przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym niż zazwyczaj; wnuczka jego, hoża ta dziewczyna, która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdzie zerkiała, teraz ze zmieszaniami ciekawości i przerażenia na twarzy ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła. Ładny parobek, najmniej spomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, w pół z przyjemnością, w pół z urąganiem. Zdawało się, że i hożej France, i temu, co się przed oczami jego działo i dziać miało, trochę urągał. Wtem Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewnienek buchnęła ogniem. Cztery kobiety jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły:

– O Jezu!

Dlaczego ogień tak bardzo przeląkł je czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącem jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież wyglądały tak, jak gdyby nigdy w życiu swym ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu: „O Jezu!”, a potem Stefanowa zawiodła dalej jeszcze:

– O Jezuz mój, Jezu najmiłosierniejszy!

Piotrowa wdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wdychała. Franka zaś w obie garście pochwyciwszy ramię Klemensa tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciem rzucił i wzgardliwie ją oburknął:

– O t c z e p i ś! Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz!

Kleszczem nazwana dziewczka nie odczepiła się jednak i przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniej w samo ucho półgłosem mu jęczała;

– Oj, Klemens, Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens!

Mężczyźni milczeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały lub szeroko pootwierały i oddechy w piersi powstrzymując czekały. Czekali wszyscy... na co? Na skutek ognia, który żółtą strugą obejmując osinowe drzewo palił się zrazu nisko przy ziemi, potem płomienistymi języki strzelać zaczął coraz wyżej.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem i tylko jeszcze wypływająca zza niej blada, złota luna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i w dali umilkły; od wioski dochodziły poszczekiwania psów i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnej z dróg, w cztery strony rozchodzących się od krzyża, żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednej z nich drzwi kuźni rozpały się czerwono i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potem przez długie kilka minut nie odezwał się już i młot kowalski; w niskich wierzbach za to, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę razy płacziwie zaskomlił lelak. W gromadzie ludzkiej tłoczącej się u ognia, przy omszałym kamieniu i naprzeciw krzyża roznieconego, męski, świeży głos głośno i wyraźnie wymówił:

– Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrzeni się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

– Co takiego? co takiego? co ty gadasz? – zaterkotała Stefanowa.

– Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie? – z nogi na nogę przestępując powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zajęczała:

– Oj, Klemens! Klemens!

Ale siwy, chudy, niski Jakub Szyszko uroczystym głosem rzekł:

– Za d z i d ó w, p r a d z i d ó w naszych przychodziła, to czemużby i teraz nie miała przyjść?

– A-le! – powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniej trochę śmiało niż przedtem zauważył:

– Może jej ze wszystkim na świecie nie ma?

– Kogo? – wrzasnęła Stefanowa.

– A więdźmy... – wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom wybuchnęła burza. Stefanowa porwała się obu rękami za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

– Więdźmy nie ma? – krzyknęła – a dlaczegóż mleko u krów przepadło? ha? dlaczego przepadło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, to spytajcie się rodzonej matki czy nie przepadło?... I u Szymona spytajcie się, i u Jakuba, i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeczki nie ma... dziecku w gębę wlać czego nie ma... a on mówi, że więdźmy nie ma... Oj, dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, h a r a t y k u taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewieścich Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcej, zda się, dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

– Więdźmo! susza taka, że niech Pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi sam celebrujący w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął:

– H o d z i, Klemens, kiedy nasze d z i d y, p r a d z i d y w h e t o wierzyli, musi h e t o

p r a u d a. Nie b r e s z y (szczekaj) darmo i czekaj. Może cud boski okaże się nam niegodnym, a t a j a, co nam t a k u j u k r y u d u zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad którymi wzbił się jękliwy, donośny, zapalczywy głos Stefanowej:

– A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakub Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym gestem i znowu w gromadce i dokoła niej zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelak, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi dziecięcy, słaby, zmęczony głos zapłakał:

– Ta... to!

Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchym, swarliwym sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wyдутym brzuchem, nabrzmiętymi policzkami, palcem pograżonym w ustach i błękitnymi oczami pełnymi łez. Był to syn jego i Rozalki, jedyny. Ze swarliwym sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bose stopy jego, mokre od wieczornej rosy, połą kapoty swojej osłonił. Dziecko blade i obrzękłe głowę na ramiona ojca pochyliło i wnet oczy przyknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzywa się stuk młota; echo powtarza go w najbliższych gaju, w ciszy powietrza ogień pali się z wolna, lecz coraz wyżej. Piotr rzucił weń jeszcze sporą więź drzewa (Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: „Czy osinowe drzewo? czy pewno osinowe?“, lecz lęka się trochę Piotra i starego Szyszki, więc milczy i tylko niecierpliwie obu rękami fartuch swój targa), płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący naprzeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżej aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrzawszy krzyż nagle w złości stojący wszyscy obecni bez wyjątku pochylili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W tejże chwili za paru wzgórzami, na drodze, która falując po wzgórzach przepadała w dalekich przestworzach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłośne śpiewanie. Po uciszonych przestrzeniach, po pustych polach, po drzemiącym świetle śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecym był, silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłosne słowa pieśni:

– *Czerez reczeńku, czerez bystruju*
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czerez bałoto, czerez źródeńko
Chodzi do mienie, moje serdeńko.

Na twarzach gromadki stojącej przed ogniem i naprzeciw ozłoconego krzyża odmalowały się zmieszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nade wszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek Klemens szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił, aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

– Idzie! u ż e idzie! – szepnęły kobiety.

Franka ze strachu przed wiedźmą na ziemi przysiadła, z całej siły przy tym trzymając się obu rękami kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka, zbliżając się coraz, śpiewała dalej:

– *Hdzie ty, dzieuczyno, myślami błudzisz?*
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?

*Oj, znaju, znaju, kaho kachaju,
Tolko nie znaju, z kim sia zwieńczaju!*

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzały.

– Kowalicha (kowalowa) czy co? – szepnęła żona Piotra.

– Ale! – odszepnęła żona Szymowa – nikt h e t a k nie ś p i e w a j e, tylko ona!

Stefanową od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzekła nic, tylko prędko, z urągliwym wyrazem w oczach, które jak żuźle zapłonęły, obejmowała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał poprzez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, której głos tylko uszu jego dolatywał. Przy czym od wyprężenia mięśni wyglądała się całkiem ciemna skóra jego twarzy i tylko czoło zmarszczone, zmięte rzucało na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła postać kobieca, której rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc dalej pieśń swą śpiewała:

*– Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozćwietajuć drobne listoczki,
Tam ja chadziła i hawaryła,
Sudzi mnie, Boże...*

Nagle głos śpiewającej urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i jak w ziemię wryta stała. Teraz przy ostatnich światłach dnia i mieszających się z nimi blaskach płomienia postać i twarz jej uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młoda jeszcze była, wysoka, silną i kształtną. Spod wysoko podniesionej sianej spódnicy widać było silne i nagie jej nogi bosymi stopami tonące w gęstej trawie. Oprócz sianej spódnicy miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takim mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się zeń one na jej spódnicę i czepiając się wzajem aż ku ziemi spływały. Były to liliowe cząbry i brunelki, koniczyzny różowe i białe, gwiazdziste rumianki, błękitne cykorie polne. Oprócz tego w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtej dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jej okrywał i że nad nim widać było tylko głowę jej wpółosłoniętą czerwonawą chustką, spod której ze stron wszystkich na grubą koszulę, ogorzała szyję i wąskie, gładkie czoło wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splecionych i bez połysku. Wpółosłonięta kwiatami i włosami twarz jej wydawała się grubą i pospolitą, ogorzała, rumiana, z wiśniowymi ustami, wypukłymi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwójgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Tak z nagimi nogami zaróżowionymi od blasku ognia, z mnóstwem kwiatów wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconymi włosami i błyszczącym, śmiałym, śmiejącym się spojrzeniem stała ona tuż pod krzyżem, który teraz stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jej wyszedł, brzmiał gapiowatym trochę zadziwieniem:

– Aaaa! – rzekła – co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała:

– Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potem skinęła głową i z zupełną już świadomością dokończyła:

– Aha! mleko u krów przepadło.

I kołyszac głową w obie strony, przeciągle, zadziwiła się znowu:

– Aaaa! umum! dziwy to, dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w tej chwili w jedną duszę, która całą siłę swego myślenia, czucia, wzroku i

sluchu niby ostre żądło w tę kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niej szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok Stefanowej rozpalony i pełen zjadliwych uśmiechów szybko przenosił się z twarzy kobiety stojącej pod rozplómiennym krzyżem na twarz męża, która szczególnie przybrała wyraz; mętny uśmiech wewnętrznego niby lubowania się rozlał się po niej całej i stał z niej całkiem zwykłą ponurość zastępując ją głupowato wyglądającym, lecz na wskroś przenikającym go zachwyceniem. Patrzył tak, jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć natrzeć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu.

– Cóż? Czy już przechodziła?

Nikt nie odpowiedział. W błyszczących i śmiejących się jej źrenicach mignął niepokój.

– Cóż? – powtórzyła – widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi:

– A b o n i e w i e d a j e c i e, że która pierwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.

– Nu – tonem głębokiego przekonania odparła kobieta – żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męskie, z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakuba Szyszki, odpowiedziały:

– Ty.

A w mgnieniu oka potem, niby raca z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos wszystkimi tonami namiętności doprowadzonej do furii i żalu jakiegoś graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz:

– Ty, ty, ty, ty!

Nic nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsła się od stóp do głowy, a z palających jej oczu toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i tupiąc nogami, wygrażając pięściami, krzyczała:

– Ty, ty, ty, ty!

– Ja? – wymówiła kobieta stojąca pod rozplómiennym krzyżem i opuściła ramiona tak, że żółte dziewanny i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jej bose stopy.

– Ja! – powtórzyła i załamała na spódnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jej wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciutką chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jej policzkach, po czole wąskim i ustach rozwartych drgać poczęło mnóstwo figlarnych, wesołych uśmiechów, aż zwyciężywszy zdumienie i przerażenie, śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jej piersi. Jak przedtem pieśń, tak teraz śmiech jej rozlegał się po drodze i polu szeroko, dźwięcznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś na kształt naiwności dziecka i niezmaconej wesołości ptaka.

– Ja! ja! – wołała wśród śmiechu – ja pierwsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie, co wy wymyślili! czy wy z d u r e l i! (z głupieli), czy wam pomieszalo się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

– Pfu! – zawołała – taką b r z y d k ą rzecz na chrześcijańską duszę powiedzieć! Czy wam nie wstyd?

Schylona zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potem wyprostowała się i tuż koło gromadki przechodząc rzekła jeszcze:

– Stójcież tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie ukazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tym, co ją od nich spotkało, całkiem już zapomniała, żwawym krokiem poszła drogą wiodącą ku samotnej chacie i czer-

wono błyszczącej obok niej kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pieśni wiejskich:

*Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku,
O, jak związuć białe ruczki,
Nie rozwiązuć do wieku!...*

Ludzie pozostali u ognia stali z pochylonymi głowami w milczeniu, które pierwszy prze-
rwał Piotr Dziurdzia:

– Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą...

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa poskoczyła i przed mężem trzy-
mającym w objęciu dziecko stanęła. Obu rękami trzymając się za biodra, naprzód pochylona,
z wlepionymi weń oczami, przez zaciśnięte zęby wymówiła:

– Wiedźma kowalicha! wiedźma miła twoja! Wiedźma twoje serdeńko najmiłsze!

Zdawało się, że trzy te wykrzykniki niby trzy policzki w twarz mu rzucała. On głowę swą
ku głowie uspiętego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniej, ani
więcej niż zwykle. Żony jakby nie widział i popędliwych, gwizdzących słów jej jakby nie
słyszał. Sam do siebie z cicha mruknął:

– To ja już dawno wiedział, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i zwrócona w stronę, w którą poszła
kowlowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad czymś rozmyślała. Ogień nie podsyca-
ny przygasł i blaski jego spelzły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki,
czarny, niemy. Ludzie, którzy niby motyla na świecę złapali wiedźmę na ogień rozniecony z
osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak, dumali i słu-
chali, jak przy drodze wiodącej do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach coraz częściej jęczały i
łkały lelaki. Para goniących się nietoperzy krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko
upadła. Na drodze wiodącej do kuźni rozległ się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiecy wy-
śpiewujący drugą strofę skocznej pieśni:

*Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok,
Pacierąła lata młode,
I swój tonki hałasok.*

Śpiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młota, a
przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń coraz gęstsze roje czerwonych
iskier. Śpiewająca kobieta przyśpieszała kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od sa-
motnej chaty, z napełnionego jaskrawym światłem wnętrza kuźni ozwał się męski, basowy
głos, który przy nieustającym stukaniu młota połączył się z głosem niewieścim i donośnie,
wesoło zawtórował trzeciej strofie pieśni:

*Hili, hili, szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacieła idźci za muž,
Ciepier siedzi i dumaj!*

II

Oj, dawno już, dawno mieszkańcy Suchej Doliny podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepej Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez niejakich stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia niejasne i przez nikogo głośno nie wyrażane, ale pochodziło to tylko stąd, że wśród niezliczonych trudów i trosk powszedniego żywota nie zajmowano się nimi bardzo, i stąd jeszcze, że nikt nie posiadał jasnych dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek cokolwiek złego. Niemniej podejrzenia te, w stanie związkowym wprawdzie i głuchym, istniały. A jakżeby mogły nie istnieć, skoro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako też pewne jej postęпки i cechy charakteru wyjątkowymi były, to jest niezupełnie takimi, jak wszystkich innych mieszkank Suchej Doliny. Te wszystkie inne, na przykład, rodziły się w tej wiosce przed oczami ludzi, tak że ludzie pamiętali ich chrzciny i dziecięce lata; następnie, po wyjściu za mąż, żyły one w chatach nie samotnie wśród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych, tak że w jednej wybornie widać i słycać było wszystkie sprawy i sprawki drugiej, a życie ich upływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już której natura była i Pan Bóg dał, ale tak jak Pietrusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła za mąż i nie żyła żadna. Żadna też nie wiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Skąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepej babki swojej, Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu skądś z malutką wnuczką i wtedy, jeszcze ślepą nie będąc, prosiła u ludzi o pracę jak o łaskę, a otrzymawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u najdostatniejszych gospodarzy Suchej Doliny, to w pobliskich dworach, Pietrusię swoją na dorosłą dziewczkę wyhodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oslepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko wgramoliwszy się omackiem na piec kądziel i wrzeczono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

– Teraz ty duża i, chwalić Boga, silna. Możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtej kości wyrzeźbił, i z oczami zaszłymi jakąś białą polewą. Nos miała długi i spiczasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodziewek jej był tak mały, że można było uwierzyć, że zarobi nań sobie, na pamięć przędząc. Samodziałowa sina spódnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnej bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów wydobywając się spod niego otaczało jej czoło. Jakby na dowód, że to, co mówiła, prawdą było, na piecu siedząc jedną ręką do kądzieli podniosła, a drugą z wrzecionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nic a nic, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak spod palców jej wywijala się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszymi oczami wyprząść by taką niełatwo. Od chwili do chwili palce ślinała i nieć długą, równą, cienką snuła; w żółtej i jakby z kości wyrzeźbionej jej ręce wrzecionem kręciło się, furczało; wyschłe jej wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzeć w twarz wnuczki i mówić:

– A co? widzisz? ja, choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj, a na przyodziewek sama zarobię.

Pietrusia, siedemnastoletnia podówczas dziewczka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i oczy mając pełne łez już-już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak widząc, że babka nie płacze, lecz, owszem, uśmiecha się trochę i wrzecionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jej ucałowała i rzekła tylko:

– D o b r e, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od maleńkości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama płaksiwą nie była, i babka po głowie ją pogłaskawszy zaraz rzekła:

– Nu, c i e p i e r (teraz) do roboty i d z i. Nie ma czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś n i e d u ż a (słaba), krów sama nie podoi i świń nie nakarmi. Idź krowy doić i świnię karmić.

Poszła i niby żwawy duch skrzętności uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdzi, którego żonka chorowała wtedy albo niedomagała przez lat kilka, a że córki w domu nie było i synowie, pacholętami zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecym za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzód, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia. Piotr był gospodarzem dostatnym i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nienajgorzej. Jak wprzód Aksena tak teraz Pietrusia robiła wszystko, co należało, z gorliwością kobiet, które nic a nic na całej ziemi bożej nie posiadając, ludziom, którzy coś posiadają, z całych sił zasługiwać się muszą; zasługiwały się też one, jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nie tylko pracy niewieściej, oszczędzającej i przysparzającej dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co, nie będąc do życia niezbędnym, uprzyjemnia je przecież i rozwesela. Dwie te kobiety, z których jedna bardzo starą i ślepa, druga młodziutką, żwawą i wysmukłą była, napelniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszej okolicy właściwe i te, które Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytuliła się wraz z dzieckiem i wszystko, co miała, mieszkańcom Suchoj Doliny oddała. Bajki z różnych stron pozbierane, w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni, choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoją, której żywiołami rodzinnymi zdawały się być: ruch, śmiech i śpiewanie. Skąd u tej sieroty i tułaczki ubogiej wzięła się żywość i wesołość taka, że porównać by ją można do ustawicznie tryskającej przejrzystej wody źródlanej? Trudno powiedzieć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obojścia się nie zaznała nigdy. Osłaniała ją przed nim babka, ludziom zasługując się na to, aby jej nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając, jak podróżujący w noc ciemną przepadałby za jedyną gwiazdą, która by przyświecała jego samotnej i kamienistej drodze. Wszystkich swoich na kamienistej swjej drodze Aksena potraciła; córkę, która urodziwszy Pietrusię wkrótce potem umarła; zięcia, którego z tej ziemi zdmuchnęło technienie zarazy; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młocarni umarł w szpitalu; syna, który poszedł do wojska kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczył się może i w turmie zgnił albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi straciła ona jeszcze jedną rzecz swoją: mianowicie wioskę rodzinną, która piaszczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapotrzebowała, dać jej nie mogła. Nie z własnej woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy. I któż o tym wszystkim wiedząc zaprzeczyć by mógł albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niej tą jedyną gwiazdą, która przyświeca ciemnej i kamienistej drodze podróżnika. Toteż nie biła jej ona i nie łajała nigdy. Wprawdzie pocałunkami i pieszczotami obdarzała ją bardzo rzadko; po prostu, nie miała na nie czasu i zawsze zmęczona fizycznie, z twardymi muskułami i silnymi nerwami swymi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki strawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim ją czysto i cało nie przyodziła; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała; w niedziele i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jej różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiej stronie rodzinnej, o czartach, upiorach, zbójcach i – aniołach,

które sieroty strzegą i nad nimi srebrzyste skrzydła swe roztaczają. Pietrusia czuła się otoczona skrzydłem anielskim i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała:

– Ona jak ten anioł nade mną...

Lecz nigdy rozpoczętej mowy nie kończyła. Wyrazów jej brakowało czy też wstyd ją ogarniał, że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milkła, powieki z długimi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach kręciła. Ale mieszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niej bardzo prędko. Ani w smutku, ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota; pracując przyśpiewywała sobie, jedząc nawet gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jej natura. Po zupełnym oślepieniu babki na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jej prędko przeszło. Aksena nie skarżyła się wcale, owszem, po całych dniach i wieczorach na piecu siedząc spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jej wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jej nic osobliwego. Pietrusia nosiła jej na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wyławiając. W ręce ślepej, które wyciągały się po żywność i w powietrzu błędziły, łyżkę i chleb wkładała tonem namowy mówiąc:

– J e s z (jedz), babulu, j e s z sobie, ja miskę potrzynam.

Każdej niedzieli z rana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w rękę na piec włożyła i przez całe pół godziny trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie myła i szorowała twarz jej tak gorliwie, że przez parę dni potem błyszczała ona zupełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawej i wypolerowanej kości. Potem na białe jej włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonej lub czarnej, a jeśli kiedy, w sobotę więcej niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarniowała lub wąziutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głowę, językiem o podniebienie uderzając i powtarzając:

– Ot, jak ślicznie! oj! jak ślicznie!

Czerwonym garniowaniem albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz starej ślepych oczami swymi zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepca swego, stara pytała:

– A skąd wzięłaś galonik?

– Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam, żeby kupił.

– A skąd h r o s z e miałas?

– Z lata jeszcze schowałam, kiedy to żać chodziłam do dworu.

Stara milkła. W głosie wnuczki słyszała szczerłość. Ale po chwili zapytywała znowu:

– A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczała dziewczyna odpowiadała:

– A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłej niedzieli mówiła.

– Stepan Dziurdzia? – tonem zapytania szeptała stara.

– Ale!

– A więcej kto?

– Toż ja mówiła! Michałko Kowalczuk.

– Aha! to nic... Na to ty dziewczka, żeby do ciebie k a w a l i r y udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś ani paciorek, ani h r o s z y, ani nic? Nie brałaś?

– Nie brałam.

– Pewno?

– Dalibóg.

– Pamiętaj. Sierotą jesteś i tylko na boskiej opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz, tak jak ta kropla wody w wielkiej rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i

ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy przybliżeniu się wszelakim, raz, dwa, trzy – w pysk! t a j h o d z i! Dziewczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznej wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdej niedzieli. Jednej zaś niedzieli tak do niej rzekła:

– Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiedz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdej godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona Pietrusia szepnęła:

– A jakież to sposób, babulo?

Stara po cichutku prawić poczęła:

– Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i jak go mrówki ze wszystkim zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się z a h a r d u s z k ą, a korzonki ma takie jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawiła z powagą wielką i tajemniczością niejaką, a prawiłaby była daleko dłużej, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. Przy tym wstydliwie, lecz zarazem radośnie zachichotała.

– H o d z i, babulo – szepnęła – h o d z i! Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani z a- h a r d u s z k i, ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkim uszy nastawiła:

– Który? – zapytała.

– A Michałko.

– Kowalczyk?

– Ale.

Babka przyzwalając pokiwała głową.

– Dobrze – rzekła – dobrze, czemu nie? chatynkę swoją i kawałek swojej ziemi po ojcach ma. Przy tym rzemieślnik... Ajaj... Jakby było dobrze! K a b t o l k o ż e n i ł s i a!

– Oj, oj! – tryumfująco zadzwoniła Pietrusia – dalibóg, ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

Tak mówiąc rozpromieniła się cała. Z młodziutkich, wesołych oczu jej trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły zza czerwonych warg. I wielka, niezmacona radość tak ją całą napępiała, że nie mogąc na miejscu wysiedzieć zeskoczyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać:

*– Jeść u mnie mój mileńki,
Wsia moja rodzina,
Jak przyjedzie on do mnie,
Szczęśliwa hadzina!*

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową pojechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiej z rówieśnikami hulali. Piosenka przez Pietrusię rozpoczęta miała drugą, trzecią i czwartą strofę i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury na koniec, które na środek izby powyłaziły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy na koniec śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur, i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umilkły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena:

– Pietrusia!

– A co?

– C h a d z i tu!

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i zapytała:

– Co, babulo?

– Ot co. Michałku teraz dwudziesty pierwszy roczek idzie.

– Ale – potwierdziła dziewczyna.

– Toto i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

– Nie może być! – krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

– Oj, dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tym nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakimś wojsku wiedzieć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie. I m i ł y nie mówił jej ani razu, że w s o ł d a t y pójdzie, choć o tym dobrze wiedzieć musiał, ale zwyczajnie młody, kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka albo i kibić jej obejmował, wtedy o tym, co będzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swym życiu widziała chłopców w s o ł d a t y branych, którzy wracali nieprędko, nieprędko, a czasem, tak jak i jej syn, rodzony, nie wracali nigdy? Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z innym sercem, z innymi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzej było, bo życie żołdatki to już takie życie, że niech od niego Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy długo Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia splótszy na twarzy ręce rozplakała się rzewnymi łzami.

– Nu – tonem perswazji zaczęła babka – to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny, a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosymi stopy.

– Z a n i s z t o! (za nic) – krzyknęła – żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

– Czemu? gospodarz taki, i młody, i wyrośnięty jak ten dąb, i b r a t ó w ma bogatych.

Pietrusia oczów nie odsłaniała i z ruchami gwałtownej niechęci i niecierpliwości wciąż tylko powtarzała:

– Z a n i s z t o! nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I, dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki niechęci swej przyczynę wyznała. Było tam raczej przyczyn dwie.

– H a d k i j (wstrętny) mnie on i w i e l m i z a p a l c z y w y j. B i ć b u d z i e!

Ani słowa przeciw temu Aksena powiedzieć nie mogła. Znała Stepana Dziurdzię od dawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Oczy jego miewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, gesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztroptym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie, a długu grosza jednego nie miał; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubym łajaniem i skorą do bójki pięścią naraził się wszystkim, a dziewczęta to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posyłał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta zanosząc się od płaczu krzyczały wniebogłosey:

– B i ć b u d z i e! jeszcze kiedy zabije!

I rzucały się do nóg rodzicom błagając, aby nie wydawali za tego H e r o d a. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o t e d u r n e i pośle swatów do drugiej wioski, ale wtem w chacie stryjecznego brata jego, Piotra, Pietrusia dorosła i odtąd Stepan na żadną inną dziewczę ani spojrział. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiej chodził a chodził. Przyjdzie, bywało, i bez potrzeby żadnej zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba albo kosić, albo młócić, a on siedzi i za dziewczyną oczami wodzi, na krzątanie się jej i skoki patrzy, śpiewa-

nia jej słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że można by ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział:

– Biedna ona czy nie biedna, ja do niej swatów przyślę...

– Przybłęda – zauważył Piotr.

– Przybłęda czy nie przybłęda, swatów przyślę, żebym tylko u niej przychylność jaką zobaczył.

Ale przychylności, dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią, tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła:

– N i e c h a c z u ! Z a n i s z t o n i e c h a c z u ! bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tym, co powiedziała jej babka o przyszłym a niezawodnym losie Michałka, wyplakała się i znowu krząć się po chacie i śpiewać zaczęła:

– *Ni tam szczęście, ni tam dola,
Hdzie bogaty ludzie,
Kto z miłości się załuczyć,
Tomu miłość budzie!*

Przerywając sobie śpiewanie rzekła:

– Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michałek w sołdaty i nie pójdzie...

Potem dodała:

– Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, której może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swym doprowadziła, ozwała się z pieca:

– Rzuć wiennik do ognia!

– A na co? – zadziwiła się Pietrusia.

– Rzuć wiennik do ognia – powtórzyła stara – jak spalisz wiennik, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczuk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potem wszystkim rówieśnikom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała? O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czymkolwiek. Jednak pomimo wczesnej mądrości swej nie odgadła raz wróżby, która tyczyła się własnej jej doli. Dnia pewnego chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie dziwowały się zawsze doskonałości jej pieczywa szepcząc pomiędzy sobą, że chyba jej jakaś siła dopomaga, kiedy tak nigdy w niczym nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która gdy cokolwiek robiła, to już całą duszą i z dziwną zgrabnością. Toteż i teraz bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała. Dobry kęs chleba – wesele chłopca. Piotr siedząc na ławie z łokciami o stół opartymi uśmiechał się w zwykły sobie sposób, łagodny i poważny; wciąż jeszcze niedomagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem też o czymś prawiała; dwaj dorastający chłopcy, hałasując, palcami pulchności chleba próbowali i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność, jak wydobywanie z pieca chleba, spełniała ona zawsze z policzkami rozognionymi od gorąca, z rękami koszuli zawiniętymi po łokieć, z wyдутymi wargami i trochę nawet zmarszczonym czołem. Nagle krzyknęła:

– Aj! aj!

I ostatni bochen chleba na stół zsunawszy, łopatę na ziemię upuściła i ręce załamała.

– Oj, Bożeż, mój Boże! – z płaczem prawie zawiodła.

Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli:

– Pęknięty czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł z pieca na wskroś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

– Pęknięty – powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny:

– Ktoś ciś odłączy się!

Piotrowa rękę do czoła i piersi podniosła.

– W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłosierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

– Ktoś ciś odłączy się! – powtórzyła stara.

– Z chaty czy ze wsi? – zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała:

– Może z chaty, a może i ze wsi, ale ktoś ciś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodzi.

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodził: Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował – do wojska. Przedtem jednak widziano o zmroku dwoje ludzi długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu za wsią, tam, gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młocarni, i rozpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem żegna się ze swoim Kowalczukiem. Mówili o tym śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety.

– Niechaj żegna się – mówiły – bo to już będzie na wieki wieków, amen.

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym na wieki wieków, amen. Powrócić to powróci on tutaj pewno, bo swoją ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, a sześć lat to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie, albo i zestarzeje, a Kowalczuk jej nie zechce. Gdzie by on tam za sześć lat jeszcze jej zechciał! Z innym sercem i z innymi myślami z dalekiego świata powróci. Nawet stara Aksena też samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsała i wciąż powtarzała:

– Powiedział, że jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: „Czekaj ty na mnie, Pietrusia...”

– I ty, d u r n a, będziesz czekać?

– Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo; zeszcłe wargi jej i kościane policzki często odtań poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła:

– Idź za Stepana: może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybije, to co? Lepiej zawsze w męzowskiej chacie siedzieć, jak przez całe życie na cudzym horować.

Ale na te wszystkie perswazje i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź:

– Nie c h a c z u, nie p a j d u.

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana szła.

– Bogaty – mówiła – i pracowity, gospodarny, niepijący. Będziesz u niego w kupnych perkalach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewczyna odpowiadała:

– Niechaj Stepanowe sadło świnie jedzą.

Te namowy, które spotykała ze stron wszystkich, obudziły w niej gniew, pierwszy zapewne w życiu. Zaciskała potem usta i nie odpowiadała nic. Żeby tam nie wiadomo co mówili przed nią o Michałku i o Stepanie – milczała. Baby swoje, a ona swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad jej głupotą, łaja nawet – ona milczy; krowy, bywało, doi czy szmaty pierze, czy świnie karmi, czy chleb miesi i milczy. Uparła się. Mniemała też zapewne, że lu-

dzie pogadają, pogadają i w pokoju ją zostawią pozwalając, aby sobie żyła wedle woli. I byłoby to najpewniej nastąpiło, gdyby tylko Stepan odczepił się od niej. Ale on o tym ani myślał. Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować, to na dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze jednak zdołała ona uciec od niego, tak że ani do uścisków, ani do kłótni nie przyszło. Raz przecież przyszedł w niedzielę, kiedy w chacie prócz niej i starej Akseny nie było nikogo. Ujrzawszy go we drzwiach Pietrusia skoczyła do komory, gdzie zaczęła niby to groch z worka na wieczerzę do garnka sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niej i obejmując ją jedną ręką, drugą próbował zasunąć z wewnątrz drzwi komory. Przy czym wyglądał tak strasznie i tak przeraźliwie kłął dziewczynę, którą już teraz na pewno, jak mówił, w pułapkę pochwycił, że zrazu krzyknęła ona w niebogłosy i ciemno zrobiło jej się przed oczami. W mgnieniu oka przecież odzyskała przytomność i może na pamięć przyszły jej słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną jak piwonia, z iskrzącymi się oczami, zaciśniętymi ustami wyrwała się z objęć chłopca i obie ręce w górę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! t a j h o- d z i! Stepan jak oparzony z komory wyskoczył, a potem i z chaty. Uczynił to głównie dlatego, że usłyszał w sieniach kroki Piotra, a świadka wstydu swego mieć nie chciał. Pietrusia w ogniu i łzach cała upadła do kolan babki, która na krzyk jej zsunęła się z pieca i na kiju wsparta stała przed drzwiami komory, kościanymi szczękami gwałtownie poruszając i bielmem zaciągniętymi oczami zdając się z nateżeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak nie wybuchnęła ona ani gniewem, ani lamentem, tylko żółte jej ręce po chwilowym błędzeniu w powietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły ją tak, jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony na nowo chwyciły. Po chwili rzekła:

– Nu, Pietrusia, już nam tu nie ma czego popasywać... Już tobie tutaj dobrej doli nie będzie. Pokłońmy się Piotrowi i Piotrowej żonie za chleb i za sól, i gdzie indziej m a n d r u j m y.

Chleb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słynęła już w okolicy całej za pracownicę wyborną. W małym, sąsiednim dworku szlacheckim wzięto ją za folwarczną dziewczkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przędła dla dworu len i wełnę. W dwa dni po owej ostatecznej rekuzie, którą w postaci trzech rozgłośnych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiej sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowej chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiej siermiężce i sonej spódnicy, w płtykach trzewikach i czerwonej chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła, a u piersi trzymała owiniętą w płótno przęślicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płtykach trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i milczące. Nad nimi pod wiosennym niebem tułały się jeszcze białe mgły nocne, z obu stron stały domostwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie szczeptały jeszcze. Tu i ówdzie tylko około wrót otwartych albo za niskim płotem ukazywała się wcześniej od innych zbudzona jakaś postać ludzka i ujrzawszy te dwie kobiety, w sinym świtanie przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrawiała:

– Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały:

– Z Bogiem zostawajcie.

I szły dalej. Rumiana dziewczyna z wesołymi oczami prostowała się i przyśpieszała kroku, a do rękawa siermięgi jej przyczepiona stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat, którego nie widziała, wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie rannego wiatru, który dokoła jej czarnego czepca i żółtej, kościstej twarzy podnosił i strzepił białe jak mleko włosy.

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkańcy wsi niewiele o tym wiedzieli. Służyła i koniec. Za męża nie szła. W rok po wyjściu

jej ze wsi Stepan Dziurdzia formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do niej posyłał. Odprawiała swatów z niczym, a Stepan potem przez cały tydzień wódkę pił w karczmie i bił się, z kim popadło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewczka cościś mu zrobiła, kiedy tak zapomnieć jej nie może i desperuje po niej; napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od niej nie odstał. I na co jej to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna na Pietrusię rozgniewana srodze, raz rzekła;

– Wiadomo! Babkę ma wiedźmę, co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić.

Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewczką z sąsiedniej wioski i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewczki z Suchej Doliny idąc od żniwa lub grabienia spotykały się z nią, gdy także szła. do domu z sierpem lub grabiami, i mijając dziewczynę, której lata za dwudziestówkę już przeszły, niby tak sobie, ale w rzeczy samej do niej śpiewać zaczynały:

*– Hili, hili, szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacięła idźci za muž,
Ciepier siedzi i dumaj!*

Czasem też ktoś dawno znajomy spostrzegłszy ją z politowaniem głową pokiwał albo i żartował:

– A cóż, twój Kowalczuk? prędko powróci?

Nieprędko, ale powrócił i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał pode wsią po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w której tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tym, że Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojej chacie porządek z dzierżawcą robi, a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam, ale w postaci tak zmienionej, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał, suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcej niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak jak wszyscy chłopci w Suchej Dolinie ubierający się w sukienną siermięgę albo kapotę z siniego czy czerwonego płótna. Teraz gdzie! Lata wojskowych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz wprzódby bladą oblały zdrową, głęboką śniadością, zmęźniał i wyprostował się; czarny wąs urósł mu nad wargami, oczy patrzyły śmiało i roztropnie, a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę, ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach, a na szyi jaskrawą chustkę. W tym ubraniu, z papierosem w ręku zjawił się w karczmie, a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojej z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcej to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozповідаł i, pomiędzy tańczących wmieszawszy się, z dziewczętami *m i e c i e l i c ę i k r u c i e l a* tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Na środku karczemnej izby wznosiły się takie chmury pyłu, że mętnie tylko rozróżnić w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczuka każdy mógłby zaraz wyróżnić w tej gromadzie wirującej wśród gęstej kurzawy nie tylko po ciemnym surducie i jaskrawej chustce na szyi, ale najbardziej po zręczności i gibkości ruchów. On to z największą fantazją wykrzykiwał w tańcu: *hu, ha!* i po kilkudziesięciu obrotach *m i e c i e l i c y* z najbardziej zamaszystą gracją zdyszana swą tancerkę dokoła izby oprowadzał. Ze wszystkimi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkimi choć raz przetańczył, w oczy każdej zjrzał, jedną nawet wstydliwie od niego uciekającą pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycalował – a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią u kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, którego wprost spomiedzy tańczą-

cych porwawszy ścisłym kołem obstały i języki porozpuszczały. Tak i tak z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzali jej ludzie, tam i tam poszła, tak a tak dogryzają jej czasem i śmieszne pieśni do niej śpiewają. Kowalczyk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu spod czarnego wąsa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie, ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi, ani o swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa i poczęstowawszy baby wódką i serem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierzdiściej niż wprzód. Wtedy jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli.

– Z innym sercem i z innymi myślami powrócił – powiadano.

Inni dodawali:

– Gdzie jemu teraz o niej myśleć. Przybędą ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niej dziewczka, ot, chyba już jej dwudziesty czwarty roczek idzie. On by mógł teraz ożenić się i z panią jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali, nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczyk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata, zaznane wrażenia zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jej pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jej, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierżawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty nie bez głośnych kłótni i pretensji o zrujnowanie gospodarstwa, z którymi nawet do sądów poszedł. Widać było od razu, że zamierzał porządnie rękawy zawiązać do pracy, nie tylko rolnej, ale i kowalskiej; oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się nim będzie, czyja więc łaska, niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie w gorący dzień letni poszedł sobie drogą, het daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowej czapce na głowie szedł widać bez celu, z wolna, papierosa palił i z fantazją przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzozowy las, jedno z okolicznych wzgórz obrastający, a za którym leżała szmata pola dojrzałym zbożem okryta. Dziś właśnie zboże to żąć zaczęło; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która w miarę poruszania się ich rąk zdawała się do stóp im się skłaniać. Kowalczyk stanął u skraju lasu i patrzył na jedną ze żniwiarek, która wyprostowawszy się podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy rzuciła go tam, gdzie wiele już innych snopów leżało. Potem sierpem w powietrzu błysnąwszy pochylała się znowu i żąć zaczęła; żnąc zbliżała się coraz ku temu miejscu, na którym stał Kowalczyk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jej poruszały się prędko, coraz prędeziej, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice. Kowalczyk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę wpatrywał się jak w tęczę, papieros nie dopalony za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasu pomiędzy brzozami stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku niemu żniwiarka, jakkolwiek schyłona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerknęła czasem na niego spod powiek, ale nie odzywała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędeziej i zapalczywiej żęła. Kiedy na koniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczyk odezwał się sam:

– Dobry wieczór, Pietrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spódnicę opuściła i odpowiedziała:

– Dobry wieczór.

Ale nie patrzyła na niego; powieki z długimi rzęsami okrywały jej źrenice; profilem ku niemu zwrócona zdawała się oczekiwać czegoś albo po prostu wśród pracy przez chwilę odpoczywać. Kowalczyk z gracją oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i mrużąc oczy, przemówił znowu:

– Czy to pięknie taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarka wzruszyła ramionami i nie podnosząc powiek gniewnym jakby tonem odburknęła:

- Jaka tam obojętność!
- A jakże! czy to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?
- Kiedy kto ze mną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby nie ma.

Kowalczyk opuścił drzewo, o które wspierał się, i parę kroków ku niej postąpił. Oczy jej były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spódnicę opadały. Od kilku już godzin żeła, dzień był skwarny i gęste, bujne krople znoju świeciły na ogorzałym jej czole i policzkach, tak prawie czerwonych jak polny mak, który z ciemnych włosów opadał jej za ucho. Kowalczyk patrzył w nią jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, którymi twarz jej gęsto skropioną była.

- Cóż ty? – zaczął znowu – pracujesz, a horujesz...
- Horuję – odpowiedziała.
- Jak ten wół w jarzmie?
- Jak ten wół...
- U cudzych ludzi?
- U cudzych.
- I starą babulę przy sobie żywisz?
- Żywię.

Znowu krok bliżej ku niej postąpił.

- A czemu za Stepana Dziurdzię nie poszła? – zapytał.
- Bo nie chciałam – odpowiedziała.
- A namawiali ludzie?
- Namawiali.
- I babuła kazała?
- Kazała.

– To i czemuż nie szła? Było iść; we własnej byś chacie pracowała, w kupne perkale ubierała się i co dzień j a j e c z n i ę ze słoniną jadła...

Tym razem dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła:

- Niechaj Stepanową jajecznicę świnię jedzą...

– A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewczka z ciebie.

Wzruszyła ramionami.

- Niechaj sobie śpiewają.

Kowalczyk oczy roziskrzyły się i ręce zatrzęsły się trochę.

– Co ty tak do mnie niby gadasz, niby nie gadasz... jak do psa jakiego... Rzuci słóweczko i znów milczy, i w oczy nawet nie spojrzy... co ja tobie złego zrobił?

Tym razem Pietrusia z rąk sierp upuściła i dłonie do głowy podnosząc zajęczała:

– Oj, zrobił ty mnie, zrobił niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniął, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedzieć, ani w tę stronę, gdzie ja była, spojrzął...

Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jej z oczu, schyliła się po sierp i czyniąc ruch taki, jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:

– Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... I d z i z Łabudową córką ż e n i s i a... najbogatsza w c a ł o m s i e l e i oczy ma takie, że jedno na prawo patrzy, a drugie na lewo... I d z i do Łabudowej córki... z B o h o m o d m e n i e.

Otóż te oczy, te oczy, które u Łabudowej córki zezowate były i przebrzydłe, stanowiły u Pietrusi czar taki, że silniejszego nadeń żadna wiedźma wymyślić by nie mogła. Zresztą, nic tak bardzo osobliwego w niej nie było. Równie zgrabnych i świeżych jak ona znaleźć by można na świecie mnóstwo. Ale oczy jej przez to były osobliwymi, że wprost mówiły i wy-

mową swą przyciągały jak złotym sznurkiem. Opowiadały one całą jej duszę, o której usta wiele mówić ani umiały, ani śmiały. I teraz także w szarych jej źrenicach, którymi ogarniała twarz Kowalczuka, było takie mnóstwo wyrazów namiętej skargi i żałośliwej prośby, wrodzonej wesołości i długiej tęsknicy, że Kowalczuk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

– Na mnie czekając za Stepana nie szła? – przyspieszonym szeptem zapytał.

– A na kogóż? – odszepnęła.

– A ciężko było żyć?

Palcem, na którym od sierpa czy noża pozostała czerwona kresa, łzę z policzka ocierając odpowiedziała:

– Ciężko.

– Na mnie czekając w takim horowaniu i ludzkim pośmiewisku żyła? – pytał jeszcze.

– A na kogóż?

– P o b ó ż s i ę!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

– Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnej duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci, to już słońce zaświeci i miła wiosna będzie...

Schwycił ją teraz wpół i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

– Toż i doczekałaś się, bo jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojej chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje horowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cościś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzały na mnie, to cościś we mnie rozpląnęło się jak ten miód...

Pośród brzóz, pośród zielonych, w powiewach wietrzyku i świergocie ptastwa przyciskał ją mocno do piersi, ręką, jakby stworzoną do kowadła i młota, z twarzy jej ścierał pot i łzy, i usta, z których wydobywały się śmiech i łkania, pocałunkami zamykał.

Długo potem w Suchej Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia i t e m u także c o ś c i ś z r o b i ć musiała. Bo któż kiedy słyszał, aby chłopiec, szczególnie jeśli w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, a jeszcze taki, któremu by najbogatsze dziewczęta wieszały się na szyję; aby ożenił się z dziewczką nie tak to już młodą, ze wszystkim ubogą, przybłądą... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potem, a tego już sobie zabrała. Jakież takie ziele zna czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

III

Znała Pietrusia istotnie mnóstwo sposobów zaradzania różnym przypadłościom życia, w których skuteczność ani na chwilę nie zwątpiła sama i którymi przysługiwała się innym. Doświadczyli tego na sobie jednocześnie, ale w sposób różny, Piotr Dziurdzia i Jakub Szyszko. Pierwszy był jednym z najbogatszych gospodarzy w Suchej Dolinie. Czy grunt jakiś lepszy od innych przypadł im w udziale, czy trzeźwiejsi i pracowitsi byli niż inni, dość że dziad jego, ojciec i on sam uchodzili we wsi za bogaczów. Wkrótce po nastaniu wolności Piotr zbudował chatę mającą pozór porządnego domku. Miała ona komin, dwa spore okna, mały ganek i ściany z zewnątrz pobielone. Wewnątrz nic tam osobliwego na pierwszy rzut oka spostrzec się nie dawało. Sień, duża izba i obszerna komora; w dużej izbie ogromny piec do gotowania stawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krosna tkackie, gospodarskie statki drewniane – nic więcej; wszystko tak jak u innych. Ale zajrzeć tylko do komory, obory, stajni, spichlerza! Tam już działa się wcale niepospolicie. W największy choćby nieurodzaj zboża nie brakowało, bo z

roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas i zbytek lat jednych łątał braki drugich. Cztery krowy, dwa konie, z których jedna kłaczka co roku przyprawdzająca źrebię, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie gnieźdzące się na dachu, w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych zmieszanych z dzikimi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybornych gniłek, wszystkiego tam było pełno. W komorze na półkach i na ziemi piętrzyły się worki i garnki z wszelkim dobrem, jedna ściana czerniała cała od pozawieszanych na niej motków nici, stojące pod ścianą skrzynie napełniały po brzegi przyodziewki męskie i niewieście, jako też nie pokrojone jeszcze ś c i a n y szarych płócien i sztywnych s a -m o d z i a ł ó w w sine i czerwone pasy na domowych krosnach wytkanych. Ale nie tylko niezwykły dostatek napełniał chatę Piotra; pełną była ona także i niezwykłego spokoju. Piotr był człowiekiem charakteru flegmatycznego, ruchów ociężałych, mowy rozważnej, żona jego kobieta wysoka, urodziwa i łagodna. W młodości swjej jeszcze zaniemogła na reumatyzmy i inne jakies choroby, które uczyniły ją także powolniejszą i mniej od innych niewiastą do kłótni skorą. Stękała często, szeroko i długo użalała się na cierpienia swoje, u kogo tylko mogła, rady na nie zasięgała, gdy bóle srodze dokuczając jej zaczynały, popłakiwała sobie w kącie albo i na całą chatę głośnie lamentsy zawodziła, ale do kłótni z mężem nigdy nie stawała. Gdzie by jej tam, z osłabłymi nogami i powykrzywianymi palcami rąk, jej, niezdarze, która jak jaka pani wyręczycielek potrzebowała, do kłótni jeszcze stawać! Szczęściem już dla niej wielkim było i to, że mąż z chaty jej nie wyganiał, za niedołość nie łątał, a nawet często ulitował się, żałośliwie nad nią głową pokiwał i po ludzku z nią pogadał. Dość była roztropną aby szczęście to ocenić i każdą wolę męża tak szanować, jakby to była wola boska. Rozumowanie jej pod tym względem było proste. W chwilach wylania do sąsiadek mówiła:

– Dlaczego ożenił się on ze mną? Nie dla posagu ożenił się, bo nijakiego nie miałam, ale dlatego żeby w chacie dobrą gospodynię mieć. O, jakaż ze mnie gospodyni? Do pracy rwę się jak ten koń do studni, co z d a ż a m, zrobię, ale mało z d a ż a m. Jak c h w a r o b a schwyaci, to i ręce od wszystkiego odpadną. A on mnie za to nigdy nic, żeby choć jedno złe słowo powiedział! Cierpi i milczy. Jeszcze czasem i zapyta się: „Może tobie, Agatka, trzeba czego? Może ciebie znów do znachora zawieźć”? Dobry człowiek. Toż ja jemu nie sprzeciwiam się w niczym. Niech jemu i Pan Bóg przენajświętszy nie sprzeciwia się...

Zresztą sprzeciwiać się Piotrowi nie byłoby rzeczą łatwą. Miewał i on przystępy gniewu, rzadkie, ale straszne. Można by rzec, że w naturze tej cichej i poważnej burze wybuchały tym gwałtowniej, im powolniej i dłużej wzbierały. Kiedyś, za młodu, był on dla rodziców swych synem uległym i o stare lata ich dbającym, jednak gdy matka, ze starości zdziwaczała już nieco, dokuczyla mu ciągłymi kłótniami z synową i raz komorę przed nią zamknęła, tak że wróciwszy z pola stawy zgotowanej nie znalazł i głodnym być musiał, uderzył ją tak silnie, że stara zaniemogła, przeleżała na piecu czas jakiś i umarła. Może ona i nie od uderzenia synowskiego umarła, bo wprzódy już nic prawie sił w niej nie było, ale Piotr zgryzł się tym tak bardzo, że długo jak nieprzytomny po świecie chodził. Żonie i kumowi, którego bardzo lubił, powiedział wtedy, że sam siebie tak bać się zaczął, jakby już diabłu duszę był zaprzedał. Odtąd też stał się bardzo nabożnym. Do kościoła jeździł i spowiadał się częściej od innych, za pługiem idąc pacierze czasem odmawiał, w każde uroczyste święto wielkie bochny chleba i grube zwoje płótna u kościelnego ołtarza na ofiarę składał. Można by rzec, że myśl, iż krzywdą zrzadzona matce duszę jego w posiadanie diabelskie oddała, napełniała go trwogą i żądzą oczyszczenia się przed Bogiem. Z czasem wzniciło to w nim niejaką skłonność mistyczną, której ustawiczna a ciężka praca fizyczna wybujać nie pozwalała, lecz która malowała się w marzycielskim trochę wyrazie, z jakim niekiedy siwe jego oczy patrzyły na świat spod gęstych brwi, jako też w szczególnym zaciekawieniu do cudów, czarów i wszelkich nawet opowiadań o nadprzyrodzoności. Skłonność ta zwiększyła się jeszcze wypadkiem, który wydarzył się w dzieciństwie młodszemu z synów jego, Jasiukowi. Chłopak przyszedł na świat wtedy właśnie, gdy Piotrowa chorzeć zaczynała, i około pięciu lat życia swego mając wysechł i

wyzółkł tak, że podobniejszym stał się do figurki z wosku niż do dziecka. Nogi miał na wewnątrz powykrzywiane, gębę wiecznie otwartą, gdy biec chciał, padał. Klemens hodował się zdrowo i jak wzdłuż, tak wszerz rósł niby na drożdżach; nad Jasiukiem płakała matka, sąsiadki żałośliwie kiwały głowami, a ojciec, według zwyczaju swego z cicha i powoli coś pomrukując, ponuro czasem głowę zwieszał. Doszło do tego, że Agata, której obrzydły i kwękania chłopca, i ciągle pilnowanie go, jakby przez tyle lat niemowlęciem być nie przestał, w gniewie i żalu rzekła raz do sąsiadek:

– Ot, niechajby go już lepiej Pan Bóg sobie zabrał...

Wtedy Piotr rozgniewał się znowu. Od śmierci matki przez długie lat kilka nie gniewał się nigdy; teraz znowu w gniew wpadł i byłby wybił żonę, gdyby mu ona z płaczem do ręki nie przypadła prosząc o zmiłowanie nad jej chorobą i niedolą. Krzyczał więc tylko okrutnie, sąsiadki, które macierzyńską żalostí Agaty gadaniną swą drażniły, z wielkim dla nich wstydem z chaty wypędził, a wkrótce potem z chorym dzieckiem na wóz wsiadł i do cudownego miejsca na odpust pojechał. Jeżeli tam innym Pan Bóg cuda swe okazywał, czemużby i jemu okazać nie miał? Powiedział mu ktoś, że dla uproszenia tej łaski trzeba kupić jedną z woskowych figurek, które w niektórych kruchtach kościelnych sprzedają, i złożyć ją na ołtarzu. Piotr kupił taką figurkę i jeszcze mszę na intencję dziecka zakupił, a przesłuchał ją klęcząc i głośno, żarliwie, z ciężkimi westchnieniami i uderzeniem się pięścią w pierś odmawiając pacierze. Gdy u stóp ołtarza chłopcy dzwonili na podniesienie, on w obu ramionach okrytych rękawami baraniego kozucha podniósł chłopca swego w górę, tak jakby go zmiłowaniu Bożemu ukazywał, a sam twarz, brunatną i gęsto zarosłą, wysoko także podnosząc marzycielskim spojrzeniem swym ścigał błękitne dymy, które nad głowami ludzkimi, blaskiem świec i rzeźbami ołtarza wzbijały się pod mroczne sklepienie świątyni. Dziecko wróciło z odpustu do chaty tak, jak odjeżdżało: wyschłe, żółte, słabe, z wykrzywionymi nogami i otwartą gębą, lecz wkrótce, może w parę miesięcy potem, widocznie poprawiać się zaczęło: bieląło, tyło, prostowało się, wprost odżywało. Wprawdzie była to wiosna ciepła i słoneczna, w której odżywało wszystko, co na świecie było: drzewa, trawy, kwiaty, a także i dzieci. Wprawdzie Aksena, która podówczas świeżo w Piotrowej chacie była osiadła, doradziła Piotrowej, aby codziennie wyprawiać Jasiuka na ten suchy piasek, który białą ławicą stał się u końca wioski.

– Niechaj biedulek grzebie się sobie w tym piasku – mówiła – to jak go słoneczko mocno rozgrzeje, dziecko zdrowe będzie. Taka już święta siła jest w gorącym piasku, że on dzieci uzdrawia – kończyła Aksena i Pietrusi, która wtedy jeszcze niedorosłą była dziewczynką, rozkazywała, aby Jasiuka na piasek prowadziła i tam pilnowała go i zabawiała.

Jasiuk nigdy wprawdzie nie stał się silnym ani tak pięknym i roztroptym jakim był niewiele odeń starszy Klemens. Wyzdrowiał przecież, nie kwękał już tak jak pierwej, nie padał co krok, więcej mówić zaczął, wybielał. W chacie Piotra mówiono często o tym wyzdrowieniu i przyczyny jego rozważano. Jedne z bab nabożnie składając ręce na brzuchach mówiły:

– Taki to Piotrowa ofiara na odpuście.

– Piasek ten, co go Aksena doradziła – twierdziły inne.

Piotr zaś przemawiał:

– I ofiara na odpuście, i piasek, a wszystko Pan Bóg przenajświętszy zrządził; bo – z powagą mówił dalej – jeżeli piasek ma taką świętą siłę, to mu ją Pan Bóg dał. Ot co.

– Jest na świecie i c z a r t o u s k a j a siła – zauważyła jedna z bab.

– A jest – z przekonaniem potwierdził Piotr i po długim namyśle dodał: – ale w piasku jest siła boska, bo ot, dobrze zrobił; a żeby w nim była siła czartowska, toby źle zrobił.

Zastanowił się jeszcze trochę, wskazujący palec w górę wznosił i dokończył:

– C z a r t o u s k a siła zawsze źle człowiekowi robi, a boska dobrze. Ot co.

Boską tedy moc zjednywał sobie Piotr Dziurdzia coniedzielnym jeżdżeniem do kościoła, odmawianiem pacierzy, ofiarami składanymi kościołowi w postaci chlebów, serów i płócien, diabelskiej zaś lękał się okrutnie, choć nigdy jej na sobie, w widoczny przynajmniej sposób,

nie doświadczył i miał ją w obrzydzeniu i nienawiści wielkiej. Jeżeli ktokolwiek opowiadał przed nim o ludziach, którzy, jak na przykład wiedźmy i czarownicy różni, przez nią złe figle innym ludziom płatali, spluwał z obrzydzeniem i ze złością przez zęby wymawiał:

– K a b im ręce połamało! K a b im skonanie ciężkim było! K a b oni królestwa niebieskiego nie oglądali!

O królestwie niebieskim Piotr wspominał często; zdaje się, że było ono tym przedmiotem, który kędyś, wysoko, w zarysach mętnych i nieokreślonych unosił się nad nim wtedy, gdy oczy jego pod gęstymi, wypukłymi brwiami przybierały wyraz zamyślony i trochę marzycielski.

Jednakże rojąc sobie dziwne może obrazy królestwa niebieskiego dbałym był i o ziemskie. Gospodarstwo swe pracowicie i zapobiegliwie prowadził, a wielce ucieszył się, gdy go mieszkańcy Suchej Doliny na urząd s t a r o s t y swego wynieśli. Wtedy okazało się widocznie, że od ambicji wszelkiej wolnym nie był i że zaszczyt, który go spotkał, przyjemnie pogłaskał jego dumę. Wprzód trzymał się był trochę pochyło; zostawszy s t a r o s t ą grzbiet wyprostował, uśmiechnął się tak szeroko i swobodnie, jak nigdy przedtem, lecz za to z większą jeszcze niż przedtem powagą stąpać zaczął i z widoczną lubością, niemal uroczyście, na zewnętrznej ścianie swojej chaty przybijał siną tablicę, na której wielkimi białymi literami wypisane było: „P i o t r D z i u r d z i a, s t a r o s t a”. Sprawami publicznymi, które sąsiedzi w ręce jego złożyli, zajął się gorliwie i cierpliwie. Gdy obległy go różne z urzędem jego związane trudy i przeciwności, ze skrucłą w głosie mawiał:

– Pan Jezus więcej cierpiał.

Albo:

– Pan Jezus mnie to w królestwie niebieskim wynagrodzi.

I swoje robił, ani na dokuczanie ludzkie, ani na fatygi różne nie zważając. Często także unosiła go ludzka duma. Podnosił palec do góry, uśmiechał się szeroko i w zwykły sobie, powolny sposób mówił:

– C i e p i e r, j a k t o j k a z a u, j a t u t p i e r w s z y j e z d e m i z e w s z y s t k i c h n a j w y ż s z e j s z y...

Starszemu synowi także czasem perory prawił:

– Patrzaj, Klemens, bądź taki jak ja, a Pan Bóg przenajświętszy da tobie panowanie ziemskie i królestwo niebieskie. Nie pij, cudzego nie żądaj, co do ciebie należy, rób, a w moc czartowską nie oddawaj się. W moc boską oddaj się, a w moc czartowską nie oddawaj się, bo jak t o j k a- z a u, gospodarstwo zginie i duszę zgubisz. Ot co.

Ważny wypadek zostania s t a r o s t ą wiejskim zaszedł w życiu Piotra w parę lat po weselu Michałka Kowalczuka z Pietrusią, a wkrótce po tym roztrząsaniu mieszkańców wsi nastąpiła się sprawa wielkiej dla nich wagi. Magazyn wiejski, w którym mieściły się zapasy zboża przeznaczone dla wspomagania lat nieurodzajnych, tak już był starym, że całkowitym upadkiem groził. S t a n o w y (policyjny urzędnik) kilka razy zapowiadał konieczność zbudowania innego i mieszkańcy Suchej Doliny konieczność tę czuli sami, ale z przystąpieniem do roboty z roku na rok zwlekali. Wiadomo, kosztów lękali się, a i nowego kłopotu nie bardzo żądali. Teraz jednak przyszedł już kres ostateczny zwlekania. Magazyn trzeba było budować chcąc nie chcąc, bo tak stanowczo i nieodwołalnie przykazano z góry. W chacie starosty aż ciemno zrobiło się od ludzi, którzy zeszli się tam dla narady o tej kosztownej i dość skomplikowanej sprawie. Piotr Dziurdzia przewodniczył naradzie ze zwykłą sobie powagą i roztropnością, doradzając, jak i kiedy pieniądze na ową budowę zebranymi być mają, gdzie i jakie drzewo kupić na nią należy, kogo i za jaką cenę wezwać do wymierzenia ziemi, którą budynek na inne miejsce przenoszony zająć musiał. We wszystkich tych rozważaniach i wyliczeniach skutecznie pomagał mu stryjeczny jego brat, Stepan, mający jedną z najlepszych głów we wsi, ilekroć nie był pijanym albo nie wpadał w pasję. Miał on nawet tę nad drugimi wyższość, że biegle liczyć umiał. Nikt go tego nigdy nie uczył, ale z natury już tę zdolność

posiadał i nauczył się sam. Że zaś tym razem trzeźwym był i nie gniewał się na nikogo, a przy tym kroił sobie koniecznie na najbliższych wyborach sędzią wiejskim zostać, siedząc tedy obok Piotra szeroko i roztropnie prawił, biegle różne liczby dodawał i mnożył, słowem, zapominając o tym, co gryzło go i dręczyło w życiu prywatnym, sprawom publicznym oddał się całkiem. Przy tej czynności rozjaśniła mu się nieco i wypogodziła twarz, przedwcześnie pomarszczona i najczęściej ponura a gniewna. Pomimo jednak roztropności i powagi dwóch Dziurdziów, w izbie wybuchała często wrzawa taka, że ludzie jedni drugich zrozumieć nie mogli. Wszyscy tam jednocześnie mówić zaczęli, łokciami i ramionami odpychali się wzajem od stołu, za którym siedział starosta, o każdy grosz zawadzili kłótnie, na każdą propozycję odpowiadali zaprzeczeniami. Piotr cierpliwie to znosił; kilku uważniejszym słuchaczom swoje prawił, a czasem, kiedy sąsiedzi łajac go już i przeklinać zaczęli, pomrukiwał:

– Pan Jezus więcej cierpiał!

– Bydło! p r a k l a t o j e bydło! K a b n a w a s c h a l e r a! – wykrzykiwał popędliwy Stepan i najnatarczywszych pięścią od stołu odpychając zaczął już w paroksyzm złości wpadać, gdy nagle kłótnią wrzawę męskich głosów niby ostrzem noża przerznął piskliwy i rozpaczliwy krzyk niewieści. Była to Piotrowa, która z komory wypadłszy ręce łamała i z boku na bok przechylając się wniebogłose krzyczała i zawodziła:

– J a z u mój! J a z u! O J a z u ż mój, J a z u najmiłosierniejszy!

Tu i dziewczka, która w zastępstwie Pietrusi w gospodarstwie jej dopomagała, tuż za nią także z komory wypadła, włosy sobie z głowy wrywając, a po chacie też biegając, jeszcze donośniej i piskliwiej wtórzyła:

– A Matko Boska przenajświętsza! zmiłuj s i a, zmiłuj s i a, zmiłuj s i a Ty nad nami nieszczęśliwymi!

Mężczyźni rozprawiać i kłócić się przestali i z gębami pootwieranymi, jak słupy stojąc, błędnymi wzrokami wodzili za niewiastami, które jakby w konwulsjach rzucały się po izbie. Sporo czasu upłynęło, zanim gospodarz chaty zrazu perswazją, a potem groźbą spuszczenia im pięści swych na plecy dopytać się u niewiast zdołał, co się stało. Stała się istotnie rzecz zasmucająca: z komory zginęły dwa sadła, dwanaście par kielbas i dziesięć ś c i a n świeżo utkanego płótna. Wszystko to ukradzione zostało nie wiedzieć kiedy, przez kogoś, kto odpowiednim narzędziem wewnętrzną okiennicę przepiłował, zamykając ją zasuwę usunął, przez okno do komory wlaźł i tyle dobra z niej wyciągnął. Okno komory wychodziło na ogród, w tej późnej jesiennej porze pusty i tylko błotem pokryty, noce jesienne długie są i ciemne... Piotrowa rozpacziała; Piotr stratę poniesioną mniej żywo do serca biorąc zmartwił się jednak i nade wszystko oburzył się przeciw nieznanemu złoczyńcy. Ludzie, którzy tu obradowali i obrady swej nie tylko nie skończyli, ale po razy kilka jeszcze kończyć nie mieli, rozeszli się z wolna; w izbie pozostał Piotr, w zamyśleniu na ławie siedzący i łokciami na stole rozparty, i trzy kobiety, które przed ogniem, żywo płonącym w piecu, głośno o zaszłym wypadku rozprawiały. Były to trzy Dziurdziowe: żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne z sobą typy chłopka i trzy wyraźnie różne dole kobiece. Niemłoda już i schorowana, ale spokojna i jeszcze dość urodziwa Piotrowa, żona męża dobrego, gospodyni chaty dostatniej i matka dwóch dorastających synów, skrzyżowała na piersi ramiona i smutnie już tylko nad stratą swoją głową kiwała, z cicha powtarzając:

– J a k i j e złe ludzie! a j, j a k i j e niegodziwe!

Zwinna jak żmijka, czarnooka, śniada i ognista Stepanowa, sławna na całą okolicę złośnica i plotkarka, o której zresztą wszyscy wiedzieli, że mąż jej cierpieć nie mógł i że wiecznie biła go lub przez niego bita była, na pierwszą wieść o tym, co się w chacie Piotra przytrafiło, porzuciła niedawno urodzone a przez cztery lata małżeńskiego pożycia jedyne dziecko i przyleciawszy tu krzyczała, złodziejów przeklinała i miotała się tak srodze i hałaśliwie, jakby ją samą i stokroć od tej większa strata spotkała. Szymonowa, przeciwnie, przywlekła się z wolna i z dzieckiem na rękę, które już było szóstym czy siódmym. Niestarą była jeszcze i niebrzyd-

ką, ale strasznie wymizerowaną, z czołem zmarszczonym i wiecznie skrzywionymi usty. Piotrowa, choć starsza i schorowana, daleko lepiej od niej wyglądała. Wiadomo, żona pijaka siedzącego po uszy w długach, u Żyda arendarza zaciągniętych, mająca chatę kurną jeszcze i drobnych dzieci pełną, a komorę prawie pustą, toć i wesoło sobie b a j d u r z y ć nie mogła. Na Agacie wyraźnie odbijały się spokój i dobrobyt, na Rozalii Stepanowej charakter zapalczywy a złym pożyciem małżeńskim do stopnia prawie wściekłości rozjątrzony; na Parasce, żonce pijaka Szymona – skłopotanie i nędza. Tuląc i kołysząc dziecko, które w piersi matczynej mało znajdowało pokarmu i rozkrzyczało się wniebogłosy, z podziwem pełnym świętobliwego jakby poszanowania wciąż powtarzała:

– Dwa sadła i dziesięć ś c i a n płótna! oj, Bożeż mój, Boże! dwa sadła, dziesięć ś c i a n płótna i dwanaście par kielbas... oj, Bożeż, mój Boże!...

Bogactwu takiemu, które aż tyle rzeczy bez ostatecznego ogłodzenia poszkodowanych z komory ukraść pozwalało, dosyć nadziwić się i nalubować nie mogła! Nie zazdrościła, owszem, żalowała krewniaków, że im się taka szkoda stała, ale oczy jej zachodziły łzami. Dawało to jej miarę i żywe uczucie biedy własnej. Zaś czarne oczy Rozalki rozpałały się coraz bardziej, błyskały i latały jak u oszalałej, a język szybciej jeszcze latał niż źrenice. Przekleństwa najstrachliwsze na nieznanego złodzieja miotała, lecz wiadomym to już było, że zawsze coś lub kogoś przeklinać musiała; podobno sprawiało to ulgę nieustannej zgryzocie, która u innych roztopiłaby się w łzy, a ją napęniała warem i płomieniem.

Zasmucony, lecz już ułagodzony głos Piotrowej przebił się przez wrzaskliwe zawodzenia Rozalki.

– Żeby tam nie wiem co – rzekła – ja taki będę wiedzieć, kto to ten złodziej.

Zwróciła się do Piotra.

– Pietruk – rzekła głosem, który objawiał zgodny i przyjacielski stosunek jej z mężem – i d z i do Akseny... p o p y t a j s i a, może ona zna co takiego, żeby tego złodzieja odkryć...

Nad wszelkie spodziewanie niewiast Piotr ani jednym słowem nie sprzeciwił się temu żądaniu, wstał, na głowę czapkę baranią włożył i z chaty wyszedł.

Wieczór to był jesienny, ciemny; wiatr szumiał w ogrodach i miotał drzewami; pod niebem szmaty chmur, lecąc jak ciężkie ptaki, przysłaniały, to znowu odsłaniały gwiazdy. Błotnistą ścieżką wijącą się pomiędzy ścianami obór i gumien a opłotkami ogrodów wysoki, barczysty chłop, w kozuchu i baraniej czapce, z grzbietem nieco przygarbionym, szedł szerokim i ciężkim krokiem w kierunku zagrody kowala. Z dala już widać było kuźnię buchającą czerwonym światłem i słycać turkot odjeżdżających wozów. Przed tą kuźnią zawsze jak na odpuście albo jarmarku. Z całej okolicy ludzie do Michała Kowalczuka przyjeżdżają, bo takiego jak on kowala nigdzie nie ma. Ale teraz już wieczór i ci, co tu dziś konie podkuwali, obręcze na koła i siekiery robić, a pługi i wozy naprawiać kazali, jadą do domów drogą pomiędzy wierzbami i bzami, w których puszczyki i lelaki gnieźdzą się i skomla. Przed otwartymi drzwiami kuźni nie ma już nikogo, tylko leży szeroko błoto straszne, kołami wozów i kopytami końskimi rozbite i pogłębione. Piotr Dziurdzia w błocie tym stanął i przez chwilę we wnętrze kuźni wpatrywał się z przyjemnością niejaką. Czerwonym światłem napęnione jaskrawo odbijało ono od ciemności panujących na zewnątrz. W tym świetle pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W majtkach i koszuli z wysoko odwiniętymi rękawami, silny i zgrabny, chłop żwawo podnosił żylaste ramię, co siły bił młotem po rozpalonym żelastwie, skry spod młota sypały się w dół deszczem, a słupem tryskały w górę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło. Nade wszystko wesoło. Co chwilę zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem i przyśpiewywał sobie albo gdy uderzenie silniejszym czy zrecniejszym być musiało, podnosząc i opuszczając ramię niby do tańca wykrzykiwał sobie:

– Hu, ha!

Piotr, z zadowoleniem niejakim na tę rażną i wesołą pracę popatrzawszy, uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i wszedł do chaty kowala.

Izba tam była także prawie jak u Piotra, obszerna, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w niej dawały pewne wymysły, jakich u d z i- d ó w i p r a d z i d ó w nie bywało. Oprócz stołów i ław stały tam trzy drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wazonach kilka niskich roślin, na małej szafce z dwoma szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te przywiózł z sobą Kowalczyk z szerokiego świata, a może też zapoznała się z nimi i Pietrusia w tym szlacheckim dworku, w którym za dziewczkę folwarczną służyła. Wymysłność ta jednak nie doszła do tego stopnia, aby gdzie indziej umieścić ogromny piec z okopconym wnętrzem, w którym, jak o tej porze w każdej z chat chłopskich, palił się ogień wielki. Nie dosięgła też ta wymysłność ani świec, ani lampy; pomiędzy cegły pieca wetknięte łuczywo paląc się czerwonym i dymnym płomieniem oświetlało postać starej Akseny w ten sposób, że komuś wchodzącemu do izby musiała ona naprzód rzucać się w oczy. Według starego swego zwyczaju kościana babka siedziała na piecu i w dostatniej siermiężce, w czarnym czepcu, wyprostowana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nić lnianą, w drugiej kręciła wrzeciono. Pietrusia nosiła po izbie roczne dziecko kołysaniem i półgłosem śpiewaniem uspić je usiłując. W drzwiach izby poważnym i uprzejmym głosem wymówione zabrzmiało pozdrowienie Piotra:

– Niech będzie pochwalony...

– Na wieki wieków... – z uradowaniem widocznym odpowiedziała Pietrusia i z dzieckiem na ręku, z rozbłyśniętymi od zadowolenia oczami, ku gościowi podbiegłszy w rękę go pocałowała. Aksena, która od czasu oślepienia swego słuch miała ostry, poznała też Piotra po głosie i, na chwilę prząść przestając, w znak powitania głową tak kiwać zaczęła, aż się jej dokoła czarnego czepca białe, siwe włosy rozwiały. Przy tym chropowatym i z powodu braku zębów szepleniącym głosem dziękowała mu za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich nawiedził. Pietrusia tymczasem uspięne już dziecko położyła w kołyskę, jedno z trzech krzeseł fartuchem otarła i w radosnym uśmiechu ukazując białe zęby zapraszała byłego gospodarza swego, aby na nim usiadł. Piotr popatrzał na krzesło, tak jakby przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego ciężarem, i z ostrożnością niejaką na nim usiadł.

– Nu – zaczął oglądając się po izbie – po pańsku tu u was, pięknie... K r e s ł a sobie wymyślili i samowar... oho!

– Po pańsku, nie po pańsku – podchwyciła Aksena, której zaledwie widzialne wargi z wielkiego ukontentowania rozciągnęły się od ucha do ucha – ale chwała Bogu niczego nie brakuje... wszystko jest... i chleb jest, i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał...

– I syn jest... – dodał Piotr z żartobliwą dobrocią na Pietrusię patrząc.

Ona zawstydziła się trochę i spuściła oczy, ale wesoło wciąż uśmiechając się odpowiedziała:

– A jest, d z i a d z k u...

– I drugi zaraz będzie... – żartował dalej starosta.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i z cicha zachichotała. Aksena ze swej strony śmiała się na piecu swoim starym śmiechem, który suchy klekot drewnianej grzechotki przypominał.

– Czy jeden jeszcze... oj, oj, czy jeden jeszcze będzie! – mówiła.

– Daj Boże szczęśliwie – z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby. Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukieny, zieloną taśmą oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał zaognioną i spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował. Ani on, ani Pietrusia nie zapominali o tym nigdy, że stara Aksena i jej wnuczka przez lat wiele w Piotrowej chacie chleb jadły. Nie darmo wprawdzie go jadły, ale był on dobrym i omastą życzliwości obojga gospodarstwa

przyprawionym. Że tam potem stało się inaczej i na tułaczkę znowu iść musiały, w tym już winy Piotra nie było.

– Pietrusia! – zawołał do żony kowal – zrób no dla d z i a d ż k a herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubił bardzo herbatę, choć popijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał; we własnej chacie samowara mieć nie chciał, bo go d z i d y, p r a d z i d y nie miewali.

– Oho! – zauważył – wy jak pany... h a r b a t ę sobie pijecie...

– Co dzień nie pijem, ale czasem pijem – odpowiedział kowal – a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czym innym żywot rozegrzać... I starej babuli ziele to życie przedłuża, i jak gość t r a p i s i ę, potraktować dobrze...

– Dobrze, czemu nie, dobrze? – potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytywać się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata schodził, i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jako rzemieślnik, do czynienia miał. Michałka nie trzeba było długo do rozmowy zachęcać, bo z natury był wielomównym i wesołym. Więc też szeroko i długo opowiadać zaczął gościowi o jakimś wielkim mieście, w którym jako żołnierz lat parę przebywał, a tymczasem Pietrusia z pośpiechem zagotowała wodę w samowarze i po kilku minutach z glinianego czajnika naląła herbatę do trzech szklanek z grubego, zielonawego szkła i do każdej z nich włożywszy cynową łyżeczkę, na białym spodku kilka kawałków cukru położyła. Naczynia i cukier z szafki wyjmowała, związała się po izbie bosymi nogami żywo i zgrabnie, szklanki i łyżeczki jak wesołe dzwonki w rękę jej dzwoniły. Dwie szklanki z herbatą postawiła na stole przed gościem i mężem, trzecią, na ławę wskoczywszy, na piecu umieściła i gdy dwaj mężczyźni bezprzestannie gawędzili z sobą, ona gorącą herbatę na spodek wylewała i wydymając policzki z całej siły głośno na nią dmuchała. Potem końcem palca dotykała płynu, a przekonawszy się, że już był ostudzony, brzeg spodka do ust babki przykładała mówiąc:

– P i e j, babulo, p i e j!

Siedziała na brzegu pieca i ślepą babkę herbatą poila. Chustki na głowie w domu nie nosiła. Ciemne włosy rozrzuciły się trochę dokoła jej twarzy, a czoło miała takie gładkie i pogodne, a oczy tak od wesołości błyszczące, że choć tam w kołysce usypiał roczny już chłopak, na dziewczynę wyglądała. Michałek z Piotrem rozmawiając spojrział na żonę, raz, drugi, a potem opowiadanie jakiegoś przerwał i zapytał:

– Pietrusia! a ty z n o u h a r b a t y nie pijesz?

Wydeła trochę wargi i bosymi stopami po ścianie pieca bębniąc odpowiedziała:

– N i e c h a c z u! n i e l u b l u! p a s k u d n o j e z i e l e. Mnie lepsza zacierka z sadłem.

To wspomnienie o sadle przypomniało Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Wsparł tedy łokieć na stole, twarz na rękę i wypadek, który chatę jego nawiedził, opowiadać zaczął. Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajęło ich nade wszystko pytanie: kto to taki – ten złodziej? Kowal przypomniał sobie, że wczorajszej nocy wracał właśnie z sąsiedniej wsi, do której za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami.

– A jakże on wyglądał, ten człowiek? – ciekawie zapytał Piotr.

Kowal odpowiedział, że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał dokoła twarzy. Tego ostatniego na pewno nie utrzymywał, bo noc była, ale że widział go dość z bliska i gwiazdy świeciły, więc zdaje mu się, iż miał siwy zarost dokoła twarzy. Piotr zadumał się, a potem rzekł:

– To zupełnie tak, jakby Jakub Szyszko...

W podejrzeniu wyrażonym względem Jakuba Szyszki nic nieprawdopodobnego nie było. Nieraz już on w życiu swoim na złodziejstwie był złapanym, a ot, dwa lata temu za wdarcie

się przez dach do stodoły dworskiej pół roku w turmie przesiedział. Jednak było to tylko podejrzanie. Piotr wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

– Ja do was z prośbą, ciotko – rzekł. – Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potem chropowatym swym i bezzębnym głosem, ale powoli z namysłem mówić zaczęła:

– Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłoży palce pod ucha nożyc, a d r u g i e l u d z i e niech mówią różne nazwiska, różne, jakie sobie tylko wspomną... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja nie raz, ale sto razy na własne oczy widziałam...

Umilkła, wyciągnęła ramię i parę razy w żółtych palcach wrzecziono pokręciła. Kowal zaśmiał się głośno.

– Głupstwo! – rzekł.

– Michałek! – z przerażeniem prawie zawołała Pietrusia – ty zawsze taki! tobie wszystko głupstwo! ej, niedowiarek paskudny!

Aż zaczerwieniła się cała, tak ją niedowiarstwo męża oburzyło. On pobłażliwie wymówkę jej przyjął i tylko z cicha jeszcze zamruczał.

– Oj, baby, baby d u r n y j e!

Ale Piotr z nadzwyczajną uwagą i powagą słuchał słów Akseny, która rękę z wrzeczionem opuściwszy dodała jeszcze:

– Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na *Ewanielię*. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na *Ewanielię* wróży się... To już wszystko jedno... jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

– To już na *Ewanielię* wołę – rzekł, a po chwili dodał: – Zawsze to boska rzecz jest i boska siła...

– No, to tak samo w *Ewanielię* nożyce wbić... – nauczała baba.

– Głupstwo! – zaśmiał się znowu kowal, a Pietrusia skoczyła i ręką mu usta zamknęła. On ją wpół pochwycił, dwa razy się z nią w kółko okręcił, a potem tak załaskotał, że zachodząc się głośnym śmiechem na ławę upadła. Piotr na te swawole młodych żadnej uwagi nie zwracał. Jemu ważniejsza sprawa na sercu leżała i przy tym wszelkie rozmowy o wróżbach, cudach i czarach przejmowały go na wskroś tajemniczą i trwożliwą uroczyością. Wstał z krzesła i z niejakim zakłopotaniem zaczął:

– D z i a k u j u wam, Aksena, za waszą radę... Tylko jak to zrobić... trzeba, żeby to kto z n a - j ą c y robił...

– Ja wam to, dziadźku, zrobię... – zrywając się z ławy zawołała Pietrusia – czemu nie! Tyle lat chleb wasz jadłam, a teraz bym tej przysługi wam nie zrobiła?... Ot, już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tym przyjemność i ambicję swoją, wszelakie stroje dla niej kupował, a i jej podobało, się to bardzo, że szczęściem swym popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, w kupnej perkalowej spódnicy, w zgrabnej, nowiutkiej siermiężce i kwiecistej chustce na głowie w kilka minut potem weszła do chaty starosty i, przed dawną gospodynią swą pokłoniwszy się nisko, w rękę ją pocałowała. Dwom innym kobietom za to ledwie głową kiwnęła. Wiedziała dobrze, że dla obydwóch jest tym samym, co sól w oku. Jedna jej swą małżeńską niedolę przypisywała, druga zazdrościła dostatku. Teraz przecie na chwilę o urazach swych zapomniały, ciekawość przemogła nad nienawiścią. Skupiły się dokoła przybyłej i zarzuciły ją pytaniami, ale ona z dwoma niedorośliwymi jeszcze chłopcami gospodarstwa zaraz gwarzyć i chichotać zaczęła. Znała ich niemal od niemowlęctwa; Klemensa w czerwony policzek uszczypnęła, a Jasiukowi palec włożyła w usta, które najczęściej gapiowato otwierał. Oni ją za to za nogi tak pochwycili, że jak długa na

środku izby upadła. Baby i dzieci aż za boki brały się od śmiechu i wiadomym to już było, że gdzie Pietrusia wpadła, tam pełno być musiało gadania, śpiewania i śmiechu. Jedna tylko Rozalka ani myślała śmiać się. Na klocku drzewa przed piecem usiadła, ręką brodę podparła i zadumała się ponuro. Wtem jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w ręku niewielką książeczkę w podartej oprawie i ze żółkłymi kartami. Była to *Ewanielia*, którą z poszanowaniem chował on na dnie skrzyni od lat wielu, odkąd, mu ją po sobie w sukcesji zostawił dziad bardzo stary, który z nią od dworu do dworu i od wsi do wsi chodził, aż na koniec w Suchej Dolinie w Piotrowej chacie zmarł. Piotr dziadowi trumnę własnymi rękami z czterech desek zbił, uczciwie go pogrzebał, a książkę starego żebraka jako rzecz świętą uważając w chacie ją swej pozostawił. Nie otwierał jej nigdy, bo czytać nie umiał, ale obecność jej na dnie skrzyni za niejaki ubezpieczenie chaty od nieczystej siły uważał, a ot, teraz, z poszanowaniem z komory ją wyniósłszy, w milczeniu Pietrusi podał. Ona z kieszeni siermiężki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła, i w tym mgnieniu oka tak spoważniała, że aniby w niej poznać wesołą młodycę, która tylko co po izbie z niedorosłymi chłopcami uganiała się i koziołki wywracała. Spoważniała, czoło trochę zmarszczyła, a wzniesione w górę jej oczy wyraz modlitewny przybrały. Westchnęła głośno, westchnęły za nią i inne kobiety, nawet Rozalka. Piotr przeżegnał się; naśladowali go synowie obaj: rosły i czerstwy Klemens z rozbłysłymi od ciekawości oczami i blady, chuderlawy Jasiuk z gębą szerzej niż kiedykolwiek otwartą. Nagle jednym zamachem Pietrusia rozwarte nożyce w grzbiet książki wbiła i pod jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając drugie Piotrowej wskazała.

– Trzymajcież, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jej rozkazano. Książka na ostrzu nożyc wisząca szeroko ku dołowi rozwierała swe stare, żółkłe karty.

– G a d a j c i e ż teraz – zadysponowała Pietrusia – różne a różne nazwiska, g a d a j c i e. Na czyje nazwisko *Ewanielia* pokręci się, ten złodziej...

Rozalka pierwsza wyskoczyła z pytaniem.

– Anton Budrak? – pytającym tonem wymówiła, a pragnęła, aby książka uczyniła owe zapowiedziane poruszenie, bo wczoraj właśnie nad stawem przy płukaniu bielizny pobila się z Budrakową. Ale książka ani drgnęła.

– Lewon Kuziauka? – ciekawym dyszkantem zapytała Szymonowa, był to albowiem jeden z najdokuczliwszych wierzycieli jej męża. Ale książka pozostała nieruchomą.

Nazwiska za nazwiskami wypadały z ust kobiet i chłopców uszczęśliwionych tym, że w tak ważnym akcie jakąś rolę grać mogą. Książka jednak wciąż nie odpowiadała nic. Na koniec Piotr, który dotąd żadnego nazwiska nie wymienił, basowym i przytłumionym swym głosem rzekł:

– Jakub Szyszko.

Nie darmo przed półgodziną u kowala wyrażano podejrzenie na człowieka, który się tak nazywał. Palec Pietrusi drgnął tak lekko, że drgnięcia tego nie tylko nikt nie spostrzegł, ale ona sama nie uczuła, a książka powolnym i zaledwie też dostrzegalnym poruszeniem dokonała mały półobrót.

– Aha! – zawołało chórem głosów siedem.

Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrza nożyc wyciągnęła i pochyliwszy się, nabożnie starą okładkę ucałowała. Za jej przykładem poszli inni. Całowały książkę wszystkie z kolei kobiety, całowali, tak że aż prawie smoktać ją zdawali się, dwaj chłopcy; długim i skruszonym pocałunkiem usta swe do niej przyłożył Piotr i natychmiast łuczywem sobie świecąc do komory ją znowu poniósł. Potem kobiety i chłopcy wymówili znowu chóralnie: „Aha!”, w którym mieściły się uczucia różne: oburzenia, uradowania i wdzięczności dla tego czegoś; co im złodzieja odkryć pozwoliło. Czym było to coś, nie zapytywali o to i ani dorożumieć się mogli. Czuli tylko i myśleli, że była to jakaś siła, która usługę im oddała za

pośrednictwem Pietrusi. Tego wieczora jeszcze ognista Rozalka latała po wsi, a zgnębiona Paraska ze skwierczącym dzieckiem swym na ręku od chaty do chaty łąziła, a obie na wyści- gi, jedna prędko i zapalczywie, druga powoli i mazgajowato, rozpowiadały o wszystkim, co działo się i stało w chacie starosty.

Potem głuche już tylko chodziły wieści o tym, co pomiędzy Piotrem i Jakubem zaszło. Podobno pierwszy w rzadko u niego zdarzającym się, ale gwałtownym przystępie gniewu zbił Jakuba we własnej jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Jakub wiedział już z doświadczenia, że od sądu nie zawsze bezpiecznie wykręcić się można, a na stare lata nie chciało mu się po raz trzeci turmę nawiedzać. Przy tym gdy synowie i córki z małymi dziećmi na rękach rzuciły się do nóg staroście prosząc, aby gospodarstwa ich nie rujnował, winowajca rozplakał się, wszystko przed Piotrem wyznał i zwrócił mu dwa sadła i pięć ścian płótna. O reszcie płótna utrzymywał, że gdzieś je zgubił, a o kiełbasach, że je jakimś przypadkiem psy zjadły. Płakał, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał się, że tak było. Synowe i córki wiedząc dobrze, że tak nie było, skupiły się w kącie izby i milczały. A nuż Piotr uwierzy, a pięć ścian płótna i kiełbasy w chacie pozostaną! Piotr nie uwierzył, ale gniew odszedł mu nieco i widział zresztą, jak ubogą była ta Jakubowa chata i jaka ją napełniała gromada. Było tam dusz ze trzyńście, starych, młodych i małych. Tyle ludzi za winę jednego gubić i samemu niemałych kłopotów nabrać się. Ręką tedy machnął, to, co oddano mu, zabrał, a o tym, czego nie oddano, przez zęby mruknął:

– Pan Bóg przenaświętzy tę moją krzywdę w królestwie niebieskim wynagrodzi...

I sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomnieć o niej nie mogli. Nie zapomnieli o niej przede wszystkim Jakub, który odtąd, ilekroć Pietrusię spotkał, spluwał na stronę i z gniewem mrucał:

– Zgiń, przepadnij, n i e c z y s t a j a s i ła!

Nic w świecie nie zdołałoby zachwiać w nim przekonania, że tej kobiecie moc jakaś tajemnicza i jej samej tylko znana postępek jego wyjawiała. Nienawidził jej i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jej też zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią. Młodej Łabudowej, na przykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na pierwsze wiosną wylegnięte kurczę albo kaczę spojrzeć i w tejsze chwili co prędzej węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać.

– Jak ręką odejmie – upewniała.

Istotnie, ujęło jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febrę, utraciła; że zaś miała męża młodego, świekrę gderliwą i roboty wymagającą, wdzięczność jej dla Pietrusi była wielką. Inną znowu kobietę w ciężkim położeniu będącą napoiła płynem z dziecięciu gatunków ziół przyrządzonym, a zwanym dziewięcioranką, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną. Od gardła dawała brunelkę, od kaszlu ślaz i dziewannę, od bólów krzyża krwawnik, od ściskania w żywocie cząber i miętę. Przeciw chorobom jednym doradzała koniczynę białą i wiśniową korę w dół z drzewa zeskrobywaną, przeciw chorobom innym koniczynę różową i takąż korę tylko w górę z drzewa zeskrobywaną. Dzieci, które dostawały konwulsji, kładła na desce pośród koła zarysowanego kredą, a te, które koklusz męczył, poiła sokiem rzepowym, nie z czego innego dawanym, tylko z samejsze rzepy w formę kielicha wydrążonej. Słowem, nieprzebraną była w środkach zaradzających cierpieniom najpospoliciej dolegającym mieszkańcom wsi. I nie tylko знаła je, ale ich udzielała zawsze z uprzejmością i chętnością wielką. Inna brałaby za to jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wie co jeszcze. Ona nie. Nigdy niczego w zamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast i przyniosła jej kiedy cokolwiek w fartuchu lub pod chustką, nie przyjmowała. Rękę wyciągającą się z datkiem odpychała mówiąc:

– Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości...

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę albo znędniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się:

– A to co? A gdzie boli? A może to ze zgryzoty jakiej? a jaka to zgryzota?

Wypytawszy się, czasem jakie ziółko albo inny sposób na ludzką biedę doradzi, a jeżeli rady nie wymyśli, to z dorosłym o biedzie jego pogada i głową pokiwa, dziecko w ramionach pokołysze, w chude ciało pocałuje i potem już w swoją drogę idzie. Stara Aksena słysząc ciągle, że ludzie do niej po radę przychodzą, z rok czy ze dwa milczała, ale potem zaniepokoiła się czegoś i wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niej:

– A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będiesz ty za to podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia na miotle łokieć wsparła i zamyśliła się. Po chwili z namysłem zaczęła:

– Ot, widzicie, babulo, mnie zdaje się, że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo już polubiłam... i wprzódy ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłam jeszcze więcej... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa, i dzieci przybywa, i ciągle mnie na świecie lepiej i lepiej, a ja ten świat lubię więcej i więcej, i wszystko, co jest na świecie, lubię... i słoneczko to boże ciepłe, i gwiazdy te boże jaśnieńkie, i drzewa te szumiące, i kwiaty pachnące, i ludzi wszelakich, i każde żywe stworzenie... Wszystko lubię... I Kusego lubię... Kusy! Kusy! na, masz!

Brzydkiemu kundlowi w czarne i białe plamy kromkę czerstwego chleba rzuciła, po twardej szerści go pogłaskała i dalej izbę zamiatając na całą chatę zaśpiewała:

*– Tam na dole, na pryhore,
Posiejali proso,
Oj, tam chodzi Jasiuleńko
Do dzieuczyny boso!*

Aksena chciała jeszcze gderać.

– Oj, m a ł a d a j a, d u r n a j a! – szeptała, lecz promień słońca przez okno padający łagodnie ogrzewał starą jej głowę, a izbę napępiał zapach skwarzącej się na piecu słoniny i wesoły rozgłośny śpiew wnuczki. Co tam było szczęśliwej tej roztrzepanicy napomnienia jakie prawić albo złe wróżby gadać? Sama więc w uszczęśliwionym uśmiechu rozciągała wąskie swe wargi od ucha do ucha i na bok nieco przechyliwszy głowę pilnie nasłuchiwała, czy nie zbudzi się czasem i w kotysce swej nie zaskwierczy malutka Krysienka. A to już ręce od przedzenia zaboląły i błogo byłoby na kolanach potrzymać prawnuczkę!...

IV

Po Stasiuku i Krysienke urodziła się Helenka, a po Helence przyszedł na świat Jadamek i czworo już dzieci, z których najstarsze miało lat sześć, zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala w porze owej, gdy mieszkańcy Suchej Doliny rozniecili wśród dróg, rozstajnych ogień z osinowego drzewa. Na ogień ten niby motyl nocny ku zgubie swej blaskiem płomienia zwabiony pierwsza nadeszła Pietrusia. Ona więc była tą duszą złośliwą i nieczystą, która w chatach kilkunastu mleko krowom odebrała. Gdyby zamiast niej przyszła tam była kobieta inna, opinia publiczna wioski byłaby także żywo zaniepokojoną i silnymi przeciw niej podejrzeniami nurtowaną; jednak podejrzeniom tym towarzyszyć by mogły wątpliwości niejake. Dla ustanowienia zupełnej pewności faktu tego trzeba było szeregu faktów poprzedzających. Tu nikt zaprzeczyć nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała chwilę obecną. To dziecko

nieznane przywędrowało tu kiedyś ze starą babą, którą nie wiedzieć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i z n a ł a tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi razem wzięte nie z n a ł y. Skąd jej przyszły te wiadomości wszystkie? A potem oślepla. Czy to nie było czasem karą Bożą za jakie brzadkie postęпки, których dopuszczała się kiedyś za oczami ludzkimi, albo za jakie stosunki z nieczystym? A toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłąda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A toż wyjście za mąż za chłopca, który sześć lat jej nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkież jej leki i inne porady? Za jej to przykładem teraz wszystkie dziewczki paliły wienniki, gdy chciały gości do domu sprowadzić, wskutek jej ostrzeżenia nikt nigdy nie podjął z ziemi tasiemki związanej w szereg węzłów, bo zaraz by dostał brodawek. Wprawdzie spory zapas podobnej mądrości życiowej istniał w Suchej Dolinie i w ogóle w całej okolicy niezależnie od Pietrusi i przed przybyciem jej w te miejsca. Wprawdzie od d z i d ó w, p r a d z i d ó w żadna z tutejszych niewiast w dniach rozdzielających Narodzenie Pańskie ze świętem Trzech Króli za nic w świecie nie pokręciłyby ni razu wrzecionem, boby przez to na wiosnę wszelkie ptactwo domowe z zawrotu głów pozdychało; żadna w dzień Podwyższenia Krzyża Świętego nie chodziła do lasu po grzyby i jagody, boby przez to wszelkie robactwo i gady las zamieszkujące na chatę swą nawiodła; żadna przy żęciu zboża nie upuszczała z pilnej uwagi tego, aby przypadkiem nie ściąć sierpem kłosów w pewien sposób związanych lub załamanych, bo wiązuje je zwykle lub załamuje ta ręka nieżyczliwa na nieszczęście tej, która je żeźnie. I wiele, wiele podobnych wskazówek i wiadomości od d z i d ó w, p r a d z i d ó w posiadała ludność Suchej Doliny, ale Aksena i jej wnuczka posiadały ich bez porównania więcej. A to terazniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, klaczka do zaprzęgu tęga, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące i jeden, drugi biały talerz. Małaż to rzecz bogactwa takie? Skąd oni je mają? Od dawna już Rozalka Stepanowa, a za nią i wiele innych kobiet na cały głos dziwi się i wykrzykuje, że kowalicha jak pani jaka h a r b a t ę w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowie zawiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiej baraniej czapki to już na nim ani zobaczyć. Rozalka aż wścieka się, a rozlaźla Paraska aż płacze, gdy zapytują się samych siebie i sąsiadek: skąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadki, szczególnie młoda Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspominają coś o tym, że Michałek podobno trochę pieniędzy z sobą przywiózł, a zarobił je swoim rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo, i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią itd. Ale Rozalka i Paraska, a z nimi i inne kobiety wzgardliwie głowami kiwają, a proszącymi oczami spoglądają na Jakuba Szyszke, który najczęściej rozmowom tym obecny bywa i uroczyście prostując się mówi:

– C z o r t wiedzcie przez komin h r o s z e nosi. Ot, skąd u nich te bogactwo.

Teraz stary Szyszko tryumfował.

– A co – mówił – kto przyszedł na ogień? Kto krowom mleko odebrał?

Wieś była duża i nie cała zajmowała się tą sprawą. Ale w kilkunastu chatach wrzało wieczoru tego jak w garnku. Mężczyźni dziwowali się i oburzali zarazem, ramionami wzruszali i pięści ściskali, ale jak zwykle bywa, gdy im wódka ust nie rozwiązuje, mówili mało. Babskie języki za to latały jak młyńskie skrzydła. Rozalka ze swymi żywymi ruchami wiewiórki a syczącymi ustami żmijki uwijała się między ludźmi po różnych izbach i dziedzińcach wtedy jeszcze, gdy już na godzinę przed północą koguty zapały. Stepan z dzieckiem na ręku do puśtej chaty wszedł, ogień rozniecił, łuczywo zapalił i w szczelinę ściany wetknął, a potem zmarszczoną i srogą twarz swą pochylił nad dzieckiem, które w objęciu jego spało. Czy naprawdę do żyjącego dziecka należała ta niekształtna głowa, lnianymi włosami z rzadka okryta, z twarzą nabrzmiałą i zamkniętymi powiekami, których żółte rzęsy leżały na woskowej

żółtości policzkach? Przy świetle łuczywa Stepan przypatrywał się tej twarzy. Dlaczego syn jego był mizeractwem takim, kiedy on sam należał do najsilniejszych i najroślejszych chłopów we wsi i całej okolicy? Wiecznie zgryzotą jakąś ściągnięte usta Stepana nad samą twarzą dziecka zaszemrały:

– Oj, biedulku ty, biedulku! kiedy ty był w żywocie matki, b a ć o twój bił żonkę, bo n a- w i d z i ć jej nie mógł... a kiedy ledwie od ziemi odrastał, paskudna matka łopata cię po głowie uderzyła...

Srogość jego twarzy topniała w okrywającym ją wyrazie bólu. Pocałował w czoło uśpione dziecko, ono zbudziło się i rączynami u szyi mu zawisło:

– Tatku, jeść!

Jednym ramieniem przytrzymując je u piersi, drugim sięgnął w przepaścistą głębinę pieca i wyciągnął z niej garnek z jakąś ledwie ciepłą resztą krupniku. Wziął drewnianą łyżkę i wlewał nią krupnik w usta dziecka. Część krupniku wylewała się z łyżki i ust dziecka na brzeg pieca, dziecko krztusiło się i śmiało zarazem; Stepan także wśród niezliczonych zmarszczek swej twarzy uśmiechać się zaczął. Wkrótce jednak srogo znowu brwi zsunął i z ust wyrzucił ciche przekleństwo. Dlaczego w dostatniej chacie jego panuje niedostatek taki, że ot dziecko swe karmić musi zimną resztką krupniku, a sam głodnym będąc jeść czego nie ma? Komora przecież pełna. Tak, ale chata pusta. Dziecko w niej to jedno tylko, a żonka po świecie lata z językiem wywieszonym jak u suki.

– Suka! – zamruczał i znowu zaklął.

Potem jeszcze do dziecka rzekł:

– Oj, żeby t a m t a twoją matką była, nie tak by ty wyglądał...

Po chwili ojcowskimi rękami na sienniku ułożone mizerne dziecko znowu zasnęło, a Stepan, przyniesioną z komory kromkę chleba z kawałkiem słoniny zjadłszy, siedział przy ścianie na ławie i drzemał. Orał dziś przez dzień cały, tak więc znużony był, że aż całą swą postać kołysał się od senności to w tył, to naprzód. Jednak do snu się nie układał. Na żonę czekał. Byłże to objaw czułości małżeńskiej? Doświadczyć tego miała Rozalka, gdy na godzinę przez północą do chaty wracała. Wracała zaś w humorze wybornym. Uszczęśliwiało ją to, że Pietrusię złapano dziś na gorącym uczynku szkodzenia ludziom i że odtąd nie tylko cała wieś, ale i Stepan w obrzydzenie ją weźmie najpewniej. Ta ostatnia nadzieja rozplywała się po jej wnętrzu namiętą rozkoszą. Ona przecież nie z przymusu i nie z chciwości, ale z lubienia za Stepana poszła. Ostrzegali ją ludzie, że on wielki złośnik.

– Już ja jemu dam rady – mawiała. – Na złość jest złość i nie wiadomo jeszcze, kto kogo przewycięży. Niechaj bije, byle lubił.

Aż tu przekonała się, że on jej nie lubił, a pojął ją tylko dlatego, że kiedy matka umarła, gospodyni w chacie konieczną już się stała. Tamtą to lubił, i jak jeszcze lubił! O, gdyby nie bała się kryminału i sądu, byłaby już tę tamtą sto razy zabiła! Ale teraz zabita już ona i tak. Wiedźma, ludzi krzywdząca i z nieczystym będąca w znowie. Teraz to i Stepan plunie na nią tylko, gdy ją zobaczy. Nadzieja ta uczyniła ją szczęśliwą i bardzo dla męża czułą. Wsunęła się do chaty z cicha i, ujrawszy Stepana siedzącego jeszcze na ławie, jak wiewiórka przyskoczyła, usiadła przy nim i za szyję go ramieniem objęła. Oczy jej wyglądały jak dwa czarne płomyki, wąskie usta ukazywały w uśmiechu rząd śnieżnych zębów. Na szyję męża ramię zarzuciwszy chciała przycisnąć się do jego boku, gdy nagle on pięść podniósł i uderzył ją w plecy tak silnie, że aż z ławy na ziemię kolanami upadła. Zarazem krzycheć zaczął zapytując ją, gdzie tak długo siedziała, czemu wieczerzy nie zgotowała, czemu do dziecka nie przyszła. Wtedy ona znowu złością wybuchnęła i zerwawszy się z klęczek a ręce na biodrach oparłszy zaczęła skakać mu w oczy, zjadliwie śmiejąc się i wołając:

– Wiedźma twoja Pietrusia! Wiedźma twoja miła! wiedźma twoja lubka najmilsza! wiedźma! wiedźma!

Stepan zerwał się z ławy i, za włosy ją porwawszy, znowu na ziemię rzucił. W tejże chwili krzyk i łoskot obudził małego chłopczykę, który ujrzawszy rodziców bijących się na środku izby szybko wysunął się spod r a d n a i cicho, z przestraszonymi ruchami wlaź pod tapczan. Z doświadczenia wiedział o tym, że po każdej bitce z mężem matka porywała go za włosy lub koszulę i jak szczenię na środek izby z pościeli wyrzucała. Ojciec go wtedy najczęściej na ręce brał i po izbie w ramionach nosił tuląc i całując, ale czasem, kiedy już był bardzo roz-
złoszczony, także go nogą kopnął...

Pietrusia tymczasem, zaszedłszy do kuźni i chwilkę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielienia buraków i kapusty, a na godzinkę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieczrę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem, która przez wnuczkę do ogrodu wyprowadzona cały dzień na trawie przesiedziała, a teraz już zwykle swe miejsce na piecu zajęła, skupiło się troje starszych dzieci. Najmłodsze spało w kołysce. W zmroku letnim, który napełniał izbę, gwiazdami do niej przez szyby okien zaglądając, grupa złożona z czterech istot ludzkich różnej wielkości ciemniała i poruszała się w zarysach mętnych pod samym prawie sufitem izby na kształt grupy cieniów. W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrypiał i szeplecił głos ślepej baby i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś to z powagą wielką, to ze swym suchym, klekotliwym śmiechem opowiadała; one jej mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały. Najczęściej i najśmielej odzywał się sześćioletni Stasiuk, najmilszy pierworodny ojca, po trochu już pomocnik matki w pielęgnowaniu najmłodszego dziecka, po trochu też już i opiekun ślepej babki, którą czasem na piecu karmił, a po dziedzińcu i ogrodzie za rękę wodził. Teraz był on czegoś niezmiernie rozciekawionym i głosem rozpieszczanego dziecka nieustającymi zapytaniami prababkę napastował.

– Gdzie on był, babulko? gdzie Jadamek był, nim do naszej chaty przyszedł? Gdzie on pierwiej był?

Szło mu właściwie o to, skąd przyszedł najmłodszy braciszek, który przed miesiącem zjawił się w chacie, i co on robił przedtem, zanim tu przyszedł? Stara śmiała się długo, a potem rzekła:

– W lesie Adamek był, w lesie był twój braciszek mileńki, nim tu przyszedł.

– A co on tam robił? – zabrzmiało znowu pytanie.

– Zajączki w lesie pasł – odpowiedziała mu babka.

– A ja gdzie był pierwiej, nim tu przyszedł?

Stara bez namysłu już odpowiedziała:

– Ty na wysokim, wysokim drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

– A ja? a ja? babulko, a ja?

– Ty, Kryśka, na dnie sinieńkiej wody siedziała i rybki pasła...

– Halenka? babulko? a Halenka?

– A ja babulko? a ja gdzie była?

Widać prababka trzyletnią Helenkę pocałowała, bo po izbie rozległo się głośnie cmoknięcie. Potem ze śmiechem, w którego starym klekocie czuć było rozkosz, odrzekła:

– Halenka w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

Wtem drzwi stuknęły i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

– Czy to ty, Pietrusia? – zapytał w zmroku głos chrapliwy i szepleniący.

– Mama! – zadzwonił dziecięcy chór.

– Wszyscy wy tutaj? – zapytała wchodząca.

– A wszyscy.

– Adamek śpi?

– A śpi.

– To i chwała Bogu. Ot, zaraz ogień rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

– Oj, dobre kartofle... młode... – z wyraźną rozkoszą zaszepleniła babka.

– Dobrze... oj, dobrze... – powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zapłonął w piecu i oświetlił izbę, w której przez upłynione lat kilka zaszły niejaki zmiany. Ale były to zmiany na dobre. Więcej dostatku i więcej wymysłów. Pomędzy oknami stała komódka, a na niej dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklanym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranium całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki białe talerze, a na jednej ścianie kilka obrazków w błyszczących ramkach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potem sam z tych przybytków cieszy się jak dziecko i żoncy cieszyć się każe. Gdyby i nie kazał zresztą, ona cieszyłaby się sama. Oczy jej kochają się w jaskrawych barwach perkalowych firanek i złotych połyskach mosiężnych lichtarzy, a jeśli stąd doświadcza jakiego zmartwienia, to tego chyba, że ślepa babka tych wszystkich piękności i wygód, w jakie ona teraz opływa, widzieć nie może. Opowiada jej o nich za to długo i szeroko i każdą rzecz nową do pomacania jej daje. Zresztą, wszystkie stare rzeczy pozostały w tej izbie, tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianymi poręczami, krośna tkackie Pietrusi, w kącie jednym wielki stos różnego żelastwa i nad nim na ścianie kilka nowych, tylko co w kuźni zrobionych siekier, pił, kruków i szczypiec. Na krośnach tkackich Pietrusia r a d n o rozesała i na nie wysypała z fartucha rozsypane zioła. Potem zakrzętała się około wieczerzy; dzieci niby ptaki z pieca zleciawszy biegały koło niej bosymi stopy i szczebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

– Mamo! ja na dnie sinieńkiej wody siedziała i rybki pasła...

– A ja w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

– A ja na wysokim, wysokim drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

– A Jadamek w lesie siedział i zajączki pasł...

Sypiąc kartofle do garnka Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zachodziła się od śmiechu, że te d u r e ñ k i tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potem wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

– Tatku, ja w sinieńkiej wodzie...

– A ja, tatku, na wysokim drzewie...

– A ja w gęstej trawie...

– A Jadamek w lesie...

Michałek jedno po drugim na ręce je brał, jak piórka wysoko nad głowę swą podnosił i całował na ziemi znowu stawał. Szeroko przy tym i z przyjemnością widoczną rozpytywał się dzieci, co tam w tej wodzie, w tej trawie i na tym drzewie robiły i kiedy to było? Teraz stał się on mężczyzną zupełnie już dojrzałym, z ramiony od kowalskiej pracy szeroko rozrosły, z twarzą od opalenia prawie brązową i wielkim, czarnym wąsem nad łagodnymi usty. Znać w nim było siłę pracownika i powagę człowieka, który tylko od własnej swej pracy zależał. Z czarnych oczu jego. gdy dzieci całował i po pełnej dostatków izbie się rozejrzał, patrzyło szczęście. Siadając na ławie zawołał:

– Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie poodpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczej żony nie nazwał jak z u z l a, imieniem tego miłego ptaka, który wesołym kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

– W mig będzie wieczerza! – wesoło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim kominkiem.

Od lat paru Michałek chciał już zawsze wieczerzać przy świetle lampki, łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniej i weselej było. W mgnieniu oka dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem

gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli, bochen chleba i nóż mężowi podała, a potem z sieni przyniosła jeszcze hladysz z kwaśnym mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły: Stasiuk pod kraciastym kilimkiem na tapczanie, Kryśka i Halenka na piecu obok babki. Ślepa baba, przez prawnuka nakarmiona mlekiem i kartoflami, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotu i swawoli, zabierała się także do rozciągnięcia na piecu starych swych kości, kiedy Pietrusia myjąc miski i łyżki odezwała się nagle:

– Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Przez cały wieczór zajęta mężem, dziećmi i wieczerzą, zapomniła o wszystkim, co nie było najbliższym i najmiłszym jej otoczeniem. Zresztą do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązywała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swoim kochaniem i swymi pomyslnościami, tak że nic z tego, co się jej zdarza, na złe sobie tłumaczyć nie umie. Kowal grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmakotniała. Wprzód już kłoniła się była ku swemu posłaniu; teraz siedziała wyprostowana, nieruchoma, a kościste jej szczęki poruszać się zaczęły tak, jak gdyby coś z trudem przeżuwała. Był to u niej znak niemylny zgryzoty lub troski. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitej do ściany desce, stara głosem objawiającym głębokie zamyślenie ozwała się z pieca:

– To niedobrze, oj, to niedobrze, że ty, Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!...

– Głupstwo! – zaśmiał się kowal i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła:

– Czemu? – zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle baba mówić zaczęła:

– Bo najpierw wiadomo, że na taki ogień z a u s i u d y (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg najwyższy siłą nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty, Pietrusia, d z i s i a k a (dziś) na ten ogień przyszła?

Ręce młodej kobiety opadły nagle i splotły się na spódnicy. Oczami, które otworzyły się szeroko, na babkę patrzała.

– Czy ja wiem, czemu? – wymówiła z cicha i usta jej zdumienie czy przerażenie rozwarło.

– Ot! – lekceważąco ozwał się kowal – szła, to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować!

Ale Aksena nie zważała na sceptyczne odezwania się Michałka, a Pietrusia nawet ich nie słyszała. Z otwartymi wciąż ustami, rozszerzonymi oczami patrzała na babkę, która dalej mówiła:

– A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłoszą i...

Szczękami gwałtownie poruszać zaczęła i po chwili dopiero dokończyła:

– I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

Tu ręką, jakby z żółtej kości wyrzeźbioną, uczyniła w powietrzu kilka znaków krzyża; ślepe jej oczy może od wyprężonego wzniesienia powiek rażącą białością odbijały wśród żółtej twarzy. Pietrusia tam, gdzie stała, osunęła się i na ziemi usiadła z rękami wciąż splecionymi i otwartymi ustami. Michałek mniej niż wprzód lekceważącym głosem burknął:

– Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić jej będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj, Boże, nieszczęścia!

Widać było, że jakkolwiek do rzeczy podobnych daleko mniejszą niż inni wagę przywiązywał, jednak gadanie ślepej baby sprawiało i na nim wrażenie niejake. Ona zaś po chwilowym milczeniu znowu mówić zaczęła:

– Dawno już ja, oj, dawno na tym świecie żyję, wiele świata schodziłam, wiele ludzi słyszałam i takich słyszałam, co żywymi oczami patrzali jeszcze na stare czasy, takie stare czasy, że o nich już teraz i pamięć pomiędzy ludźmi przepadła. Ot, kiedy ja z maleńką Pietruską na rękę w cudzy świat poszła, to zaszła raz do jednej wioski, w której żył jeden taki stareński człowiek, że mu już na twarzy zielony mech wyrósł, a ludzie mówili, że jemu może i więcej jak sto lat było. Za młodu on żołdatem podobno był i we dworach służył, i dużo świata schodził, to jak zacznie, bywało, gadać a rozpowiadać, wszyscy gębę otwierają i słuchają; wszyscy... h t o b y n i e b y ł... p a n y nawet i bardzo uczone ludzie przychodzą, bywało, i proszą jego, aby im różne rzeczy gadał... I ja, bywało, proszę i słucham... Oj, stary Zachar, stary Zachar! już teraz i kosteczki jego rozsypały się w mogiłce i dusza przed Panem Bogiem stanęła, a to, co on gadał i rozpowiadał, t a k i po świecie chodzi jak żywe... Ot, ja ślepa, a jak żywe stoi przed oczami mymi to, co on o tej wiedźmie powiedział, a słyszał to on sam od swego ojca, który ją już na swoje żywe oczy widział. A mnie teraz to wszystko jakby żywe przed ślepyimi oczami stanęło...

Znowu na chwilę mówić przestała. Wspomnienia, które przed ślepyimi jej oczami stały i poruszały się jakby żywe, wyrwały ją z nieruchomości uprzedniej. Kołysała cienką, kościaną swą postać to w tył, to naprzód i nim znowu mówić zaczęła, parę razy westchnęła głośno. Białe jej oczy nie świeciły już wśród żółtej twarzy, tak jak przed chwilą, bo przestał padać na nią blask ognia, który, powoli przygasając w piecu, rzucał na izbę smugi bladawe kołyszącej się w zmroku światłości. W jednej ze smug takich siedziała na ziemi Pietrusia z zamkniętymi już usty, ale splecionymi dokoła kolan rękami i niepokojem zmaconą twarzą. Pod drugą ścianą potężna postać kowala rozpierała się na ławie i stole. Przez oszczędność zapewne zgasił on lampkę, głowę na dłoni oparł i z uwagą słuchał gadania starej. Słuchał on zawsze bajek jej i opowieści z uwagą i przyjemnością pewną, płacąc jej wzajemnymi opowiadaniem o wędrówkach swych po świecie i różnych widzianych i słyszanych rzeczach. Tak im przechodziły dość często niedzielne popołudnia i spore kawały zimowych wieczorów. Teraz, choć spać mu się trochę chciało, słuchał jednak, a ślepa baba w zmroku zalegającym wierzchołek pieca chropowatym swym i szepleniącym, lecz silnym jeszcze głosem tak prawić zaczęła:

– Była, żyła w siole ludnym i bogatym dziewczyna, do czerwonej maliny podobna, słuszna jak ta topolka i taka piękna, że dziwowali się jej wszyscy ludzie. Parobki młode to wprost już szaleli za nią, a i panicze do niej przychodzili i mówią, bywało: „Choć spójrz ty na mnie, Marcysia! choć razik r u c z k u mnie s w o j u podaj!” Ale Marcysia nikogo nie chciała, ani chłopca, ani pana. Pójdzie, bywało, do studni, jak królowna jaka, w spódnicy s t u ż k a m i (wstążkami) naszywanej, w koralach i bursztynach na szyi, kwiatów sobie pełno we włosy nakładnie i śmieje się tylko ze wszystkich, białe zęby pokazując. I już zaczęli ludzie gniewać się na nią i różnie ją przezywać, i bardzo jej przypatrywać się, co ona takiego robi, że wszyscy do niej lgną jak te muchy do miodu, a ona sama to nikogo nie chce. Aż tu patrzą, patrzą i widzą, że Marcysia nie zawsze śmieje się i z parobkami albo paniczami baraszkuje, ale czasem też bardzo pochmurna chodzi, na ludzi zyzem patrzy, do lasu idzie i siedzi w lesie dzień, dwa, trzy dni, a jak wróci, potajemnie zioła jakieś warzy szepcąc nad nimi i dziwne znaki robiąc, a potem już ludziom różnym te zioła do picia daje, od bólów i od kolek, i od nudności, i od zgryzoty, i od wszelakiego ucisku, jaki tylko jest. Byli tacy ludzie, co od niej napoje te kupowali i potem dziękowali jej, i chwalili ją przed wszystkimi mówiąc, że ona bardzo ciekawa i dlatego wiele rzeczy poznała, a za ciekawością swoją to już i lubienia żadnego znać nie chce. Milsze jej było ziółko w lesie niż chłop na dobrej roli albo nawet i panicz we dworze. I byłaby sobie Marcysia spokojnie żyła i swoje robiła, bo nie miała nikogo, co by ją do czegokolwiek przymuszał, a w siole wszyscy już i przyzwyczaili się do tego, że inną sobie była jak wszystkie dziewczki. Bywało, mówią o niej: „Z innym sercem i innymi myślami się urodziła”. I dawali jej święty pokój. Ale ot, na nieszczęście Marcysi, polubił ją jeden dworski człowiek, g u b e r n e r czy p i s a r, czy co takiego. A ona z niego żartowała sobie tak, jak i

ze wszystkich. Stanie, bywało, przed kościołem, tam gdzie i on stoi, jak królowna jaka, w spódnicy s t u ż k a m i naszywanej, w cienkiej koszuli, w koralach i bursztynach na szyi i śmieje się z g u b e r n e r a białe zęby mu pokazując. On długo cierpiał i w s z y s t k o ją prosił, żeby go polubiła, aż kiedy zobaczył, że nic z tego nie będzie, w straszną złość wpadł, do miasta pojechał, przed k s i ę d z a m i i wielkimi urzędnikami skarżył się, że ot, tak a tak, Marcysia jest wiedźmą. Wtenczas w siole zrobiło się jak w piekle. Pojeżdżali się k s i ę d z y i urzędniki wielkie i zaczęli nad Marcysią robić śledztwo. Zebrali z sioła ludzi i pytali się: co ona robi? a czego ona do lasu chodzi? a co ona szeptce, kiedy zioła warzy? a jakie to zioła? a czy do niej czart w gościnę chodzi? a skąd u niej tyle s t u ż e k i koralów, i bursztynów, i wszelakich ubiorów jest? Wypytawszy się o wszystko, Marcysi ręce i nogi związali, na wozie ją położyli i do miasta powieźli. A w mieście na rynku pokazali ją wszystkim ludziom i powiedzieli, że to jest wiedźma. Tak i tak, mówili, tak i tak. Nieczystemu duszę swoją chrześcijańską zaprzedała, mówili, z nieczystym w lesie rozmawiała, mówili; nieczysty jej przez komin s t u ż k i, bursztyny i wszelakie bogactwa nosił, mówili. A potem na środku rynku nałożyli dużo drzewa, a potem kat w czerwonej sukni Marcysię za włosy schwycił i w ogień wrzucił. Ogień buchnął tak wielki, że prawie nieba dostawał, a Marcysia paliła się w nim jak ta trzaska, tak okropnie jęcząc, że jęczenie jej na cały świat rozchodziło się i prawie nieba dostawało, a od jej ciała, co paliło się w wielkim ogniu, smród rozchodził się po całym mieście, a k s i ę d z y na chwałę Panu Bogu święte pieśni głośno wyśpiewywali i sam król na tronie siedzący cieszył się i wszystkim ludziom cieszyć się przykazywał, że tak ot ukaraną jest wiedźma, co duszę swą chrześcijańską nieczystemu zaprzedała...

Umilkła Aksena i głębokie milczenie w izbie zapanowało. Kowalowi przy słuchaniu opowieści o wiedźmie wszelka ochota do spania przeszła. Czy wierzył on albo nie wierzył w istnienie diabłów i wiedźm? Sam dobrze nie wiedział. Po prostu wesoły temperament i przewaga praktycznych instynktów skłaniała go do lekceważenia podobnymi zagadnieniami i nawet do wesołych nad nimi żartów. Jednak opowiadania takie, jak to, które w tej chwili usłyszał, czyniły na nim wrażenie, chwiały silnie jego niewiarę, budziły w nim żywą ciekawość. Tak było z Michałkiem. Co do Pietrusi, ta z wytrzeszczonymi oczami i zbladłą od przerażenia twarzą słuchała opowiadania babki; gdy była w nim mowa o ogniu, który aż prawie nieba dostawał, wydała z piersi stłumiony okrzyk zgrozy, a gdy usłyszała o smrodzie, który z piekącego się ciała Marcysi rozchodził się po całym mieście, dreszcze wstrząsnęły silnie jej ciałem od stóp do głowy. W parę minut dopiero po umilknięciu babki ozwała się głosem tak cienkim i jękliwym, jakim nie mówiła nigdy:

– Babulo! czy ona naprawdę wiedźmą była? czy tylko tak – złe ludzie na nią wymyślili?...

– To już nie wiadomo – z namysłem i powoli odparła Aksena – tego już i stareńki Zachar nie wiedział. Może była, może nie była. Jeżeli była, to u niej na plecach czerwony znak od czortowskiego kopyta musiał być. Tego znaku ja nigdy nie widziała i Zachar nie widział, ale mówił, że d z i d jego ojcu jego rozповідаł, że widział i że tak musi być...

Po chwilowym milczeniu zakołysała się znowu na mrocznym wierzchołku pieca kościana postać ślepej baby i chropowaty głos zamruczał:

– Oj, stary Zachar; stary Zachar! kosteczki twoje rozsypały się już w mogiłce i dusza twoja przed Panem Bogiem stoi, a to, co ty gadał i rozповідаł t a k i po świecie chodzi jak żywe...

Kowal wstał z ławy.

– At! – zawołał – głupstwo! Ja też dużo świata schodził i niemało widział i słyszał, a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego nie ma. Chodź spać, zuzulo!

Wstała powoli, ciężko jakoś, a w wymownych jej oczach malował się niepokój. Policzki jej zbladły nieco i wydawały się mniej okrągłymi; napięcie myśli twarz jej wydłużyło. Po kilku minutach zupełna cisza nappełniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośne chrapanie kowala, a

prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności na wierzchołku pieca zaszemrał szept:

– Babulo! czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary jej sen był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że śród nocy budziły ją sypiające przy niej prawnuczki. Tym razem jednak obudziła ją nie mała prawnuczka, ale kobieta, która, położywszy się przy niej, gorącym ramieniem suche jej ciało objęła.

– To ty, Pietrusia?

– Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dzieci nie zbudzić...

– Ale czego ty tu przyszła? Czy cię kolki tak jak przeszłego roku sparły? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długą minutę odpowiedzi nie było; potem cichsze jeszcze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie:

– Babulo, czy kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mnie do kościoła do chrztu świętego?

– Nu, a jakże? – odpowiedział szepleniący szept starej – jakżeby ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili...

– Babulo, a kiedy ja mała byłam, zegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

– Nu, jakże? zegnała, każdego wieczora zegnała...

– Dlatego żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

– Dlatego żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał i żeby Pan Bóg najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

– Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczym ważnym nie zgrzeszyłam...

Po chwilowym milczeniu stary szept odpowiedział:

– Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta jak ta biała l e l e j a, co w kościele przed ołtarzem stoi...

Po tej odpowiedzi dało się słyszeć przeciągłe westchnienie ulgi. Potem młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę:

– Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Zapytanie mieściło w sobie zagadkę niezmiernie do rozwiązania trudną. Po długiej chwili dopiero Aksena szepnęła:

– Bo może to i nie wiedźma te mleko krowom odebrała?

– A któż, kiedy nie wiedźma?

– Może ropucha....

– Aha!

Ostatni wykrzyk brzmiał tryumfem.

– Pewno ropucha. Ropuchy, kiedy rozgniewają się na ludzi, tak samo mleko krowom odbierają.

– A-le!

– Un, to pewno ropucha.

– A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby wiedźma na ogień przyszła... nie ty!...

– A-l-e. Spijże z Bogiem, babulo.

– Spij spokojnie, zuzulu ty moja, śpij...

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniej i piękniej wygląda, bo choć i dnia tego jaką taką robotę dokonać muszą, lecz po jej dokonaniu nie schylają już twarzy nad zagonem lub tokiem stodoły, nad balią albo niemi rozpiętymi na krośnach. Przez połowę dnia najmniej patrzeć sobie mogą na słońce, niebiosa i wszystko, co z ziemi wysoko wyrasta, chodzić, siedzieć, śmiać się, gadać i śpiewać – co kto chce. Tej niedzieli pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu roznieciła w tej jeszcze chwili poranku, gdy nad brzozowym gajem jutruzenka rozwinęła ró-

żową szarfę, a pierwsze promienie słońca z dołu w górę strzelając złote podszewki dawały liściom ogrodu. Potem nad staw pobiegła i przyniósłszy stamtąd pęk pachnącego ajeru rzuciła go po podłodze izby, wprzód już czysto wymiecionej i białym piaskiem posypanej. Kiedy kowal obudził się, stara babka na pościeli swej usiadła i dzieci gwarzyć zaczęły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych światła, a Pietrusia w białej koszuli spiętej u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistej perkallowej spódnicy i czerwonej chustce na włosach przed ogniem stojąc kartofle oskrobywała z łupin, które starannie do cebrzyka zrzucała, aby nie szpeciły niedzielnej podłogi. Kowal oczy ze snu otworzywszy spojrzeniem powiódł dokoła, na żonę popatrzył i wyciągając nad r a d n e m potężne swe ramiona, a szeroko jeszcze poziewając, zawołał:

– Oj, zuzula ty moja, zuzula!

Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno i garść łupin kartoflanych tak zręcznie nań rzuciła, że zasypały mu one twarz i piersi. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Pożywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci myła, czesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą karmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając zaopatrywała go w zapas żywności i o tym, co miał tam nabywać i sprzedawać rozważnie i po przyjacielsku z nim rozmawiała. Po południu dopiero Stasiuk w czystej i kolorowym pasikiem przewiązanej koszuli prababkę do ogrodu poprowadził. Malutką swą ręką trzymając jej żółtą, kościstą rękę spełniał on czynność przewodnika z powagą i uwagą wielką, z wydętymi wargami, w milczeniu. Stara szła za nim kijem wciąż ziemi przed sobą dotykając, w samodziałowej, sonej kapocie, w płtykim obuwiu i świątecznym czepcu, którego błyszczący galonik świecił na słońcu dokoła białych jej włosów. Pod dzią jabłonią na trawie usiadła w zwykłej postawie swej wyprostowanej i tak sztywnej, że czyniła ją ona podobną do figury wyrzeźbionej z drzewa czy kości. Nie widziała nic, ale czuła ciepłe wietrzyki muskające jej twarz i głowę, słyszała szczebiot ptactwa i głosy prawników, czuła pod ręką świeżą miękkość trawy. Szeroki więc uśmiech rozciągnął jej wąskie i bezbarwne wargi, a białe oczy zdawały się z nateżeniem i rozkoszą wpatrywać w ten piękny świat. Pietrusia wyniosła przed chatę r a d n o, na które wczoraj uzbierane zioła zsyłała, i usiadłszy na niskim kamieniu tuż przy progu chaty poczęła dobierać je i gatunkować. W kupki osobne układała cząber, brunelkę, dziewannę, krwawnik, macierzankę i inne jakieś różne trawki i listki. Tą robotą zajęta, od czasu do czasu przyśpiewywała sobie półgłosem, czasem na zioła patrzeć przestawała i wzrok puszczała po pustym polu, na którym już zboża nie było, a dziś i ludzi nie było. Ciche i drzemiące leżało dziś ono pod złotą płachtą słońca jakoby na wzór ludzi w niedzielę odpoczywając. Od wsi za to przylatywały gwary złożone z głosów zwierzęcych i ludzkich; przed karczmą, którą z dala od innych domostw rozróżnić było można, rój ludzki poruszał się i huczał. Pietrusia w stronę wsi patrząc zmarkotniała trochę. Wąska, kręta ścieżka, która pomiędzy stodołami a opłotkami ogrodów od wsi do chaty kowala wiodła, pustą dziś była. Tylko usychające w ogrodach konopie wychylały zza opłotków swe rozczochrane głowy albo wyjrzał przez nie żółty kwiatek piżma, albo kura głośno zagdakała i kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Ale ludzkiej duszy nie było dziś na ścieżce ani jednej. Przecież każdej prawie niedzieli kobiety z Suchej Doliny licznie Pietrusię odwiedzały; jedne po radę przychodziły, inne tak sobie na pogadankę i z lubienia. Przychodziła tu zwykle w niedzielę młoda Łabudowa i chłopców swych z sobą do Stasiuka przywodziła; przychodziła córka Maksyma Bodruka, którą Pietrusia kiedyś d z i e w i ę c i o r a n k ą swą w ciężkiej słabości ratowała, i inne, i inne. Dziś żadna nie przyszła i żonie kowala markotno zrobiło się koło serca.

Niedługi już dzień sierpniowy miał się ku końcowi, słońce bliskim było zachodu. Teraz ścieżką wijącą się pod opłotkami powinny przechodzić dziewczęta. Dziewczęta w dnie świąteczne przychodziły do Pietrusi na śpiewanie. Nikt w całej wiosce nie śpiewał takim silnym i czystym głosem jak ona; nikt tylu pieśni nie umiał. Bywała zwykle przewodniczką chórów,

tych chórów, które każdej prawie letniej niedzieli o zmroku przed chatą kowala na kamieniach i trawie zasiadały i aż do późnego wieczora napępiały powietrze rozgłośnym śpiewaniem. Dziś żadna nie przyszła. Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jedną postać kobiecą ku chacie jej zmierzającą. Z dala poznała Frankę, wnuczkę Jakuba Szyszki. Odświętnie niby, ale ubogo ubrana, krępa trochę dziewczka, z nieładną, lecz hożą twarzą i błyszczącymi, błękitnymi oczami, jęklwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i zaproszenia nie czekając tuż przy niej na przyzbie usiadła. Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednej łące, razem śpiewały i w karczmie lub na odbywającym się pod gołym niebem i h r y s z c z u tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przyszła, Franka zadumała się o czymś tak głęboko, że nawet na chwilę o bliskiej obecności Klemensa zapomniała. Z twarzy jej można było wtedy wyczytać, że coś sobie obmyśliwała, jakieś zamiary i nadzieje w głowie swojej snuła. Teraz z tymi zamiarami i nadziejami do kowalowej przyszła i chwilę pomilczawszy jęklwym głosem zaczęła:

– Oj, biedna ty, Pietrusia, biedna! W i e l m i j u ż ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują, t a j wymyślają...

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynie i pytaniami ją zasypała:

– Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany, i Piotrowa, i Łabudowie, i Bodruki?

Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potem ramię swe zarzuciła jej na szyję. Przymilając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowej gładząc zaczęła:

– Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą... Kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić i dobrze, i źle, to ty mnie poratuj w mojej wielkiej biedzie i zgryzocie...

Pietrusia cofnęła się żywo i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

– Jaka ja znachorka! – krzyknęła prawie. – Idź ty sobie ode mnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niej jeszcze bliżej i znowu ją za szyję objęła.

– Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj, żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie nie ma... Wiadomo, sierota i uboga, i tak jak w cudzej chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowska... Poniewierają się nade mną d z i a d ź k i (stryjowie) i poniewierają się ich żonki... Pracuję, horuję, jak ten wół w jarzmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobijają się z sobą, to i mnie biją – a ciągle ten chleb, co u nich jem, wymawiają... Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą i płakaniem bożego świata nie dojrzę...

Obu czerwonymi i w istocie spracowanymi rękami twarz sobie zakrywszy rozpląkała się rzewnie.

Wtedy już Pietrusia sama przysunęła się do niej i zasmuconym głosem rzekła:

– Wiem, ja wiem, że tobie w dziadowskiej chacie życie niesłodkie... D z i d ź k i twoje złośniki i pijaki, a ich żonki paskudne... I niebogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy zaradzić mogę?

– Oj możesz, możesz, k a b t y l k o c h a c i e ł a! – ręce od twarzy odejmując zajęczała Franka i oba już ramiona na szyję powiernicy swej zarzuciwszy całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swymi oba policzki jej zwilżyła. Potem całym swym krępyim ciałem na ramieniu jej zwieszona, przez parę minut cichutko coś jej do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

– N i e c h a c z u! – zawołała – nikomu już nic doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę.

Franka szyi jej z uścisku swego nie puszczała i znowu jej do ucha na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem coś szeptać zaczęła. Pietrusia powtarzała ciągle:

– Nie chcę! nie dam! nie poradzę! p o b o ż y ł a m s i ę, że nie poradzę!

Ale widocznie żal jej robiło się Franki i ogarniać ją zaczęła ciekawość niewieścia. Odpowiedzi przeczące dawała, jednak szeptu Franki słuchała ze współczuciem i ciekawością.

– A lubisz on ciebie choć trochę? – zapytała.

Dziewczyna mokry od łez policzek na grubej dłoni wsparła i smutne oczy wlepiając w powierzchni swą odpowiedziała:

– Bóg że to jeden wiedzieć może, ale mnie zdaje się, że t a k i troszkę lubi. D w a r o k i już od tego czasu minęło, jak pierwszy raz mnie zaczepił. Młodzieńka ja byłam i na żadnego parobka jeszcze ani patrzyłam... Aż tu raz pod studnią jak da mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie w pół schwycił i po plecach głaszcze. „Ty, Franka, mów, nie do tej studni przychodź po wodę, ale do tamtej, co bliżej naszej chaty.” I potem już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zaczepi. Zimową porą gnilki za pazuchą przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot, dwie niedziele temu z nikim w karczmie nie tańczył, tylko ze mną...

– To i dobrze – zauważyła Pietrusia – to znaczy, że lubi...

Dziewczyna wstydliwie oczy ręką sobie zakrywając cicho odpowiedziała:

– Kiedyż bo innym razem, to miesiąc, i dwa, i trzy ani na mnie spojrz i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech Pan Bóg święty obroni. Dziad łaje i d z i a d ź k i łają, i d z i a d ź k o w e ż y n k i z chaty wygnać chcą. „I d z i w s ł u ż b u, mówią, kto ciebie durną weźmie?” – mówią; Klemens nie weźmie, mówią; ot, już dwa roki, mówią, jak zwodzi ciebie i oszukuje; a ty wierzysz...”

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

– Ja i wierzę, i nie wierzę... – wśród płaczu mówiła – czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie nie ma...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszały.

Każdej żywej istocie życzliwą ona była, a biadania i pragnienia tej przypominały jej przeszłość własną. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

– Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż... – jęczała – ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

– Kiedyż bo – wahającym się już głosem zaczęła kowalowa – kiedyż bo, żeby i to... b a ć k o jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarski... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk tej zimy do Budrakówny dla niego swaty ma słać...

– Oj – zajęczała Franka – k a b tylko on c h a c i e ł, k a b tylko on sam c h a c i e ł, z b a ć k i e m już łatwy j e n t e r e s. On u b a ć k i swego prawe oko w głowie, b a ć k o świata za nim nie widzi...

– To jest prawda – potwierdziła Pietrusia – on u rodziców tak jak jeden, bo z d u r n e g o Jasiuka mała pociecha...

– K a b tylko c h a c i e ł! K a b naprawdę polubił... – wzdychała Franka i znowu ręce kowalowej całowała, a policzki jej pocałunkami i łzami swymi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze, z wielkiego kłopotu aż chustkę na głowie przekrzywiła, bardzo nie w porę przyszła jej ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień. Istotnie, gdyby Franka za Klemensa wyszła, byłoby to dla niej takim samym szczęściem, jak dla niej było wyjście za Michałką. Istotnie, Piotr był dobrym człowiekiem, syna lubił i może by bardzo nie sprzeciwiał się jego woli, gdyby on naprawdę miał tę wolę.

– Nu – rzekła – dobrze... babula mnie kiedyściś rozповідаła o takim ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem, czy znajdę. Przyjdź dowiedzieć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i kolana z n a c h o r k i objawszy całować je zaczęła. Potem z ziemi podskoczyła i wyprostowana obie ręce na kłębach oparła. Była to postawa tryumfująca. Radość i tryumf były z czerwonej, pucolowatej jej twarzy i błękitnych,

błyszczących oczu. Zdawać się mogło, że nawet mały, u czoła wklęsły nos jej stał się więcej zadartym. Nogą tupnęła i splasnęła rękami.

– Ot, ja im wtedy dam, ot, ja im wtedy pokażę i d z i a d ź k o m, i d z i a d ź k o w y m żonkom. Na próg do swojej chaty nie puszcze... kupną spódnicę włożę i przed oczami ich chodzić w niej będę... jak zobaczę, że która chleb je, jedną ręką kielbasę, a drugą figę jej pokażę...

Pietrusia aż zachodziła się ze śmiechu z tryumfującej miny i zawziętych pogróżek Franki. Widocznym było, że dziewczyna daleko mniej pożądała lubienia Klemensa niż świetnego losu, który by dla niej z małżeństwa tego wypadł. Ale i te także uczucia kowalowa nieco rozumiała i dzieliła. Jej także, upośledzonej niegdyś sierocie, przyjemnie było teraz w kupnej spódnicy po wsi chodzić i dawnych chlebobawców swych w dostatniej swej chacie przyjmować.

– Dobrze – powtórzyła – co robić? Jak tu ludzi nie ratować... kiedy można? przyjdź jutro...

Franka pędem strzały puściła się ku wiosce. Pilno jej było do karczmy, gdzie skrzypce grać już zaczynały i Klemens był pewno. Nazajutrz całkiem już o zmroku znowu od kowalowej wracała. Szła tym razem powoli, zamyślona, może trochę rozmarzona i co moment przyciskała ręką coś, co u piersi za koszulą miała. Wtem u końca ścieżki, pomiędzy gęstymi krzakami ostów zarastających brzeg pola a rosnącą za płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją za spódnicę przytrzymał. Złękła się tak, że aż krzyknęła i żegnać się zaczęła, gdy nagle w przechylonej nad płotem postaci poznała Rozalkę. Zwinnie przez niski płot przeskoczywszy Stepanowa świszczącym szeptem pytać zaczęła:

– A skąd ty, Franka? Od kowalichy? ty i wczoraj tam chodziła. Nie b ó j ś! ja wszystko widzę. A co u kowalichy słyhać? Ziola warzy, ropuchy hoduje czy z czortem rozmawia? ha?

Franka zrazu odpowiadać nie chciała i spróbowała iść dalej, lecz Rozalka znowu za spódnicę ją przytrzymała:

– Czego uciekasz? – mówiła – pilno tobie do d z i a d ź k o w y c h kułaków i dziadowego łajania? Na, masz, siadaj tu i jedz. P o g a d a m o.

W rękę wcisnęła jej ogórek, chłodny, duży, zielony ogórek, i taki sam drugi zza koszuli wyjąwszy, na spadziściści pola pomiędzy ostami usiadła. Ofiarowany przysmak zjadł Frankę dla kobiety, względem której zresztą żadnych przyczyn do niechęci lub gniewu nie miała. Owszem, Rozalka okazywała jej nawet niejaką życzliwość i gdy jej w chacie bardzo dokuczano, ujmując się za nią, ze stryjenkami jej srodze się raz pobiła. Było to zresztą rzeczą dość prostą. Nie miała nic do zazdrośczenia France, a litowała się trochę nad jej sieroctwem. Obie tedy usiadły pod krzaczastymi ostami i gryząc ogórki w zmroku szeptać zaczęły. Ogród, przy którym znajdowały się, był pusty, na ścieżce żywej duszy nie było. Rozalka dopytywała się u dziewczyny, czego do kowalichy chodziła, a Franka wnet rozrzewniła się znowu nad swoją dolą i jęczeć zaczęła.

– Oj, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie nie ma. Wiadomo, sierota i uboga, tak prawie jak w cudzej chacie zostająca.

I wszystko to samo i tak samo wyjęczała jak godzinę temu przed Pietrusią. Rozalka głową ze współczuciem kiwała, a potem zapytała:

– A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka swoje dalej prawiała:

– Bóg że to wiedzieć może, czy on lubi, czy nie lubi, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Już dwa roku temu pod studnią, jak dał mnie ktoś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę... Klemens. Ja mu wodę z wiadra wprost w oczy...

I tak dalej, do końca. Wszystko to samo i tak samo jak przed Pietrusią. Rozalka nie sprzeciwiała się i nie przerywała, po chwili jednak zapytała znowu:

– A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka nie wygadała jeszcze wszystkiego, co jak codzienny pacierz w głowie jej siedziało.

– A innym razem – jęczała – to miesiąc i dwa, i trzy ani spojrzysz i tak samo inne dziewczęta zaczepia...

– Czego ty do kowalichy chodziła?

– Ja i wierzę, i nie wierzę, żeby mnie Bóg wszechmogący takie wielkie szczęście dał...

– Czego ty do kowalichy chodziła?

Pomimo całej dyplomacji, jakiej w tym razie użyć zamierzyła, Rozalka już była bliską wybuchu. Franka nie wiedząc skąd i dlaczego w rękę ją pocałowała i palcami z oczu łzy ocierając zaczęła:

– Ratuj, ciotko, dopomóż, ja tobie przez całe życie wdzięczną będę...

– Aha! – przeciągle wymówiła Stepanowa i oczy jej w zmroku błysnęły jak dwa płomyki.

– To ty do kowalichy o poradę prosić chodziła...

– Ale!

– Dała jaką?

– A dała... niech jej Pan Bóg wszystko dobre daje...

Rozalka całym swym giętkim ciałem zwiesiła się na szyi dziewczyny i do ucha jej prawie szeptać zaczęła spieszne, naglące, namiętne pytanie. Franka bronila się przez chwilę, wstydliwie i z bojaźnią, twarz odwracając. Wstydziła się i lękała tajemnicy swojej. Ale Rozalka, obejmując ją jedną ręką, drugą pchała jej w usta kawałek swego nie dojedzonego ogórka, a z wielkiej serdeczności przyginała ją ku ziemi tak, że obie omal położyły się na trawie. Przy tym osypywała ją pieszczotliwymi nazwami gołąbki, zuzuli, robaczka, rybki. Do czułości takich Franka w twardej, sieroczej swej doli przyzwyczajoną nie była. Pochlebiało jej, że w ten sposób obchodzi się z nią kobieta starsza i gospodyni chaty zamożnej. W rękę Rozalkę pocałowała, ciotką ją nazwała i znowu skarżyć się i lamentować zaczęła. Rozalka ją pocieszała, pocieszanie wciąż zapytaniem przeplatając, a gdy po upływie godziny powstały obie z ziemi, czarne oczy Stepanowej pomimo zmroku świeciły radością i tryumfem. Wydobyła już z dziewczyny wszystko, o czym wiedzieć chciała, i nagle, pozostawiając ją wśród ostów stojącą, pędem strzały ku wiosce pobiegła. Bez tchu prawie biegła przez uciszoną już ulicę wiejską, aż u wrót chaty Piotrowej stanęła. Miała zrazu widoczny zamiar wpadnięcia tam na kształt burzy i wygadania wszystkiego, o czym się dowiedziała. Nagle przecież w głowie jej powstał plan inny. Teraz o niczym jeszcze nikomu nie powie, a wtedy dopiero, gdy w rodzinie Piotra stanie się bieda, gdy Klemens z Franką koniecznie żenić się zażąda, a ojciec temu sprzeciwić się będzie, gdy pomiędzy ojcem i synem wybuchnie kłótnia i niezgoda, ona przyjdzie do nich i powie, kto temu wszystkiemu jest winien. Ciekawa to rzecz, co uczyni wtedy Piotr, który za nic nie zgodzi się na to, aby syn jego żenił się z dziewczyną byle jaką i w dodatku ze złodziejskiej chaty pochodzącą. Sam nie kradł nigdy i wnuczki złodzieja za synową mieć nie zechce. Oj, będziez tu, będziez w tej chacie kłótni i zgryzoty wszelakiej; oj, będziez za to, będzie kowalisze od Piotra i wszystkich porządnych ludzi! Dadzą już wtedy, o! dadzą tej, która jej życie popsowała, przez którą ona mężowskiego lubienia nie zaznała, a na całym ciele tyle ma sińców, ile jest gwiazd na niebie. Niechby bił, ale lubił. I nie lubi, i bardzo bije, a wszystko przez tę...

W zmroku przed chatą Piotrową stojąc zapłakała, fartuchem oczy otarła i powoli dalej iść poczęła. Czegoż pośpieszać miała? Wszak wiedziała z góry, co ją w domu czeka. Z rana dziecko zachorowało, a wiadomo, że kiedy dziecko zachoruje, Stepan swą żalność w srogą złość przemienia i na niej ją spędza. Jakby ona temu winną była, że dziecko urodziło się takie nijakie. Wprawdzie, kiedy dwa lata miało, grzmotnęła je raz łopata w głowę, tak że od rozumu odeszło i na kilka niedziel zaniemówiło. Ale czyż ono od tego słabe jest i nierozgarnięte? Gdzie tam! Taka już jej we wszystkim dola p o h a n a – i tyle!

V

Do chaty Piotra istotnie zajrzało nieszczęście, nie zaraz jednak i nie takie, jakie przewidywała Rozalka. Obszerną izbę w słoneczny dzień październikowy napelniali ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Jakkolwiek Piotr od lat już paru przestał być starostą, jednak powaga obejścia się, rozważność mowy, nade wszystko zaś może zamożność jego jednały mu szczególne poważanie i przychylność wśród mieszkańców Suchej Doliny. Gdy tylko wieść o nieszczęściu, które go dotknęło, rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmartwionym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać. Zdarzało się to tym częściej, że roboty letnie i jesienne były już prawie skończone, a od cepa i toku stodoły łatwiej oderwać się na godzinę niżeli od pługa i zagona. Piotr młodszemu synowi rozkazał żyto w stodole młócić, a sam zamierzał z rana udać się za pługiem na pole dla wyorywania kartofli. Ale południe już było bliskim, a on nie mógł jeszcze wydalić się z chaty. Myślał wciąż o kartoflach, kilka razy już drzwi otwierał, aby iść konie do pługa zaprzęgać, za każdym razem wracał i znowu na ławie pod ścianą izby siadał. Nie wyrzekał głośno i nawet nie wzdychał, tylko widocznie ręce mu bezwładnie na kolana opadały, ochota do niczego nie brała i czoło zmarszczyło się w głębokie fałdy. Na pozdrowienia wchodzących sąsiadów odpowiadał krótkim: „Na wieki wieków!” – i znowu zapadał w milczenie. Czasem rękę do czoła podnosił i ustami poruszać zaczynał, tak jakby żegnał się i pacierze mówił. Sąsiedzi stawali przed nim albo rozsiadali się na ławie i zadawszy kilka pytań, podziwiwszy się trochę, głowami pokiwawszy milczeli także, wzdychali i odchodzili, a na ich miejsce przychodzili inni. Tak było z mężczyznami. Ale z kobietami działo się wcale inaczej. Tłumnie otaczały one tapczan, na którym leżał chory, gadały, doradzały, nad Agatą, która, na ziemi u tapczana siedząc, cicho płakała, głośne lamenta zawodziły. Chorym był Klemens. Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka niby kosa trawę podcięła. Pod kraciatym kilimkiem leżał on nieruchomy na kształt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi, stojący obok dzbanek z wodą brała i klęcząc brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jej łzy ciekły po żółkłej od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, rąk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek. Zawsze była ona najcichszą prawie z całej wsi niewiastą, tak już przy swoim poważnym mężu i w swojej spokojnej chacie być przywykła. Inne za to kobiety tapczan ściśle otaczając i choremu przypatrując się gwarzyły jak na targu lub zawodziły jak na pogrzebie. Łabudowa, gospodyni, tak i jak Agata, zamożna i poważna, prawiała:

– Nie wytrzyma, już ja wiem, że nie wytrzyma, już ja może dziesięciu ludzi w takiej chorobie widziała i żaden nie wytrzymał.

Piotrowa rzewniej jeszcze płakać zaczęła i z twarzą w dłoniach aż zakołysała się cała z żalości, ale żona Maksyma, Bohdanka, tęga i zamaszysta baba, złowróżbną sąsiadkę od tapczana odepchnęła.

– Czemu nie wytrzyma? czy to zmiłowania boskiego nad grzesznymi ludźmi nie ma? Pan Bóg najwyższy zmiłuje się i uzdrowi. Agata! hładysz mi dajcie, prędko! Słyszycie, Agata? jemu trzeba hładysz do żywota przystawić!

Paraska Szymonowa z małym dzieckiem na ręku i dwoma starszymi, które czepiały się jej spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skłopotana, palcami rozmywała sobie łzy po chudych policzkach i zawodziła:

– Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, ataki spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepiej na tę łąkę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się

na tej zgniłej kopicy! Oj, z tej zgniłej kopicy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlaźła... oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łąkę dla zabrania z niej wprzód już skoszonej otawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłej od wilgoci trawy. Nazajutrz, do domu wróciwszy, kozuch włożył, bo go dreszcze trzęsły, lecz że dnia następnego chłopcy wiejscy mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlaźł w wodę i przez parę godzin pomagał niewód ciągnąć. Po tej już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał, a teraz tak zajęczał, że stara Łabudowa ręce jak do pacierza splotła i z nogi na nogę przestępując Agatę zapytała:

– A gromnica jest u was? Już jemu, biedakowi, gromnicę by w rączki włożyć.

Budrakowa ze swej strony wołała o hładysz, aby go do żywota choremu przystawić, inne kobiety szeptały o księdzu i przenajświętszych sakramentach; młodzianka, wysmukła dziewczyna, w cienkiej koszuli i z żółtym kwiatem za uchem, która przy oknie stała i na chorego Klemensa jak w tęczę patrzyła, zajęczała głośno:

– Oj, Bożeż, mój Boże!

Była to córka Maksyma Budraka, najładniejsza i najbogatsza dziewczyna we wsi, która tu niby po matkę, ale w istocie z niespokojności o ładnego parobka przyszła i wstydliwie, w milczeniu przy oknie stanęła. Piotrowa zachodząc się od płaczu dźwignęła się z ziemi i poszła do komory po hładysz i po gromnicę, a flegmatyczna Paraska, krok w krok za nią wraz z trojgiem dzieci swych chodząc, z uporem ogłupiałych i rozlazłych istot wciąż swoje powtarzała:

– Oj, żeby on był nigdy na tę łąkę nie jechał, na tym deszczu nie zmókł i nie przespał się na tej zgniłej kopicy!

Wtem pomiędzy gwarzącymi kobietami i tuż za Piotrową, która hładysz Budrakowej podawszy z kawałkiem woskowej świecy w rękę znowu na ziemi u nóg syna usiadła, zabrzmiał najdonoślejczy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści:

– Ale, albo to od łąki i od deszczu, i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła i nie boska w tym wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, która dnia tego już kilka razy wpadała do Piotrowej chaty i popatrzwszy chwilę na chorego wybiegała z niej, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu. Z ruchliwej i ognistej jej twarzy poznać by można, że czuła się czymś mocno zdziwioną i zakłopotaną. Spodziewała się wcale czego innego niż to, co się stało. Za wrotami Piotrowej chaty stawała i z palcem do ust przyłożonym dumiała głęboko. Potem biegła do domu, aby strawę gotować i lnu choć trochę natrzeć, była to bowiem pora tarcia lnu, a Rozalka za lnem przepadała i pomimo wszystko zupełnie o nim zapomnieć nie mogła. Przy tym Stepan, który żyto młócił, parę razy już przez drzwi stodoły na nią zawołał, aby z chaty nie odchodziła, bo zaraz pójdzie za nim na pole kartofle zbierać. Była, więc dnia tego na wszystkie strony rozrywana. Tu len trzeć chciała, tam mąż ją wołał, ówdzie znowu, w chacie Piotra, ważną sprawę załatwić musiała. Ze wszystkiego jednak, co na świecie istniało, ta sprawa najbardziej na sercu jej ciążyła, więc raz jeszcze wpadła do chaty Piotra i usłyszawszy dowodzenia Paraski o przyczynach choroby Klemensa, zawołała:

– Ale, nie od łąki i nie od deszczu, i nie od zgniłej kopicy ta choroba na niego przyszła! Nie boska w tym wola, ale czyja inna.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, nie wyłączając Budrakowej, która już z hładyszem w rękę nad chorym stała, oczy na nią zwróciły, splotła na fartuchu ciemne swe, małe, ruchliwe ręce i wymówiła:

– To jest z r o b i o n e!

– Co? – zapytał chór niewieścich głosów.

– A taż choroba. Ją ktośś z r o b i ł.

Teraz kilku mężczyzn, którzy w milczeniu naprzeciw Piotra siedzieli, i sam Piotr przysłuchiwać się zaczęli babskiej rozmowie. Chory nawet zwrócił ku mówiącej przyćmione cierpieniem, ale przytomne i pytające oczy.

– Aaaa! – zadziwiło się parę kobiecych głosów – a któż to taki zrobił?

– Ja wiem kto. Ta, co jemu ziele jakies na lubienie dawała. M u s i ć nie takie ono było, jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę z r o b i ł o.

Paru mężczyzn lekceważąco skinęło rękami, a Klemens na Rozalkę popatrzył i wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając pomimo bólów swych parsknął krótkim śmiechem. Wiadomość o tym, że ktoś mu ziółko na lubienie dawał, zawstydziła go nieco, lecz więcej jeszcze ucieszyła. Zajęczał zaraz, bo go w krzyżach srodze zabolalo, niemniej przecież przyćmiony wzrok swój na ładną Budrakównę zwrócił, jakby chciał jej powiedzieć:

– A co? widzisz, jaki to ja!

Ale hoża dziewczyna aż zbladła od przestachu i wylękle swe oczy w Rozalkę wlepiła. Inne kobiety pootwierały zrazu usta, potem zwiastunkę dziwnej wieści pytaniami osypywać zaczęły. One ze zwykłą swoją żywością do Piotra się zwróciła.

– C h a d z i, Pietruk – zawołała – tobie s k a ż u. Nikomu nie s k a ż u, ale tobie s k a ż u. Ty ojciec i pomstowanie za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał i za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam w półmroku z kwadrans ze sobą rozmawiali. W izbie tymczasem zapanowała cisza. Budrakowa hładysz do żołądka chorego niby olbrzymią bańkę przystawiała. Na dworze dał się słyszeć głos męski niecierpliwie wołający Rozalki. Ona mu z sieni krzykliwie odpowiedziała:

– Zaraz! zaraz!

Stepan z pługiem zaprzężonym parą koni zatrzymał się przed chatą stryjecznego brata i żony doczekać się nie mogąc kłął ją straszliwie. Po kwadransie dopiero Piotr wrócił do izby widocznie wzruszony i rozgniewany. Czoło jego sfałdowało się więcej jeszcze niż przedtem, a zwykle łagodne oczy rzucały ostre błyski spod ściągniętych i zjeżonych brwi. Zrazu jednak nic nie rzekł, tylko ze zgiętym grzbietem i pochyloną głową na ławie usiadłszy splunął i zamruczał:

– Z h i ń, p r z e p a d n i j, n i e c z y s t a j a s i ła!

Potem na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał.

– Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakubową wnuczką? ha? pił czy nie? Odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedzieć. Wstydział się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsuwał.

– Nie dokuczajcie, b a ć k u, w i e l m i w kościach boli! – zajęczał.

– Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości – odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał: – Po ojcowsku ja pytam się ciebie: czy ty pił w karczmie miód z Franką, Jakubową wnuczką?

Ładna Budrakówna w płomieniach cała stanęła. Ona wiedziała o tym, że Klemens brzydką i biedną Frankę zaczepia, i chciała nieraz gniewać się za to na niego srodze, ale nigdy nie mogła. W naturze już jej gniewu nie było. Odwróciła się więc tylko znowu do okna i głośno nos w palec utarła. Po czym pilnie słuchała, co będzie dalej.

– Nu – badał dalej Piotr syna – pił czy nie pił?

– Pił – jękliwie odpowiedział Klemens. – Taj cóż takiego, że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

– Nu – rzekł – to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziewka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć, nie na życie, na p o h y b e l, nie na lubienie ziele to wiedźma ludziom daje...

Kilka kobiet splasnęło w dłonie. Piotrowej oczy, zmęczone, splakane, z wyrazem obłąkania, prawie, na mówiącego patrzyły.

– Wiedzma! – rozległ się chóralny krzyk.

– Kowalicha! – przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przy czym z ławy wstał i do komory poszedł.

Po chwili wrócił niosąc *Ewanielię* ową, z której pomocą Pietrusia niegdyś złodzieja odgadywała. Przystąpił do chorego syna i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża starą książkę nad samą głową na poduszce mu położył.

Czyniąc to szeptał:

– Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi. Może boska siła przezwycięży c z a r t o u s k u j u s i ł u. Może ty, synku, wyzdrowiejesz i sam na tej nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzeć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał, a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu po ściągłych, bladawych policzkach. Klemens udzieloną mu wiadomością i słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniej mu zapłonęła, oczy nabrały rażącego blasku, zaczynał tracić przytomność, okropnie jęczeć i kłać. Kobiety ze swej strony uderzyły w krzyk i płacz, wołały, że już po wszystkim, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; Łabudowa gromnicę zapaliła i w ręce chorego wetknęła; Budrakówna przed oknem na klęczki upadła i z głośnym płaczem krzyczeć zaczęła:

– Wieczneż odpocznienie duszyczce jego daj Panie!

Piotr głowę tracąc szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc trzął się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu zza zaciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

– K a b jej nogi połamało! k a b ona świata za płaczem nie widziała, wiedzma ta przekłeta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrześcijańska c z a r t o u s k i e j si le zaprzędana!

Piotrowa, zapaloną gromnicę w rękach syna ujrawszy, po raz pierwszy przeraźliwie krzyknęła, zarazem z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła. Biegła naprzód ulicą wiejską, potem skręciła na tę wąską ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodoł a opłotkami ogrodów ku domostwu kowala wiodła.

Były to jasne dni babiego lata. Nad ziemią wisiały błękity nieba, blade, lecz tak czyste, że niepodobna by na nich dopatrzeć najbliższej chmurki. Z poblądłej i jakby zmalanej tarczy słonecznej płachta niezmaconego światła spadała na ciemne pola, których nagości nie przysłaniały szczupłe cienie drzew na wpół ogołoconych z liści. Gaje rozrzucone po wzgórzach stały całe w złocie i w przeróżnych odcieniach purpury, a powietrze przeniknięte rześwym i suchym chłodem było tak ciche i czyste, że najlżejsze drgnienie nie poruszało srebrnych pajęczyn wieszających się po gałęziach drzew, krzewach polnych i badyłach ogrodów, że widnokraj wyglądał jak okrągła tarcza wypukłymi rzeźbami napełniona i kloszem z najprzeźroczystszego kryształu okryta. W cichym kryształowym powietrzu i łagodnym świetle słońca, pomiędzy szmatą zoranej roli a ogrodem pełnym uschłych badyli, domostwo kowala przedstawiało obraz głębokiego spokoju, ożywionego migocącymi w słońcu szybami małych okien. Cisza zalegała pole i ogród, bielejącą za ogrodem ławicę piasku i srebrnie za piaskiem połyskującą szybę stawu; przerywały ją tylko dwa odgłosy pracy ludzkiej: miarowe, twarde, silne uderzenia kowalskiego młota i miarowe także, lecz daleko szybsze i mniej głośnie stukanie trącej len c i e r l i c y. To ostatnie zdawało się wtórzyć pierwszemu, a z ciężkich uderzeń młota i szybkiego tętentu cierlicy, z dymu wijącego się nad kominem domu i płomienia błyskającego za otwartymi drzwiami kuźni, z rozlegających się w ogrodzie głosów dziecinnych i głośniejszego je czasem piania kogutów w łagodną harmonię i ciche ukojenie otaczającej natury tryskał zdrój czystego, zdrowego, pracowitego życia.

Michał naprawiał w kuźni pługi nadwężone orką jesienną, Aksena, pod złotawą jabłonią ogrodu na uschłej trawie siedząc, w ostatnim ciepłym słonecznym rozgrzewała swe stare kości,

a przy niej mały Stasiuk ku zachwyceniu dwóch mniejszych jeszcze dziewczynek dmuchał w drewnianą gwiazdkę, wydającą z siebie piszczące i przeraźliwe tony. W izbie chaty, przyciemnionej niskim sufitem, firankami z kwiecistego perkalu i kilku doniczkami z geranium, mirtem i piżmem, oprócz śpiącego w kołysce dziecka nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach piętrzyły się tam ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kął sporej sieni napełniały wysoko białawe głowy kapusty. Nie darmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nich to na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych. Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu, a teraz pod ścianą chaty ustawivszy narzędzie długie i wklęsłe lnu weń nakładła i uderzając go deską opatrzoną w nagłówek miękkie włókna rośliny ogałacała z ich suchej i twardej powłoki. W podniesionej nieco spódnicy i grubej koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonej bawełnicy, spod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szyję jej i czoło, prędko, coraz prędkiej uderzała deską cierlicy, a sucha k o s t r z y c a wzbijała się w powietrze, osypywała jej odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą. Robota była ciężką; pracownica krztusiła się suchym pyłem, oddychała szybko i głośno, grube krople potu wystąpiły na czoło jej i policzki; jedna z jej rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty tej nie przerywała i była w niej tak pogrążona, że nie usłyszała otwierania się wrót małego dziedzińca ani spiesznych stąpań zbliżającej się ku niej kobiety, i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niej głos kobiecy, od płaczu i gniewu ochrypli, wymówił:

– Niech c z o r t pomaga! Bodajby ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę i oczy jej spotkały się z błyszczącymi oczami Agaty. Wyprostowała się, ręce jej wzdłuż spódnicy opadły. Słowa Piotrowej przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Francka przybiegała do niej z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do dawnych gospodarzy swoich pobiegła, aby dowiedzieć się, co tam słychać, pocieszyć, może dopomóc, ale wiedziała, że źle tam o niej gadają i że odwiedzin jej nie żądają wcale. Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła. Nie przywykła do łajañ i krzyków, zrozpaczona matka z twarzą żółkłą i zmalalała stała i teraz, w swych płtykach trzewiakach i dużej chuście na głowie, nie miotając się, jakby czyniły inne, owszem, bez ruchu prawie i tylko srogim wzrokiem na nią patrząca. Na Pietrusię nieruchomość ta, ten wzrok w nią utkwiony i te wyrzucone przekleństwa wywarły wrażenie takie, że aż jęknęła i niby przed widmem cofnęła się o kroków parę.

– Czego chcecie, ciotko? – wyjąkała.

Teraz Piotrowa głową kiwała i po razy kilka, jakby jej oddechu do dłuższego mówienia brakowało, powtórzyła:

– Oj ty! oj ty! oj ty!

– Oj, ty niegodziwa! – wybuchnęła na koniec – toż ty przez tyle lat, chleb nasz jadła, toż my ciebie jak co dobrego lubili i hołubili... Za co ty nam teraz syna otruła?... ha?

Pietrusia rękami splasnęła.

– Ja wam syna otruła? ja!

Agata postąpiła naprzód i zbliżyła się do niej tak, że rozdzieliła je tylko wąska cierlica. Szyję wyciągnęła i w twarz młodej kobiety wpiła jadowite, błyszczące spojrzenie. Z przeciągłym syczeniem słowa z jej ust wychodziły.

– Co ty jemu zrobiła? S k a ż y, co zrobiła? jakie ziele tej dziewczce dała, żeby go ona nim napoiła? Nie dawała może? ha? S k a ż y, że nie dawała! Zełżyj, co tobie szkodzi? ty już i tak zgubiona, c z o r t u zaprzędana, Boga obrazić nie boisz się! S k a ż y, że nie dawała!

Do zarumienionej od pracy twarzy Pietrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła:

– Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowej chacie jej przypisywano chorobę Klemensa, i nagły strach zatrzęsł jej sercem, które gwałtownie bić zaczęło. A może to i od tego ziela, może naprawdę i od tego ziela on zachorował? Łzy nabiegły do wylęknionych jej oczu, do Agaty zwróciła się profilem i stała nieruchoma jak słup, oniemiała.

– Aha! – krzyknęła już teraz Piotrowa – nie p o b o ż y s z się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojej widzę, że dała, i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz, co zrobiła! c z u j e s z? Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło. Kiedy ty wiedźma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz... Odrób, co zrobiłaś! c z u j e s z? odrób...

Wyciągając obie ręce nad cierlicą, kobietę w niemy słup zamienioną za koszulę i ramiona targała, a we wzroku jej obok gniewu i nienawiści zjawiać się zaczął wyraz trwogi i prośby. Z nienawiścią, to z prośbą w głosie powtarzała.

– Znasz, możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Pietrusia targnęła się, z rąk jej koszulę swą wyrwała i załamując ręce jęknęła:

– Co ja zrobię?... odczepcie wy się ode mnie.

Wtedy Piotrowa, choć osłabła ze zgryzoty i płaczu, jak łania skoczyła i osunąwszy się przed nią na ziemię, kolana jej objęła.

– Pietrusia, mileńka, zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyż sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie za to wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna, i h r o s z y, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem, tylko odrób, co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata.. Ty wiesz... Jasiuk jest tak jak do niczego... A ten prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... z n a s z, możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ścisnęła kolana jej, brzeg jej spódnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczyiny i to rozpaczne błaganie widocznie na torturach rozciągały. Sama przecież matką była, a z tą kobietą tyle lat niegdyś życzliwie i zgodnie przeżyła. Podniosła ręce do głowy i zawiodła:

– Oj, Boże mój, Boże! co ja pocznę! nie robiła ja i odrabiać nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała:

– Nie zrobiła? może p o b o ż y s z s i ę, że nie zrobiła?

Pietrusia znowu profilem zwróciła się ku niej i oniemiała. W głowie jej zrobiło się ciemno jak w noc jesienną i wichrem tylko tłukły się po niej słowa:

– I zrobiła, i nie zrobiła... Może to nie od tego, a może i od tego...

Męczarni tej długo znieść nie mogła, od grożącej jej znów kobiety odskoczyła i wpół z żalnością, wpół z gniewem krzyknęła:

– Odczepcie się, ciotko... czego wy ode mnie chcecie... idźcie o radę dla syna znachorki jakiej prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedźmą ją nazwała. Nie przeklinała bardzo, bo już przyzwyczajenia tego i umiejętności tej nie miała, wzywała tylko boskiego gniewu na głowę jej i jej dzieci, a potem pomstą Piotra i wszystkich pocziwych ludzi groziła. Potrząsając pięścią przez zaciśnięte zęby mówiła:

– Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy i c z o r t, twój przyjaciel, nie wyratuje ciebie, kiedy na twoją głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie...

Wtem przypomniała sobie, że gdy ona tu kłóci się z wiedźmą, syn jej może tam już i nieżywy leży, obu rękami schwyciła się za głowę, z dziedzińca wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła, Pietrusia zaś tam, gdzie stała, osunęła się na ziemię i twarz rękami zakrywszy rozpłakała się głośno i rzewnie. Płakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszeć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła. Musiała tam dziecko karmić i bawić je przez czas jakiś, bo słyhać było, jak pieszczotliwie doń przemawiała, kilka piosenek śpiewać zaczynała i przerywała je sobie krótkim śmiechem i głośnymi pocałunkami. Dziecko widocznie bąkaniem swym i ruchami małych rączek rozśmieszało ją i usta jej ku sobie ciągnęło. Po-

tem słyhać było miarowe stukanie biegunów kołyski, a potem znowu zapanowała cisza. Adamek usnął znowu, a Pietrusia z pękiem upranej bielizny na ramionach na dziedziniec wyszła. Dzień był piękny, trzeba było przed wieczorem bieliznę w stawie wyplukać. Paręset kroków zaledwie dzieliło ten staw niewielki od ostatnich domostw Suchej Doliny. Z jednej jego strony słała się owa ławica piasku, na której z porady starej Akseny bawił się niegdyś całymi dniami chory syn Piotra Dziurdzi, dalej już obejmował go w półkole wąski pas łąki, za którym ciemniały i na pobliskie wzgórza pięły się uprawne role. Z łąki tej od dawna już uczyniono pastwiska dla bydła. W lecie brzeg stawu był z tej strony miejscem pełnym zielonych gąszczy, szczebiotu ptactwa, skrzeczenia żab, kwiatów błękitnych i żółtych, czerwonych jagód kaliny, rozłożystych gałęzi wierzbowych, w których cieniu błyskała biała kora wysmukłych brzoź. Teraz pod brzożami, które na błękitnym tle nieba rysowały się jak delikatnie ze złota rzeźbione kolumny, pod zróżowionymi, o wiecznie drżących liściach osinami, pod wierzbami, które maczały w wodzie swe osiwiące gałęzie, na trawie suchej, pod stopami trzeszczącej a usianej zwiędłymi liśćmi i siwym puchem ostów – kilkanaście kobiet pochylało się nad cichą i gładką wodą. Prały one albo płukały wypraną w domu bieliznę, a odgłosy ich rozmów i suche, rytmiczne uderzenia pralników rozchodziły się daleko po pustym polu. Na polu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko dwoje pracujących ludzi: chłopca, który prowadził pług, i chłopkę, która w pewnej odległości za nim postępując wyorywane kartofle do fartucha zbierała, a napelniwszy go zsypywała je do umieszczonych w rozorze worków. Zagony, na których pracowali ci ludzie, dotykały wąskiego pasu pastwiska. Chłopem pług prowadzącym był Stepan Dziurdzia, kobietą zbierającą kartofle – Stepanowa żona, Rozalka. Składali oni parę ponurą. On zaledwie trochę nad pługiem pochylony szedł w milczeniu, silny i chmurny, od czasu do czasu tylko basowym głosem na konie swe przeciągle wołając:

– Hoo! hoo! hoo!

Ona z grzbietem tak zgiętym, że śniada twarz jej prawie ziemi dotykała, na klęczkach czasem pełzała po zagonie, rękami w ciemnym piasku grzebiąc i ze szczupłym swym, giętkim ciałem mając chwilami pozór wijącego się po glebie robaka. Jednak ta wspólna praca z mężem, choć ciężka, niemiłą znać jej nie była, bo nie ustając w niej ani na chwilę czasem do idącego przed nią mężczyzny uprzejmym głosem zagadywała.

– Ot, chwała Bogu! b u l b a w tym roku jak ta rzepa wielka! – mówiła.

A potem znowu:

– Ciekawość, jak tam Klemens ma się? czy umarł już, czy jeszcze przy życiu?

Albo jeszcze:

– Stepan! w przyszłą niedzielę do kościoła pojechać warto, taj Kaziuka wziąć ze sobą i Panu Bogu go polecić, ażeby zdrowszy był...

Mężczyzna nie odpowiadał, ot tak, jakby nie słyszał tego, co mówiła. A jednak w jej głosie, najczęściej syczącym i zapalczym, brzmiały teraz tony serdeczne. Zaczepiała go, do rozmowy wyzywała, raz nawet zaśmiała się i na zagonie ukłękłszy kartofel mu w same plecy cisnęła. On obejrzał się tylko, coś zamruczał i, dalej pług popychając, ponuro na konie zawołał:

– Nuuu!

Nie rozgniewał się wprawdzie, ale i twarzy nie rozchmurzył, słowa dobrego nie rzekł.

Kobieta znowu nad zagonem grzbiet pochylała i jak zgnębiony robak w milczeniu, smutnie po ciemnej glebie pełzać zaczęła. Nagle podniosła głowę. Stepan, który teraz twarzą ku stawowi był zwrócony, konie zatrzymał i niby coś koło pługa robiąc, patrzył w tę stronę, z której brzegiem stawu nadchodziła kobieta z ramionami owieszonymi mokrą bielizną. Patrzył na nadchodzącą z wyteżeniem takim, że aż rozciągnęły się i wygładziły muskuły jego twarzy i zarazem okryła się ona głupowato wyglądającym, lecz w rzeczywistości błogim uśmiechem. Rozalki oczy także nad staw pobiegły. W nadchodzącej kobiecie poznała Pietrusię i syknęła tak, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

– Czegóż stanął jak ten słup! – na męża krzyknęła i głos coraz podnosząc nalegała, aby szedł dalej. Ból całego jej życia, srogi ból kluc ją znowu zaczął i budzić w niej furję złości.

Pietrusia zbliżając się do kobiet nad wodą pochyłonych uprzejmie je pozdrowiła. Jeden tylko głos, i to z cicha jakoś, odpowiedział jej wzajemnym pozdrowieniem. Była to młoda Łabudowa, która, jako synowa jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, przez męża i całą rodzinę lubiona, ośmieliła się, choć nieco trwożnie, przychylności swą jej okazać. Inne kobiety albo milcząc opuszczały pralniki swe na pograżoną w wodzie bieliznę, albo też głowy znad roboty podniósłszy, rzucały na nią wejrzenia, w których ciekawość i lękliwość mieszały się z gniewem i obrzydzeniem.

Rozumiała już dobrze, co wszystko to znaczyło, i stanęła na uboczu, pod rozłożystą wierzbą, u której stóp spuszczało się ku wodzie sznurem do pnia wierzby przywiązane czółno. Było to czółno, którym chłopcy wiejscy po stawie pływali wędami łowiąc płotki i karasie, na którym też często kobiety z tej strony stawu dla skrócenia sobie drogi na tamtą jego stronę do wsi przepływały. Obok czółna stanęła, przyniesioną odzież w wodzie zanurzyła i tak jak inne wybijając ją pralnikiem i płukać zaczęła. Nie przeszkadzało to jej jednak słyszeć rozmowy toczącej się pomiędzy jej sąsiadkami. Zrazu z cicha one pomiędzy sobą szeptały, ale długo to trwać nie mogło, bo gdzieżby im długo powściągać uczucia czy głosy! Zaczęły więc mówić głośno, a mówiły o tym, czym dziś zajmowała się wieś cała: o chorobie Klemensa Dziurdzi i jej przyczynach. Opowiadały, że Piotr po księdza pojechał, że choremu dwa razy już zapaloną gromnicę do rąk dawali, że matka tylko co nie umiera z żalości, że jeśli Klemens umrze, gospodarstwo Piotrowe zginie, gdyż on sam zestarzeje się rychło, a młodszy syn jest, jak wiadomo, niedołęga i głupiec. Parę głosów zajęczało:

– O j, b i e d n e, b i e d n e, n i e s z c z ę ś l i w e ludzie!

A jedna z kobiet głośniej jeszcze niż inne, mazgajowatym, przewlekłym głosem zawiodła:

– K a b temu, co h e t o zrobił, dobrego życia nie było! K a b on za krzywdę ludzką zmarnował się i na pogrzebach dzieci swoich płakał!

Była to Paraska, która mówiąc to na Pietrusię spod oka patrzyła.

– Patrzajcie – dodała po chwili – czemu to kowalicha dziś kupnej spódnicy i materialnej chustki na siebie nie włożyła?

Oj, ta kupna spódnica i półjedwabna chustka, w które kowalowa czasem się przystrajała, dawno już, dawno dolegały Parasce, maczającej teraz w wodzie liche, stare łachmany swoje i swej rodziny.

Wtem na polu rozległy się grube i piskliwe krzyki. Kobiety śmiać się zaczęły. Stepan Dziurdzia znowu skłócił się z żoną. Klócili się oni z sobą tak już często, że dla jednych byli przedmiotem surowej przygany, w innych wzbudzali śmiech. Teraz ze słów tu dolatujących wnieść było można, że szło im o jakiś worek na kartofle, po który Stepan żonkę do chaty posyłał. Czy naprawdę worek był przyczyną kłótni? A może on tej chwili zażądał, aby żona z oczu mu zeszała, ona zaś w tej chwili właśnie za nic go samego zostawić nie chciała. Boże! jakże czuła się nieszczęśliwą! Poczucie tego nieszczęścia zdawało się podnosić ją nad ziemię, tak szybko, z rękami u głowy, ku stawowi biegła. Biegła wprost na Pietrusię i pochyłoną ku wodzie tak ją całym ciałem potraçała, że zatoczyła się ona i aby nie upaść, rękami gałąź wierzby pochwycić musiała. Przy tym zazdrością i bólem oszalała, Rozalka łajac poczęła tę, którą za rywalkę swą poczytywała, mnóstwem grubych wyrazów, wśród których najczęściej powtarzał się wyraz wiedźma. Kowalowa uczyniła zrazu ruch taki, jakby pierwszym jej poędem było rzucić się na napastującą ją kobietę i obelgi, które ona rzucała na nią, odwzajemnić. Widać było jednak, że bardzo prędko ogarnął ją wstyd przed bójką, a gniew jej przemienił się w żal i przestach, od których rumieńce z policzków jej zniknęły. Schyliła się znowu nad wodą i stukiem pralnika zagłuszyć usiłowała krzyki Rozalki, która miotając się nad nią wygrażała jej pięściami i osypywała ją gradem przekleństw i łajañ. Niektóre z kobiet piorących bieliznę śmiały się i żartowały głośno tak z napastującej, jak z napastowanej, inne wzru-

szały ramionami, spluwały i wskazując na Rozalkę nazywały ją c h w i k s a t k ą (wariatką), gadziną, jędzą. Były jednak i takie, które ujęły się za Pietrusią. Młoda Łabudowa krzyknęła do Rozalki, że niesprawiedliwie przyczepia się do kowalowej, która na jej męża i patrzyć nie chce, nie tylko co! Jedna z Budrakowych, synowa starosty, targała nawet wściekłą kobietę za koszulę i spódnicę, poważnie ją za jej złość i szaleństwo gromiąc. Wszystko to przecież nic nie pomogło, dopóki Rozalka nie zobaczyła męża swego biegnącego ku niej z tym samym biczem w ręku, którym konie poganiał. Wtedy, jak ptak zraniony, krzycząc i ramionami w powietrzu miotając zerwała się do biegu i ku wsi jak na skrzydłach poleciała. Długo jeszcze słyhać było jej piskliwe i rozpaczliwe krzyki przeplatane łajaniem i pogrózkami na Pietrusię miotanymi.

Co tam już dalej działo się nad stawem, Pietrusia nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Nie podniosła głowy ani oczu, bo przed spojrzzeniami ludzkimi robiło się jej i wstydno, i straszno. Wołała nie patrzyć na te kobiety, które podziwiwszy się, pogadawszy jeszcze, bieliznę swą z brzegu zbierały i gromadkami lub kolejno ku wsi odchodziły. Niebawem po ciszy, która zapanaowała nad stawem, odgadła, że już poszły sobie wszystkie. Wtedy wyprostowała się i oczy podniósłszy zobaczyła Stepana, który o kilka kroków od niej pod różową osiną na pniu ściętego drzewa siedząc, z łokciami na kolanach i brodą w dłoniach, wzrok swój w nią wlepił. Żona kowala twarz od niego odwróciła i w milczeniu skręconą bieliznę do czółna wkładać zaczęła. On odezwał się zaraz:

– Dawno już, Pietrusia, ja ciebie nie widział i z tobą nie rozmawiał. Ot, z rok już będzie, jak ty mnie z chaty swojej wypchnęłaś i drzwi za mną zaryglowałaś. Od tego czasu już ja nie przychodził do was i nigdzie ciebie nie zaczepiał...

– Bo i nie trzeba! – nad czółnem schylając się, gniewnie mruknęła kobieta.

Chłop mówił dalej:

– Trzeba czy nie trzeba, a tak już musi być... tak ty mnie już zrobiła, że gdzie ty, tam moje chęci i całe moje myślenie... Kiedy nie chciałaś, żeby tak było, to na cóż robiłaś... czy na wieczne moje nieszczęście robiłaś? ha?

Tym razem odwróciła ku niemu twarz z wylękłymi i razem rozgniewanymi oczami.

– Żebym ja wiedziała jaki sposób, tobym co takiego zrobiła, żeby ciebie, Stepanie, nigdy na oczy nie widzieć, nigdy, aż do końca mojego życia. Ot, co bym ja zrobiła, żebym wiedziała, jak robić, ale choć wy wszyscy wiedźmą mnie przezywacie, nie wiem, na moje wieczne nieszczęście, nie wiem!

Znowu bieliznę do czółna składać zaczęła; paśowe wargi jej wydeły się jak u rozgniewanego dziecka, do oczu nabiegły łzy.

Stepan poprawił się na swym twardym siedzeniu i oczu z niej nie spuszczać mówić zaczął;

– Wiedźma ty czy nie wiedźma, lepszej od ciebie i ł a s k a w s z e j (łagodniejszej), i pracowitszej w całej wsi nie ma, gdzie tam! w całej okolicy, a może i na świecie nie ma! Może ty mnie kiedy i dała napić się tego ziele, którego za twoją przyczyną napił się od Franki Klemens, a może i nie dawała, czy ja wiem? Może to ziele, co mnie w żywot weszło, to twoja taka ł a s k a w o ś ć (łagodność) i wesołość, że kiedy jeszcze dziewczyną byłaś, to jak na ciebie, bywało, popatrzę, a twego śpiewania i śmiechu posłucham, to i sam zrobię się inny, ot, t a k i j ż e ł a s k a w y, cicheńki i wesoły jak ty...

Po chwili milczenia mówił dalej:

– Ja bardzo lubię cicheńkich i wesołych ludzi... Ot, ja z Piotrem i z Agatą dobrze żyję dlatego, że pomiędzy nimi zawsze święta spokojność i obchodzenie się ładne, i Klemensa lubię za to, że on posłuszny starszym i wesoły. A sam ja złośnik, to prawda, i niespokojny jak ten wichur, i pochmurny jak to niebo na deszczu... Tak już ja widać urodził się, z taką chorobą w duszy urodził się, a nie wyleczyła mnie z niej matka, jędza taka, że za jej łajaniem a biciem ja dziecinnych lat swoich nie pamiętam, i nie wyleczył brat, co ze mną o ten mój kawał ziemi po

sądach ciągał się... i nie wyleczyła żonka, h a d z i n a... i nie wyleczyła wódka, którą w gardło leję... Nikt nie leczył i nic nie wyleczyło...

Mówił powoli, smutnie, z wlepionymi w ziemię oczami. Po chwili podniósł znowu wzrok na Pietrusię.

– Ty by mnie z tej choroby wyleczyła, ale nie chciała – dodał.

Kobieta uspokojona łagodnością jego głosu, a smutkiem jego może wzruszona, roboty swej nie przerywając spokojnie odpowiedziała:

– Przeznaczenia już takiego widać nie było. Ale jakie tobie nieszczęście? Daremnie narzekasz i Pana Boga obrażasz. Czego tobie brakuje? Chatę i gospodarstwo porządne masz... żonkę i dziecko masz... ot, Bogu by dziękował i kontent byłby... żeby tylko chciał.

– To prawda – odparł Stepan – żonka taka dobra i taki zdrowy, silny syn! Będzie z niego kiedyś robotnik tęgi i podpora moja! oj!

W głosie jego brzmiała gruba, ale bolesna ironia; zaśmiał się i zaklął z cicha, dlatego może z cicha, aby nie spłoszyć tej kobiety, która po raz pierwszy od dawna rozmawiać z nim chciała.

– Ot, prawdę ja tobie powiem, Pietrusia, że mnie już i gospodarstwo obrzydło. Dla kogo człowiekowi starać się i pracować? Czy u mnie chata pełna dzieci? Jedno tylko, a i to takie, że tylko tchu w nim słuchaj, czy jeszcze żyje. I więcej już nie będzie. Żonka mnie nie żonka. Ja na nią i patrzeć nie chcę, nie tylko co. Przyjdę do chaty z pola, tam położę się jak pies, do nikogo słowa nie przemówiwszy. Dobrze jeszcze, jeżeli ta milczy, ale jak przyczepi się do mnie ze swoją złością albo ze swoim lubieniem, to zaraz i wyjemy oboje jak te dwa wilki, żeby ich razem zamknąć. Ot, jakie moje szczęście! Ludzie ze mnie naśmiewają się, jak gdybym już ja był ostatni, i gospodarstwo prędko czort weźmie... bo człowiek do niczego ochoty nie ma, tylko by świat przeklinał – t a j h o d z i !

– Wstyd! – zawołała Pietrusia – wstyd bo tobie, Stepan, tak robić i tak gadać! Pilnowałby gospodarstwa, a z żonką żył, jak Pan Bóg przykazał, zgodnie, w spokojności... ot, jak ja z moim żyję, że u nas nigdy jednej minutki gniewu ani nienawidzenia jeszcze nie było...

– Tylko ty mnie o swoim nie wspominaj... – z błyskającymi oczami rzucił Stepan.

Ona nie patrząc na niego wzbierających w nim namiętności nie dostrzegła.

– Żeby ty dla żonki swojej taki był, jak mój dla mnie, to i ona byłaby lepsza – zauważyła.

– K a b oni potopili się oboje! K a b im oczy prędzej na ten świat pozamykały się – ponuro mruknął Stepan.

– Phi! jaki zły i niegodny człowiek! ludzkiej śmierci żąda! – ze zmarszczonym czołem i rozgniewanymi oczami splunęła kobieta, a podnosząc z ziemi resztę skręconej bielizny, którą do czoła wrzuciła, dodała:

– Był u mnie rozum, kiedy ja za ciebie iść nie chciałam... dobrego bym męża miała...

Widząc, że bliska jest wejścia do czoła i odpłynięcia, zerwał się z siedzenia i tuż przy niej stanął.

– Poczekaj, Pietrusia, poczekaj troszeczkę – zaszeptał – jeszcze minutkę porozmawiamy... co tobie szkodzi? jeszcze jedną minutkę! Ja dla ciebie byłby inny jak dla tej... ja bym z tobą ł a s- k a w y zrobił się i cicheńki jak ten pies, co pana swego poznał... ty by mnie dzieci inaczej hodowała, jak ta... ty by mnie w chacie śmiała się i śpiewała jak ta makolągwa w gnieździe... a ja by tobie ręce i nogi przez całe życie całował, ja bym z tobą pracując ręce sobie od pracy pokrwawił... Oj, Pietrusia ty moja, mileńka ty moja... nie uciekaj choć teraz ode mnie... niech ja choć minutkę pocieszę się tobą...

Z płonącymi oczami, z uśmiechem namiętności miłosnej na twarzy następował na nią, pchał ją pod rozłożyste gałęzie wierzby, palącym oddechem oblewał szyję jej i plecy, żelaznym jakby ramieniem stan jej otaczał. Ona krzyknęła z przerażenia i gniewu, skokiem łani do czoła wskoczyła i wiosło schwyciwszy, w mgnieniu oka odbiła je od brzegu. Minuta za ledwie upłynęła, a czołno znajdowało się już w pewnej od brzegu odległości. Po gładkiej,

błękitnej wodzie mknęło ono prędko, równo, nie kołysząc się prawie i unosząc ku przeciwnemu brzegowi kobietę wysoką i zgrabną, zaledwie trochę przechylającą się ruchem rytmicznym nad wiosłem roztrzaskującym wodę. Spod czerwonej chustki opadające włosy zaledwie dostrzec dawały ognistą rumianość jej twarzy, nagie aż prawie do kolan jej nogi i wiosłom poruszające ramiona różowiło i ozłacało zachodzące słońce. Pozostały pod wierzbą chłop błyskał za nią oczami jak dwoma snopami płomieni. Uśmiech miłosnej namiętności ustąpił z jego twarzy przed zmarszczkami zgryzoty i gniewu, coś okrutnego, zawziętego przewinęło się mu po ustach.

– Kiedy tak – za odpływającą kobietą krzyknął – to ty doprawdy wiedźmą jesteś! Czartowską siłą ciagniesz do siebie ludzi, a potem ich na zgubienie wieczne oddajesz! Poczekaj ty! Będzie tobie! Już ja na ciebie pomstę za swoją krzywdę znajdę, ty wiedźmo, przeklęta dusza twoja!

Odległość była taką, że krzyki jego słyszeć musiała. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko czółno zakotłosało się pod nią, jakby drżeniem jej nóg wstrząśnięte. Potem jednak popłynęło znowu równo, szybko, a nienawistny, okrutny uśmiech przewijał się po brązowej twarzy mężczyzny stojącego w cieniu gałęzi wierzbowych. Z cienia, w którym stał, kobieta w ogniach słonecznych po błękitnie stawu płynąca wydała mu się może strasznym, złowrogim i zarazem świetlistym, ponętym zjawiskiem.

– Wiedźma! dalibóg, wiedźma! – zaszeptał, a gdy ona u przeciwnego brzegu do białych piasków już przybiła i ku domostwu swemu śpiesznie szła, z zaciśniętymi pięściami ku pługowi swemu wracając dodał:

– T a k i ona nie powinna po bożym świecie chodzić... t a k i nie powinna!

Męża swego Pietrusia w domu nie zastała. Stasiuk, który na jej spotkanie aż ku brzegowi stawu wybiegł, brnąc w białym piasku i czepiając się jej odzieży w drodze już wyszczebiotał, że tatko poszedł do karczmy, aby z arendarzem pomówić. Wiedziała o tym, że arendarz stręczył mu dużą i zyskowną robotę w jednym z sąsiednich dworów, nie dziwiła się też ani była niespokojną, że Michałek w porze zwykłej do domu nie wracał. Interes był ważnym i dużo o nim z Żydem do mówienia było. Gotując wieczerzę, gdy dzieci w kącie izby bawiły się drewnianą piszczalką i chrupały wysuszone ziarna słoneczników, przyciszonym głosem opowiadała babce wszystko, co ją dziś od Piotrowej i nad stawem spotkało. Przy opowiadaniu tym Aksena przędła zrazu coraz prędzej, ale wkrótce u kądzieli nitka rwać się zaczęła i wrzeczono wysunęło się z jej palców. Na kolanach złożony ręce siedziała wyprostowana jak struna i choć Pietrusia dawno już mówić przestała, nie przemówiła ani słowa jednego, tylko żółte jej szczęki przędzonym niż kiedykolwiek ruchem przeżuwały uczutą zgryzotę, a białe oczy z większym niż kiedykolwiek wyężeniem zdawały się wpatrywać w przestrzeń izby oświetloną chwiejnym półświatłem płomienia. Wieczera była już zgotowana, ale kobiety czekały z nią na gospodarza chaty, który lada chwila nadejść musiał. Płomień w piecu przygasł, dzieci uciszyły się i drzemiące pod stojącymi u ściany snopami lnu utworzyły grupę zmieszanych z sobą bosych stopek i małych rumianych twarzy.

Pietrusia z podwórza do sieni wniosła cierlicę, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż westchnąwszy głośno usiadła także na ziemi i plecy o len opierając zadumany wzrokiem przed siebie patrzyła. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się po chwili ochryply i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepej baby.

– Pietrusia! – zawołała.

– A co, babulo?

– Spal zioła, te zioła, co z pola w tym roku nanosiła, i te, co z przeszłego lata zostały, i wszystkie, co w chacie są.

– Czemu tak, babulo?

– Spal! – krzyknęła prawie stara i ciszej, lecz gniewnie zamruczała jeszcze: – Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakołysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni w fartuchu lub r a d n a c h znosiła mnóstwo uschłych i kruchych lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała, a potem ogień podnieciwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła; wszystko to czyniła w milczeniu zupełnym, z rozpalonymi oczami i trochę zaciśniętymi ustami. Z twarzy jej widać było, że uczuwała ból i trwogę. Rośliny te, w których barwach i woni od niemowlęstwa prawie kochały się jej zmysły, te cząbry liliowe, żółte dziewanny, girlandy czepiających się wzajem traw i łodyg, obejmowały teraz ogniste języki płomienia i owijały sine zwoje dymu, który słupem wzbijając się w komin, ział na izbę silnie, upajające wonie. Gdy kilkanaście garści uschłego ziela zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierchołkowi pieca i zapytała znowu:

– Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takim zamyśleniu pogrążoną była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopiero u wierchołka pieca głos chrapliwy i trochę drżący zagadał:

– Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja, co z czego wyniknąć może... Stara Prokopicha mnie teraz przed ślepymi oczami jak żywa stanęła i jak żywe stanęły te łzy, co po jej stareńkiej twarzy jak ciekły, tak ciekły...

Im dłużej ślepa baba mówiła, tym więcej głos jej stawał się monotonnym i zarazem do śpiewnego, żałosnego recytatywu podobnym.

– Była, żyła w siele ludnym, ale bardzo niebogatym, Prokopicha, żołdatka, najemnica uboga, chaty swej ani krewnych żadnych nie mająca. Męża jej na dalekim świecie na wielkiej wojnie zabili, a został się przy niej jeden tylko synaczek nieboraczek, który nazywał się Prokopek, imieniem, znaczy, ojcowskim. Biednieńki był ten Prokopek, od wszystkich, prócz rodzonyj matki, opuszczony. Ani u niego ojca i bratów, ani chatynki i pola nie było, przyszedł na świat goły jak Jadam, a jak wyrósł, do cudzych ludzi pracować poszedł. U cudzych ludzi w poniewierce i biedzie wielkiej pracował, na cudze dobro zyzem patrzył i pochmurny stał się jak noc jesienna. Choćby wszyscy nie wiem jak weselili się, on sam jeden, jak wilk, bywało, chodzi, w ziemię patrzy, jakby już sobie mogiłkę chciał kopać, a wszystko o czymś myśli i myśli. Nie lubili jego ludzie za pochmurność i niechętność i nie szanowali go, zwyczajnie jak sierotę j e d y n o k i e- g o, za którym ująć się komu nie było. Aż tu jednego roku zaczął ktoś gospodarzom konie kraść. Jednemu gospodarzowi koń zginął, drugiemu zginął, trzeciemu zginął. Po całym siole poszło krzyczenie t a j płkanie, bo ludzie byli tam niebogate i strasznie żywiołów tych żalowali, bez których w gospodarstwie ciężko. Szukali złodzieja, rozpytywali się, pilnowali – nie ma! Nie ma i nie ma, rozstap się, ziemio! A konie jak giną, tak giną! Jednego razu ktoś podpatrzył, że Prokopek czasem przepada z siola. Przejdzie, bywało, dzień, dwa, trzy, przejdzie i n i e d z i e l a (tydzień) cała, a jego w siole nie ma, gdzieś m a n d r u j e. Z Żydami niedowiarkami w lesie rozmawiającym go widzieli i w miasteczku go widzieli, jak pił w karczmie i s t u ż k i dla jakiejś dziewczki kupował, nie wiadomo, skąd h r o s z e biorąc. Wtedy już wszystkim przyszło do głowy, że to Prokopek, parobek, konie kradnie. Wzięli i do sądu jego zaciągnęli. Sąd słuchał, słuchał i powiedział, żeby sobie Prokopek do siola powracał, bo, mówi, nie wiadomo jest, czy to on konie kradł; pewnością, mówi, nie ma; dowody, mówi, lepsze na niego dajcie... Prokopek do siola powrócił, a konie jak ginęły, tak ginęły. Wtenczas już ludzi wielki gniew za ich dobro ogarnął. Zaczaili się raz pod lasem i jak Prokopek z lasu furę drzewa gospodarzowi swemu wiozł, złapali go, t a j zaczęli w niego walić kijami...

– Jezu! – rozległ się po izbie krzyk Pietrusi, która z fartuchem pełnym ziół i ręką zatopioną w uschłe rośliny przed piecem stojąc, oczy szeroko otworzyła i zatrzęsła się całym ciałem.

– Kijami! – jęknęła jeszcze i opamiętawszy się nieco znowu zioła w ogień rzucać zaczęła.

Płomień buchnął żywiej, na izbę wionęła sina i pachnąca mgła, z wierzchołka pieca głos starej powtórzył:

– Kijami. Żebra jemu połamali, ręce, nogi połamali, ludzką twarz krwią obleli i nieżywego porzucili na szerokim polu, na pustym polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukowi i kawkom na strawę.

W izbie zapanowała chwilowa cisza, po czym ślepa baba opowieść swą kończyła:

– A Prokopicha żołdatka z żalu po swoim nieboraczkę synaczkę wzięła i s f i k s o w a ł a. Z litości ją ludzie karmili i odziewali, a ona, bywało, w ciemny kąt zalezie i ciągle o swoim parobku Prokopku opowiada i opowiada, a po zmarszczonej, stareńkiej jej twarzy, jakby kto grochem sypał, łzy cieką a cieką... I ja tam była, gadania jej słuchała, na łzy jej patrzyła, a teraz to wszystko przed ślepyimi oczami mymi jak żywe stanęło...

Kiedy chrapliwy i klekoczący a zarazem śpiewny głos starej umilkł, Pietrusia z cicha przemówiła:

– Babulo!

– A co?

– Czy ten Prokopek doprawdy konie kradł?

Stara z namysłem odpowiedziała:

– Może kradł, a może i nie kradł. To już nie wiadomo. Pewności nie było... ale ludzkie posądzenie było i straszny gniew ludzki był...

– Straszny! – jak echo powtórzyła kobieta przed ogniem stojąca i śpiesznie, śpiesznie resztę ziół uschłych w płomienie rzucać zaczęła.

Po chwili stara zagadała znowu:

– Pietrusia!

– A co, babulo?

– Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzać...

– Nie będę – odparła młoda kobieta.

– Nikomu, pamiętaj. Żeby tam nie wiem jak ciebie prosili. C z u j e s z?

– Nie będę, babulo...

– Cicheńka taka bądź jak ta rybka na dnie wody, żeby ludzie i zapomnieli o tobie.

– Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrzęła, zaraz krzyknęła:

– Oj, Bożeż mój! a tobie co takiego p r z y t r a p i ł o się, Michałku?

Musiąło mu istotnie przytrafić się coś złego. Twarz miał rozognioną, jedno oko zapuchłe i kilka sińców na policzkach i czole. Czapkę z rozczochranych włosów zdjął i na stół ją rzucając dzieci, które obudziły się i do niego przybiegły, z gniewem od siebie odpędził. Potem na ławie siadł i do żony zwracając się ochryplym trochę głosem mówić zaczął:

– P r z y t r a p i ł o się mnie to, czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Żołdatem byłem i sześć lat wtoczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim; tutaj już siedem lat żyję i panuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś pobiłem się przed karczmą z chłopami. Z twojej przyczyny, Pietrusia, h a w a n t u r a ta mnie spotkała. Pfe, wstyd tylko, zgryzota, t a j h o d z i!

Splunął i głowę od żony odwracając skaleczone oko dłonią sobie zakrył. Ona milczała i stojąc przed ogniem patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, z rękami wzdłuż ciała opadłymi.

Po chwili ozwał się znowu:

– Rozmawiam ja sobie z arendarzem o j e n t e r e s i e, aż słyszę, przed karczmą chłopci na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zrobiła. Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakub Szyszko, złodziej ten wiadomy, i Stepan potem przyszedł i tak też gadać zaczął, i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły tak też i jak wrony krakać zaczęły: taka

ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja, słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, klócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu nie wiadomo skąd przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wieźm i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kułaków! Oj, Bożeż mój, Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Przez rozżalenie i zawstyżenie jego przebijająca się uraza do żony uczuwana. Ona wciąż milczała, przestraszona tak, że aż jej ręce, którymi garnek ze strawą z pieca wyciągała, drżały widocznie. Ze spuszczonej powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała. Kiedy wedle zwyczaju bochen chleba i nóż mężowi podawała, on przysłaniając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugim bacznie na nią popatrzał.

– Pietrusia! – rzekł – co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie jak te kruki na ścierwo napadli...

Z wolna wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem? – szepnęła.

– Już to nie może być bez przyczyny? ha? – zapytał jeszcze.

Zapytywana w ten sposób kobieta sama pograżała się w coraz głębsze zamyślenie.

– Czy ja wiem? – powtórzyła.

Widocznie sama zagadki losu swego zrozumieć nie mogła i czy w istocie przyczyna jego w niej samej nie spoczywała, pewną nie była. Pomimo tej niepewności inna roztopiłaby się cała w zaprzeczeniach, przysięgach, uniewinnianiu siebie, a złorzeczeniu ludziom. Ona tego nie uczyniła. Nigdy jeszcze przed mężem nie skłamała. Żyli oni z sobą jedno drugiemu duszą w duszę patrząc, jak dwa przejrzyste, obok płynące potoki. A teraz kłamałaby, gdyby mu powiadała, że jest czegokolwiek pewną, gdy wewnątrz jej nurtowała trwoga, nie tyle przed ludźmi, ile przed czymś nieokreślonym, tajemniczym, groźnym uczuwana.

– Czy ja wiem? – powtórzyła i, z czołem zmarszczonym w dwie głębokie fałdy, od męża twarz odwróciła.

On patrzył na nią i dziwić się jakby czemuś lub nad czymś smutnie rozmyślając parę razy głową zakołysał. Potem dzieci ku sobie przywołał, a do niej już nic nie mówił i ani razu tego wieczora zuzulą jej nie nazwał. Markotny i milczący spać się położył, ciemność i cisza zalegały izbę, aż w połowie nocy, w ciemności i ciszy ozwał się szelest ludzkich kroków i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca.

– Babulo! Babulo! czy ty śpisz?

Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźnym przerażeniem przejęty.

– Nie s p l u, d i t i a, nie s p l u! W s i e ń k o o tobie myślę – odpowiedziała Aksena, której od czasu pewnego starość przywodzić już zaczęła bezsenne noce.

– Babulo! – zajęczał głos drugi – cościś mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cościś położyło się i tak dusiło, że tylko co już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

– S z t o h e t o? – zadziwiła się stara, a po chwili zapytała:

– Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

– Nie robiła, babulo, nic w świętą niedzielę, nigdy nie robiła...

– P r y p o m n i j sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy niedziela do ciebie przyszła i dusiła za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znałam, co w niedzielę zawsze wszystko robił. Aż tu razu jednego niedziela do niego przyszła, taka wielka jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła... na śmierć zadusiła. P r y p o m n i j tylko sobie, czy czego, broń Boże, w niedzielę nie robiła...

– Nie robiłam, babulo, p o b o ż ę się, że nigdy w niedzielę nic nie robiłam...

– No, to s z t o ż h e t o, co ciebie dziś dusiło?

Długie potem zapanowało milczenie, aż w ciemności szept młody i przerażony cichutko zaszemrał:

– Babulo, ja słyszałam, że kiedy czort do kogo przyczepi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca gwałtownie coś zaszeleściło, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

– Przeżegnaj się, d i t i a, przeżegnaj się ty krzyżem świętym...

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Znowu chwilowa zapanowała cisza, potem stara Aksena zaszelepiła jeszcze:

– Zgryzota to ciężka dusiła ciebie, Pietrusia ty moja, z h r y z o t a i żalność.

– A-le! – twierdząco odszepnął głos drugi.

– Cościś Michałek markotny był dzisiaj i h n i e w n y...

VI

Zima nadeszła wczesna i ostra. W ostatnich dniach listopada mróz ściał już ziemię w twarde bruzdy i śnieg przysypał ją białym pyłem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą wiodącą z najbliższego miasteczka do Suchej Doliny szli ku wiosce dwaj chłopci. Obaj byli niewysokiego wzrostu ale jeden szczególnie mógł się nazwać zupełnie niskim; w kozuchach baranich, czapkach i skrzypiących butach, szli oni to powolnym i trochę chwiejnym, to znowu prędkim i zamaszystym krokiem, bardzo głośno ze sobą rozmawiając i zawzięcie rozmachując rękami. Nie byli zupełnie trzeźwi. Grube ich głosy rozchodziły się daleko, a wtórował im głośny także i nierówny tętent ich stąpań. Ze stów, które wyraźnie i donośnie brzmiały w cichej i mroźnej przestrzeni, wnieść było można, że wracali z miasteczka, gdzie obadwaj stawali przed sądem pokoju.

– M i r o w y k a ż e (sędzia pokoju mówi): „S z t r a f z a h e t o drzewo zapłacisz...” – mówił jeden, a drugi nie słuchając towarzysza jednocześnie prawil:

– „Dług święta rzecz, k a ż e, zapłacić n u ż n o...”

– „Drzewo, k a ż e, ściał w pańskim lesie, sześć sztuk ściał, k a ż e za każdą sztukę po rublu sztrafu zapłacisz...”

– „A kiedy długu nie zapłacisz, k a ż e, ziemię o p i s z ą, t a j sprzedadzą...” „Nie sprzedadzą, mówię, bo jeszcze nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona...”

Teraz drugi zaczynał:

– A ja do m i r o w e g o z j a z d u... do Chackiela poszedł i kazał jemu prośbę do m i r o w e g o z j a z d u pisać... „Pisz, mówię, h a p e l a c j u, żeby ja tego sztrafu nie zapłacił...”

Pierwszy swoje dalej prawil:

– Ja do starszyny!... A co z tego będzie?... u Żyda zadłużył się i u innych ludzi zadłużył się, i teraz oni na mnie do sądu podają, a sąd płacić każe, a ziemia nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona i sprzedać jej nie można... Żyd niedowiarek, podła jego dusza, pyta się zaraz: „A wiele za napisanie dasz? „Z o ł o t o k u dam, mówię, p i s z y!” A on mnie w oczy patrząc śmieje się... „Rubla dasz!” mówi. „Nie dam, mówię, dalibóg, nie dam... dwa złote dam...” A on: „Rubla dasz...” I obiecał, dalibóg, obiecał rubla... K a b j e h o c z o r c i...

Ten zaś, któremu o zaciągnięte długi szło, zataczając się nieco prawil:

– Dowiedział się ja u starszyny, oj, dowiedział się... K a b j e h o... „Ziemi nie opiszę, mówi, bo nie wolno, bo jeszcze nie wykupiona, ale gospodarstwo za dług opiszę, t a j sprzedam p u b- l i c z n o, znaczy, sprzedam, w jednych koszulach zostanieie... na co było długi robić?”

Nagle stanęli obaj i twarzą w twarz patrzeć na siebie zaczęli.

– Jakub! – rzekł jeden.

– Szymon! – odpowiedział drugi.

I obadwa razem wydali z gardła pytające tony:

– Ha?

– Żeby to człowiek był bogaty!

– Ale!

– Tobo długów nie robił!

– Ale!

– Dziewięć dusz w chacie...

– U mnie trzynaście... t a j jeszcze i dwoje w kołyskach...

– Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

– A ś w i e r o n e k (spichrzyk) to już ze wszystkim zawalił się... myślę ja sobie, skąd tu drzewa wziąć... ot i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, dla wszystkich zasiał...

– Ziemię przyjdzie Ż y d u w arendę za dług puścić... choć p o t a j e m n o, a samemu w parobki do jakiego dworu nająć się... O j, h o r k a j a d o l a przyszła mnie i d i t k o m m o - im...

– O j, h o r k a j a d o l a przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kozuchów po oczach sobie powiedli i głośno westchnawszy, dalej obok siebie iść zaczęli. Znajdowali się w tej chwili blisko krzyża wznoszącego się nad rozstajnymi drogami. Naprzeciw nich żółto błyszcząco dwa oświetlone okna karczmy, dalej ciemniały ściany stodoły i obór, a w pewnej od nich odległości samotne w polu i pośród suchych szkieletów drzew szarzało domostwo kowala. Przy świetle gwiazd można było rozpoznać zamkniętą dziś i milczącą kuźnię, śniegiem ubieloną strzechę chaty i dwa złotawe, blade, bo przez zamarznięte szyby przedzierające się odbłaski palącego się w niej ognia.

Jeden z chłopów przechodzących pod krzyżem w kierunku tego domostwa rękę wyciągnął.

– Szymon! – rzekł.

– Nu?

– Ot, tam to h r o s z y dużo!

– Gdzie to?

– A u kowalichy.

– Aha! – potwierdził Szymon – m u s i ć b o h a t y ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

– Czemu im nie żyć, k o l i c z o r t więdźmie pomaga...

– Pomaga czy nie pomaga, a t a k i im dobrze, kiedy h r o s z e mają – zauważył Szymon, a po chwili myślenia machnął ręką i zamruczał: – To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło, chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżej...

– Jeszcze i ciężej na cudze dobro patrzeć, kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

– Ale!

Wtem Jakub Szyszko stanął jak w ziemię wryty i z ręką wyciągniętą ku domostwu kowala przyciszonym, zdławionym prawie głosem wymówił:

– B a c z y ł? Szymon, b a c z y ł? (widziałeś?)

Szymon stanął także i nic wymówić nie mogąc usta tylko szeroko roztworzył. Zjawiskiem, które obu chłopów tak bardzo uderzyło, była spadająca gwiazda. Oderwała się ona niby od ciemnego sklepienia i złoty wężyk zakreśliwszy – w powietrzu, nad samą chatą kowala zniknęła. Na tle przejrzystej nocy błysk ten strzelił chwilową, lecz świetną światłością. Jakub powtórzył pytanie:

– B a c z y ł ty?

– Czemu nie b a c z y ł? B a c z y ł – zaszeptał Szymon – o nich my mówili i na ichże chatę gwiazda spadła...

Jakub głową wstrząsał i głośny, szyderski śmiech wychodził z wąskiej, starej jego piersi.

– Oj, dureń ty, dureń! – mówił – to ty myślisz że to gwiazda spadła...

– Ale!

– A to, ot c z o r t był, co przez komin wiedźmie h r o s z e niósł!

– Nie może być? – krzyknął prawie Szymon i rękę do czoła niosąc żegnać się zaczął.

– A czy ty tego nigdy nie słyszał?

– Słyszał to, słyszał, że tak na świecie bywa, ale widzieć, nie widział...

– No, to teraz zobaczył... W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

– Amen – jednogłośnie dokończyli obaj, a Szymon raz jeszcze wydał z gardła przeciągły dźwięk zadziwienia. Potem szedł już przed siebie pewniejszym, równiejszym krokiem, jakby mu dym wódki, którą w miasteczku wypił, z głowy uleciał. Głęboko nad czymś rozmyślał, potem ozwał się:

– Jakub!

– Ha?

– Wiesz ty co? Już bym ja i c z a r t o u s k i m i h r o s z a m i nie pogardził, żeby tylko z biedy wyleźć. Żeby gospodarstwa nie opisywali i nie sprzedawali...

– Jak w i e d a j e s z... jak z n a j e s z... – obojętnie odparł Jakub.

– Może by kowalicha i pożyczyła... – wahającym się głosem zaczął znowu Szymon.

– Jak w i e d a j e s z... jak z n a j e s z... ale kiepsko będzie...

– Czemu kiepsko?...

– Ot, tak! Chrześcijańską duszę zaprzedać nie godzi się...

– I to prawda...

– Ty tego nie rób – palec do góry wznosząc nauczał Jakub – nie godzi się... księdzu na spowiedzi powiedzieć trzeba, że takie pokuszenie miał...

Szymon rozmyślał znowu, ale po chwili z nagłą determinacją głowę podniósł.

– A szedł ty do pańskiego lasu drzewo kraść, kiedy ś w i e r o n e k budować zapotrzebował, ha?

– Oj, ty, durniu! – krzyknął Jakub – jak ty takie rzeczy porównywać możesz? Las boski jest i Pan Bóg jego dla wszystkich posiał, a więdźmy h r o s z e czartowskie i ona sama jest nieprzyjaciółka boska i ludzka...

– To co! – opierał się Szymon – taki tobie m i r o w y s z t r a f zapłacić kazał, a ty mnie od durniów nie wyzywaj... Słyszysz? Prawa nie masz! Sam dureń, a jeszcze do tego i złodziej!

Zaczynali już klócić się, ale wtem oblała ich światłość wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj jak w ziemię wryci.

– Zajdziem – rzekł Szymon.

– Zajdziem – zgodził się Jakub.

– Na minutkę.

– Na minutkę, poweselić się...

Karczemną izbę, dość obszerną, niską, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu pułapem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne wetknięte w szczeliny pieca, od góry do dołu zawieszonego wysychającą po praniu odzieżą arendarza i jego rodziny. Na długim i wąskim stole paliła się krzywo w wydrążonej brukwi tkwiąca łożówka i stało kilka cynowych czarek, jakimi zazwyczaj chłopci w karczmach wódkę pijają. Pili z nich przed chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy z obu stron stołu na ławach siedząc toczyli pomiędzy sobą gwarliwą, ale poważną, stateczną rozmowę. Dostatnie kożuchy ich zaopatrzone w szerokie kołnierze z czarnych lub siwych baranów, ciężkie, lecz całe i aż do kolan wysokie obuwie, wyrazy ich twarzy spokojne lub uśmiechami rozjaśnione objawiały, że byli to najdostatniejsi i najlepiej prowadzący się mieszkańcy Suchej Doliny. Przyszli tu oni nie dla hulania ani z hultajstwa, ale

dlatego naprzód, aby w długi zimowy wieczór rozweselić się trochę w k o m p a n i i, a potem i dlatego, aby o rzeczach dotyczących się interesów wsi trochę naradzić się i porozmawiać. Kazali sobie zrazu podać wódki, pili ją z cynowych czarek uprzejmie do sąsiadów przemawiając: „Na zdrowie! na szczęście!” Po czym czarki na środek stołu odsunęły i więcej już ich nie dotykali. Po kruczku wypili i dosyć! Gdyby to była jakaś wesoła okazja: chrzciny, wesele, dobiecie jakiego targu lub coś podobnego, piliby pewnie daleko więcej. Ale bez okazji nie zwykli byli upijać się, szanowali w sobie dostojność gospodarzy zamożnych i prowadzących się uczciwie, ojców rodzin i byłych lub terażniejszych urzędników gminy.

Po samym środku grona tego zasiadł Piotr Dziurdzia, obok niego z łokciami daleko na stół wysuniętymi rozpierał się Maksym Budrak, dalej obsiadali ławę: stary Łabuda i dwaj dojrzały, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilkoma jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniej dochodziło światło, siedział Stepan. Zawsze miał on pociąg do przestawiania z najpoważniejszymi i najuczciwymi mieszkańcami wsi, do współudziału w rozprawach o rzeczach publicznych, do odegrywania we wsi roli czynnej i wpływowej. Ambitny i śmiały, pragnął coś znaczyć, czymś przewodzić, a choć mu już lat czterdzieści wkrótce minąć miało, nie mógł nigdy pożądanego celu tego doścignąć. Ponurość i popędliwość jego odstraszały odeń ludzi, ujmowały mu publicznego szacunku niepospolicie już złe pożycie z żoną i brak liczniejszej rodziny. Miał wprawdzie jedno dziecko, ale takie, że za bezdzietnego uchodził, a bezdzietność chłopa to naprzód niebłogosławieństwo boskie, a potem bliska i nieunikniona jego ruina. Inaczej wcale poglądamy ludzkie na taką chatę, w której rosną i dorastają silni parobcy i pracowite dziewczki, niżeli na taką, w której dwoje samotnych ludzi, jak ta para ponurych kretów, ziemię kopie, bez radości na teraz, bez widoków na przyszłość. W takiej chacie ani chrzcin, ani weseł, ani głośnego igrania chłopców, ani dźwięcznego śpiewania dziewcząt. Ludzie do niej nie zachodzą nigdy i nigdy w niej do zastawionych bożymi dary stołów nie zasiadają. Żeby tam nie wiedzieć jaki dostatek był, to wprost okazji żadnej nigdy nie ma, więc i szacunek ludzki i przyjaźń ludzka nie mają tam kiedy przybyć, objawić się i wzrosnąć. A jeżeli jeszcze w chacie takiej wieczne pomiędzy małżeństwem kłótnie, krzyki i bijatyki, Panu Bogu na obrazę, ludziom na zgorszenie i śmiech? Wtedy już, chłopie bezdzietny i beznadziejny, na ruinę gospodarstwa i pośmiewisko ludzkie wystawiony, siedz chmurny i milczący pomiędzy weselącymi się i rozprawiającymi ludźmi, tak jak w ciemnym kącie siedzi Stepan Dziurdzia złość i zgryzotę swoją przeżuwać. Ile razy odezwał się, tyle razy spostrzegł wyraźnie, że nikt go słuchać nie chciał. Rozprawiano jednak o rzeczy, na której on znał się lepiej niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś cała pretensję rościła i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi w stosunku do części przez każdego posiadanej w procesie; arytmetyczne takie ćwiczenia najbieglej Stepan dokonywać umiał, najlepiej zresztą znał owe grunta i łąki, ale obywno się bez jego pomocy i rady, słowa jego głuszono, kiedy innych przekrzywić usiłował, łokciami go trącano na znak, by umilkł. Młody Łabuda, kłótni wszczynać nie lubiący a lękając się, aby go do niej złość Stepana nie wyzwała, odsunął się odeń o łokieć, to samo uczynił Anton Budrak, brat Maksyma, obecny starosta wsi. Osamotnionym ujrzał się i sponiewieranym. Zaklął z cicha, usunął się pod samą ścianę, na arendarza krzyknął, aby mu całą kwartę wódki podał, i pił ją milcząc, i roziskrzonymi oczami w cieniu jak wilk połyskiwał. Inaczej wcale działało się z Piotrem Dziurdią. Ten przez lat sześć urząd starosty sprawiał, wiedział więc dobrze, co chłop który posiadał i w jakiej mierze do wspólnych kosztów przyczyniać się był powinien. Anton Budrak, który świeżo starostą został, radził się go o to i owo, inni słuchając potakująco głowami kiwali. Z rękami splecionymi na kolanach, z długimi włosy, których płowe i siwiejące kosmyki opadły na czarny, barani kołnierz kozucha, z bladawą swą i ciemną twarzą, ożywioną teraz czarką mocnego napoju i prowadzoną rozmową, Piotr rozповідаł szeroko i długo, a słowa jego ciekły mu z ust rozważne i przewlekłe, niby leniwy i z cicha toczący się potok. Przypominał, kiedy i jak

owe grunta i łąki od Suchej Doliny odpadły i co o tym opowiadali ojcowie, rozważał, jakie korzyści zwrot ich przyniosłby wiosce, i wyliczając je aż wzdychał, tak mu się one ponętymi wydawały. Pomimo jednak tego dosyć żywego pożądanego rzeczy ziemskich, o niebieskich nie zapominał. Podnosił czasem w górę wskazujący palec i zdanie swe kończył słowami:

– W s i e ń k o to w mocy Bożej. Kiedy Pan Bóg zechce, to nam tę łaskę swoją da, a kiedy nie zechce, to nie da, i cierp, człowiecze, bo taka już wola pańska...

Innym razem mówił:

– Boskiej siły, jak t o j k a z a u, nie przemożesz. C z o r t o u s k u j u s i łą krzyżem świętym przemożesz, a boskiej niczym nie przemożesz... Jak Pan Bóg najwyższy zechce, tak będzie.

Słowa te wywoływały zawsze westchnienie słuchaczy, co nie przeszkadzało im jednak z żywym i nawet namiętnym zajęciem dalej o interesach ziemskich rozprawiać. Piotr wzdychał także, ale szare, głęboko pod gęstymi brwiami osadzone oczy jego błyskały czasem rozweseleniem takim, jakie ukazywało się w nich bardzo rzadko. Rozweselały się one w ten sposób zawsze, ilekroć wypadkiem czy umyślnie spojrzął w tę stronę karczemnej izby, w której bawiła się i weseliła nieliczna garstka młodzieży. Było tam kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta wołając nań o muzykę, a gdy grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiejś lub gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy i rozlatywały się na wsze strony ciemne dymy kłębami buchające z rozplamionych smolniaków. Było tam w tej zabawie pełno grubych wykrzyków męskich i piskliwych jęków niewieścich, rubasznym śmiechów, żartobliwych kłótni, tupotu nóg, brzęczenia i piszczenia skrzypiec. Białe koszule i sine spódnice dziewcząt migotały w kurzawie i dymie wśród szarych lub błękitnych ubiorów męskich. W gromadce tej nielicznej, ale bawiącej się wybornie, rej głośny i wesoly wiódł Klemens. Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiej choroby, której już i znaku na nim nie było. W czasie chorowania swego nieskończoną ilość razy trzymał był w rękach zapaloną gromnicę, wypił nieskończoną ilość ziół, które mu z całej wioski przynosiły baby, odbył przedśmiertelną spowiedź i utracił kwartę krwi, którą wytoczył zeń z miasteczka przez Piotra przywieziony felczer. Stara *Ewanielia* przez cały ten czas nad samą głową jego na poduszce leżała; ojciec w kościele trzy msze na jego intencję zakupił. Na koniec wyzdrowiał, wstał i po tygodniach paru wyglądał już tak, jakby mu nigdy nic nie było. Odtąd Piotr o chorobie i wyzdrowieniu syna lubił szeroko i długo rozprawiać. Opowiadał, że sprawiła ją diabelska siła, którą przewyciężyła siła boska. O pierwszej mówiąc pięści ścisnął i z obrzydzeniem spluwał, a błysk gniewu i nienawiści przemykał mu w żrenicach. Dla drugiej gorącą wdzięczność i cześć widać uczuwał, bo gdy ją wspominał, głowę skłaniał, a oczy mimo woli prawie w górę wznosił. Teraz Klemens w zabawie i swawoli rej wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykaniem i o muzykę wołając do tańca w pół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kącie odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on stojąc za nią przeproszał ją i do drugiej gonitwy wyzywał, pociesznie twarz jakby w płaczu przekrzywiając a grubym śmiechem na całą izbę chichocząc... Piotr na tę zabawę syna poprzez głowy siedzących naprzeciw niego sąsiadów z przyjemnością spoglądał i robiły mu one nawet wyraźne w rozmowie roztargnienie. Usta wtedy rozwierał i śmiał się cichym, piersiowym śmiechem. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyzna miała z zamożnej ojcowskiej chaty wnieść z sobą w chatę męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a prócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną; jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewnioną będzie. Piotrowi od dawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego, ni z owego, wykryły się te jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krepą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych miesz-

kańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dźwignął się był z choroby, Piotr go zapytał:

– Czy ty z tą Franką z myślami jakimi zaczynał, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydził się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

– Tak sobie!

– A żenić się z nią nie myślałeś?

– Niechaj czort żeni się z nią, nie ja – brzmiała już chmurna odpowiedź.

– Nu, a Nastki Budrakówny chcesz? – indagację swą dalej prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

– Czemu nie, b a ć k u? – zawołał.

Aż mu oczy zaświeciły się z radości. Nastka była ładną dziewczyną, ale o posagu i o ostatniej wyprawie jej także pomyślał. Swatów do chaty Budraka wnet po przejściu adwentu wysłać umyślili.

Teraz pośrodku izby młodzież wzięwszy się za ręce utworzyła koło, w które na żarty i ku rozśmieszeniu wszystkich wkręciła się jakaś stara, przysadzista baba, z pochwyconą u arendarza małą poduszczką w rękach. Przy piskliwej, lecz skocznej muzyce skrzypiec koło tancerzy z wielkim tupotem nóg okręcało się dokoła tej baby, która jedną ręką na kłębie opierając się, a w drugiej poduszczkę wysoko podnosząc, a w kółko też skacząc z pocieszonymi minami śpiewała:

*Paduszcзки, paduszcзки, a wsie puchowyje;
Mołodzieńki, mołodzieńki, sawsiem mołodyje...*

Tu wybuchnęły ogromne śmiechy, tak słowa piosenki źle stosowały się do przysadzistej, pomarszczonej, choć silnej jeszcze i uciesznej baby. Ona śpiewała dalej:

*Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszczku puchawuju
Tomu podaruju.*

Wraz z ostatnim wyrazem śpiewki poduszczkę na Jasiuka Dziurdzię rzuciła i wpół go objąwszy chciała się z nim wedle prawideł tańca tego kilka razy okręcić. Ale on za wstyd to sobie poczytał, że go tak niepowabna tancerka faworami swymi obdarzała, pięścią babę odepchnął i z gapiowatą miną a rozgniewanymi oczami jak słup na środku izby pozostał. Kilka poważnych gospodyń na ławie pod ścianą gwarzących aż kładło się ze śmiechu; gospodarze nawet rozmowę o interesie przerwali i z uśmiechem na twarzach szumnej zabawie młodzieży przypatrywać się zaczęli.

Koło taneczne utworzyło się znowu, tylko że w jego środku stanęła tym razem gwałtem przez inne dziewczki tam popchnięta Nastka Budrakówna. Skrzypce wciąż przygrywały, a wysmukła dziewczyna z grubą kosą na plecach i piersią zawieszoną szklannymi paciorkami poduszczkę do góry wzniosła i nie skacząc tak, jak tancerzniczka uprzednia, lecz okręcając się powoli i z wdziękiem, wśród tętentu stóp, donośnym głosem zaśpiewała:

*Paduszcзки, paduszcзки,
A wsie puchowyje;
Mołodzieńki, mołodzieńki,
Sawsiem mołodyje...*

Tu całe taneczne koło piosenkę podjęło i wzbijającemu się nad inne głosowi dziewczyny chórem wtóżyć zaczęło:

*Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszczku puchawuju
Tomu podaruju.*

Rzucona ręką dziewczyny poduszcзка w kraciastej nawleczce z taką siłą Klemensa Dziurdzię w twarz uderzyła, że aż spaśował cały, a złotawe i gęste włosy rozwiały mu się nad głową. Zarazem obu rękami Nastka zwiesiła mu się na ramionach, on wpół ją objął i kręcili się potem w kółko tak długo, że już i prawidła tańca takiego długiego kręcenia się bynajmniej nie wymagały. Ale parobkowi rozognionemu zabawą i u piersi jego dyszącą piersią Nastki i tego było za mało. Krzyknął na muzykanta, aby do k r u c i e l a przygrywać zaczął, co gdy on uczynił, puścił się z dziewczyną swoją w ten taniec szybki i zawrotny, prawie na jednym miejscu odbywany, a przerywany przechadzką we dwoje dokoła izby. Złote włosy parobka rozwiewały się nad jego głową, kosa dziewczyny z czerwoną wstążeczką u końca latała w powietrzu, na szyi jej brzęczały szklane paciorki i przeświecające zza nich pozłacane krzyżyki i medaliki. A gdy umęczeni zawrotnym okręcaniem się na jednym miejscu obchodzili dokoła izbę, on podnosił wysoko twarz rozpaloną i z błękitnych oczu rzucał snopy wesołych blasków; ona ramię mu za plecami trzymając, w jednej ręce ścisłała siną jego kaptotę, drugą fartuszką pot z twarzy ocierała. W ten sposób dwa, trzy lub więcej razy okrążali izbę powoli, miarowym krokiem, od czasu do czasu nogami przytupując, on do młodego dębu, ona do białokorej brzozy podobna. Wszyscy gospodarze zwrócili się już teraz twarzami ku izbie i na tańczącą parę spoglądali. Piotr Dziurdzia pół czarki wódki jeszcze do ust niosąc śmiał się swym cichym, piersiowym, poważnym śmiechem; Maksym Budrak, niedbale niby na córkę patrząc, radośnie oczami błyskał. Mimo woli pewno dwaj sąsiedzi na siebie spojrzeli, porozumieli się wzrokiem i kiwnęli do siebie głowami.

– K a b tylko wola boska była... – mówił Piotr.

– Czemu nie ma być woli boskiej? – odpowiedział Budrak.

Budrakowa, która pomiędzy gospodyniami pod ścianą siedziała i wprzódy już wychyliła była czarkę wódki, łzawiła się i z rozczuleniem do sąsiadek mówiła:

– Już ja tego Klemensa, jak Boga Kocham, na równi z synami rodzonienkami lubię...

W tej właśnie chwili weszli do karczmy Jakub Szyszko i Szymon Dziurdzia. Nikt na nich uwagi żadnej nie zwrócił. Już z samej odzieży, którą na sobie mieli, poznać było można, że w gromadce ludzkiej, wśród której żyli, najpośledniejsze zajmowali miejsce. Kozuchy ich były stare, bez kołnierzków, aż lśniące od brudu i zniszczenia, obuwie podarte i od wielu znać już lat do zimowych tylko wycieczek w mrozy i śniegi używane, czapki nawet spłaszczone i z podartym w strzępy baranym oszyciem. A cóż dopiero postawy ich i twarze! Stary Jakub trzymał się wprawdzie prosto i zawsze uroczystą jakby przybierał postawę, ale niski był, chudy a małymi, błyszczącymi oczami patrzący na świat spod brwi jakoś przebiegle i razem nieufnie, z przebiegłym, nieszczerym śmiechem na starych, zwiędłych ustach. Co do Szymona, tego krok ociężyły był i jakby nieśmiały, cera wyżółkła, oczy zaczerwienione i wiecznie mokre, a na całej twarzy miał wyraz zbiedzenia, gdy był trzeźwym, a zuchwałej przekory, gdy tylko wódka zaszumiła mu w głowie. Teraz trochę tylko był podpitym, więc nikogo nie zaczepiając, chyłkiem prawie i nieśmiało przeszedł karczemną izbę i wraz z Jakubem wszedł przez wąskie drzwiczki do drugiej, daleko mniejszej izby, będącej mieszkaniem arendarza i jego rodziny. Tam słyhać było, jak głośno i zapalczywie rozmawiali obaj z Żydem, wzajem sobie przerywając, popychając się łokciami i co chwilę zrywając się do kłótni z gospodarzem miejsca tego, który głośno i zapalczywie także u obydwóch, szczególnie jednak u Szymona,

dopominał się o pieniądze swe należności. Nie przeszkodziło mu to dać im po parę czarek wódki. Szymon swoje wychyliwszy płakać zaczął i na gorzką dolę swoją i swoich dziecięć wyrzekać, potem jeszcze o jedną czarkę na arendarza zawołał, a gdy ten dać jej na kredyt już nie chciał, głośno i okropnie przeklinając go, nad plecami i przed twarzą ściśniętymi pięściami mu groził. Żyd ustąpił i dał mu jeszcze wódki, pilnie czarkę każdą kredą na drzwiach zapisując. Szymon wypił; mokre jego oczy rozweseliły się i błysnęły, czapkę aż po oczy na głowę nasunął i zamaszystym, choć razem i niepewnym krokiem z karczmy wyszedł. Przed karczmą pod gwiaździstym niebem stanął i coś do siebie mrużąc namyślać się zdawał. Z wielkim wyteżeniem oczu patrzył w stronę, w której z daleka szarzało samotne w polu domostwo kowala, i nagle puścił się ścieżką pod ścianami stodół ku niemu wiodącą. Szedł, to prędko i raźnie, to znowu powoli i ze spuszczoną głową ciągle do siebie coś niezrozumiałego mrużąc. Parę razy zatoczył się i rękami opierał o płoty ogrodów, przed kuźnią stanął i namyślał się znowu. Zdjęła go trwoga jakaś, bo rękę do czoła i piersi podniósł. Przeżegnał się i jeszcze kilkanaście kroków postąpił. Gdyby był trzeźwym, z połowy drogi wróciłby niezawodnie, alboby i całkiem w tamtą stronę nie szedł, ale wódka dodawała mu odwagi, a ujmowała rozmysłu. Rękę na klamce drzwi położył i raz jeszcze przeżegnawszy się do chaty kowala wszedł. Kowala w domu nie było; Aksena, w ten długi wieczór zimowy ciepłym pieca rozgrzana, usnęła na swym sienniku. Nad siwą jej głową sterczała praśnica ze złotawą kądzielą, tylko co upuszczone wrzeczono na szorstkiej nitce zwisało z pieca, pod ramionami jej na kształt skrzydeł rozwartymi skurczone, jak zziębłe ptaszyny, spały dwie małe, rumiane prawnućki. Izba napełniona była półmrokiem i ciszą, palący się w piecu ogień krzesał błędne światełka w szybach okien, na których mróz wyrzeźbił sploty kryształowych i lśniących liści. Przed ogniem na stołku siedząc Pietrusia doglądała gotującej się strawy i zarazem odzież rodziny naprawiała. U stóp jej leżało kilka dziecinnych koszulek; na kolanach trzymała sukieny spencer męża, zszywając i przymocowując zdobiące go taśmy zielone. Kilka ubiegłych miesięcy zmieniło nieco wyraz jej twarzy, wąskiemu czołu odebrało jego dawną, jasną pogodę, a w zarys ust wlało cichy, lecz rzewny smutek. Świeżą jednak była jak wprzód i jak wprzód z rumieńców jej twarzy i kształtów kibici biły młodość i siłą. W twardym suknie grubą igłę zatapiając i wysoko podnosząc rękę z długą nitką, półgłosem, na przewleklą nutę śpiewała chłopską, posępną balladę:

*Matka syna z cicha nauczaje:
„Czemu ty, synku, żonki nie karajesz?...”
„Oj, maju, maju nahajku małuju
I budu karaci żonku maładuju”.
Z wieczora komora krykom zazwiniąła,
A z północy pościel hromko hawaryła,
A switajuczy Hanulka nie żyła...*

Tu śpiewaczka umilkła na chwilę, igłę nawlekła, w ogień szarymi oczami popatrzyła i znowu nad szyciem schylona dalej przewleklą nutę zawiodła:

*„Oj, maci, maci, padnica u chacie,
Poradzi ciepier, hdzie żonku chawaci?”
„Zawiezi Hanulu u czystoje pole,
Skażut ludzie, szto Hanula pszenicu pole,
A sam skaczi na torh do Janowa...”
W Janowie braty Hanuli pochadzajuć
I u szwagra siestry swajej pytajuć:
„Hdzie Hanula, siestru nasz, podzieu?”*

*Pryjchau do domu. „Sługi najmilejsze,
Podajcie konie mnie najworoniejsze,
Pajedu ja do Hanuli w pole,
Padajcie mnie skrypku hromku,
Zahraju ja swaju dolu horku...
Bodaj ty, matko...*

Z przeciągłym skrzygnięciem otworzyły się drzwi izby, Pietrusia śpiew swój przerwała i głowę odwróciwszy zobaczyła wchodzącego Szymona. Znała go dobrze i nie zdziwiła się, że tu przyszedł. Może z interesem do męża jej przyszedł. Uprzejmie skinęła głową.

– Dobry wieczór, Szymonie. Jak się macie?

Nie odpowiedział nic, tylko uczyniwszy kilka chwiejnych kroków wprost przed nią stanął i z otworzonymi ustami wpatrywać się w nią zaczął. W bladych jego oczach tak mieszały się z sobą wyrazy ciekawości i trwogi, dzikiego pożądania i pijanego rozczulenia, że wyglądał z tym trochę strasznie i trochę też śmiesznie. Z otwartych ust jego w samą twarz kobiety zionęła woń wódki. Ręce w rękawy kożucha wsunął i z pomieszaniem trwożliwości i zuchwalstwa zaczął:

– Pietrusia, ja do ciebie z prośbą...

– A czego chcecie? – zapytała.

– K a b ty mnie hroszy pożyczyla... Do m i r o w e g o dziś na sądy chodził... „Długi, k a ż e, zapłacić trzeba... Ziemię sprzedadzą, k a ż e...” „Nie sprzedadzą, mówię, bo nie wykupiona, od rządu, znaczy, nie wykupiona”. A on, k a b jemu nogi p o k r u c i ł o, długi popłacić, k a ż e... ja do starszyny...

Tak prawil przez długie minut kilka po wiele razy jedno i to samo powtarzając, ona słuchała go cierpliwie, szyciem swym zajęta, na koniec podniosła głowę i zapytała:

– To i cóż ja tobie, Szymonku, poradzić mogę?

– H r o s z y pożycz – przystępując bliżej powtórzył chłop.

– Nie ma, dalibóg, nie ma, a skąd u mnie h r o s z e mogłyby być? Wszyscy wiedzą, że do mężowskiej chaty w jednej spódnicy t a j w podartym kaftanie przyszedłam i on nie ma, p o b o- ż ę się, że nie ma. Dostatek w chacie, chwała Bogu, jest, ale h r o s z y nie ma... My jeszcze młode oboje... kiedyż nam było h r o s z e zbierać?

– Kłamiesz! – zawarczał chłop – h r o s z y t y m a j e s z pod dostatkiem, tyle m a j e s z, ile ich twoja dusza zażąda.

I burkliwy ton na proszący zmieniając dodał:

– Pożycz, Pietrusia, zlituj się, pożycz... co tobie szkodzi? jak ty p r y j a c i e l u swemu powiesz, żeby tobie więcej przyniósł, to zaraz i przyniesie...

Oczy kobiety ze zdumieniem utkwily w twarzy chłopca, którą wódka i wzruszenie zabarwiać zaczęły ceglasytym rumieńcem.

– Czy ty s f i k s o w a ł s i a? (zwariował) – przemówiła. – Jakież to mój przyjaciel taki, co by mnie h r o s z e według żądania nosił?

Szymon do czoła rękę podniósł, jakby przeżegnać się zamierzał, zarazem głosem znizonym od trwogi, z głupowatą miną wymówił:

– A czortże? ha? albo to on tobie h r o s z y nie nosi? ha?

Na te słowa kobieta jak oparzona ze stołka się zerwała, oczy jej otworzyły się szeroko, ręce gestem obronnym przed siebie wyciągnęła.

– Co ty wygadujesz? – krzyknęła – człowieku, upamiętaj się i Boga w sercu miej...

– A t a k i nosi... – przystępując bliżej jeszcze i oczu z niej nie spuszczać należał chłop.

Ona śpiesznie i bardzo głośno mówiła:

– Ja w kościele ochrzczona! Mnie co dzień na noc krzyżem świętym żegnali! ja grzechem śmiertelnym nijakim duszy, swojej nie zgubiła.

– A t a k i nosi! – tuż przed nią już stojąc powtórzył chłop – ja sam dziś widział, jak on, ognisty taki, przez komin do twojej chaty wlatywał...

Tym razem w szeroko otwartych oczach kobiety błysnęło przerażenie.

– Kłamiesz! – krzyknęła i czuć było, że pragnęła namiętnie, aby zaprzeczył zaraz temu, co powiedział. – Kłamiesz! powiedz, że skłamał!

– Dalibóg, widział...

Pięścią uderzył się w pierś i znowu zaczął:

– Pożycz, Pietrusia, zmiłuj się, pożycz... Już ja i na czortowskie h r o s z e zgadzam się, byle z tej gorzkiej biedy wyleźć... daj choć czortowskich...

Następował na nią, popychał ją sobą ku ścianie, ziejącą wonią wódki twarz swą do samej twarzy jej przysuwał.

– Ja do ciebie jak do matki... Pietrusia... choć ty wiedzma, ale ja do ciebie jak do matki... ratuj... niech już i na mnie ten wielki grzech spadnie... podzielim się z tobą i h r o s z a m i, i grzechem... Ja do ciebie jak do matki i opiekunki... choć ty wiedzma, ale ja do ciebie jak do tej opiekunki...

Gniew, przestrach, wstręt do pijanego tego człowieka, który nałogiem swym żonę i dzieci w nędzy pogrążył, a nad jej dachem latających diabłów spostrzegł, ogarnęły Pietrusię i obudzili w niej całą niepospolitą jej siłę. Z iskrzącymi się oczami, nogą w podłogę uderzyła i krzyknęła:

– Won! – zarazem chłopca za kózuch pochwyciła i drzwi otworzywszy do ciemnej sieni go wypchnęła. Nie było to rzeczą zbyt trudną. Chłop bardzo słabo trzymał się na nogach. W ciemnej sieni zatoczył się aż do drzwi podwórzowych i stamtąd jeszcze zawołał:

– Nie dasz? t a k i nie dasz h r o s z y?

Ale żona kowala na żelazną zasuwkę drzwi sieni zamknęła. Chłop pod zamarzłe okno poszedł i tam to wykrzykiwał, to mrucał:

– Ja do ciebie... wiedzmo ty... jak do matki... daj h r o s z y... z l i t u j s i a... choć i czortowskich daj... nie dasz? taki nie dasz? Pietrusia! słyszysz? M i r o w y k a ż e, długi popłacić trzeba... ja do starszyny... Starszyna k a ż e, ziemi nie sprzedam, ale gospodarstwo sprzedam, w jednych koszulach zostanieie... oj, h o r k a j a dola moja i dzieci moich. Pietrusia, słyszysz? daj h r o s z y... co tobie szkodzi? Przyjaciel twój nanosi tobie znów, wiele zażądaś... Nie dasz? t a k i nie dasz? No, to poczekajże, dam ja tobie, zgubiona dusza twoja... niewierna... n i e p r y - j a c i e l u boskiemu zaprzędana... popamiętasz!

Poszedł ścieżką ku karczmie i wsi, a idąc z wolna i chwiejnie, pięści ścisnął, w powietrzu nimi miotał i wciąż z wykrzykami gniewnymi, to z posepnym mruzeniem do siebie mówił:

– Nie dała! taki nie dała! zgubiona dusza jej... Panu Bogu niewierna... nieprzyjacielu boskiemu zaprzędana... dam ja jej... popamięta...

Od paru już miesięcy Pietrusia do wsi nie chodziła. Strach ją przejmował, gdy myślała o spotkaniu się z ludźmi i babka parę razy powtórzyła jej zlecenie, aby cicheńka była jak rybka na dnie wody. Jednak w tydzień przeszło po owych szczególnych odwiedzinach Szymona wypadła jej potrzeba konieczna do Łabudów pójść. Szło o t a l k i, które dla Łabudowej uprzedła Aksena, a które koniecznie odnieść wypadało, aby dłuższym ich zatrzymywaniem wyrzutów lub i posądzeń nie ściągnąć. O zmroku, gdy kowal pracował w kuźni, Pietrusia do babki rzekła:

– Pójdę, babulo, dziś już koniecznie do Łabudów pójde.

Stara przemilczała chwilę, jakby jej to postanowienie wnuczki do smaku nie przypadło, potem jednak odrzekła:

– Idź, kiedy już trzeba... tylko tam ludziom nie nasuwaj się na oczy... za gumnami przejdź.

– Za gumnami przejdę – powtórzyła Pietrusia.

Siermiżkę i trzewiki włożyła, chustkę na głowę zawiązała i poszła. Aksena z dziećmi na piecu pozostawszy w zupełnej prawie ciemności bajkę o smoku opowiadać zaczęła. Była to

bajka długa i straszna, po której nastąpiła inna, tak śmieszna, że dwoje starszych aż zachodziło się od śmiechu i najmniejsza, Halenka, śmiała się także, choć jeszcze dobrze zrozumieć jej nie mogła. Malutki Adamek zaskwierczał w kołysce. Aksena Stasiukowi rozkazała, aby z pieca zlaźł i brata kołysał. Dziecko zsunęło się z pieca, wgramoliło się na tapczan, przy którym stała kołyska, i wkrótce po ciemnej izbie miarowy tętent biegunów zawtórował chropowatemu głosowi baby opowiadającej trzecią już bajkę. Wtem pod oknami i w sieniach dał się słyszeć tętent szybko biegnących stóp, drzwi otworzyły się z trzaskiem i otwartymi znać pozostały, bo do izby wionął strumień mroźnego powietrza, zarazem śród ciemności rozległ się krzyk głuchy, rozpaczą czy trwogą zdławiony:

– Jezu? ratujcie! ja nieszczęśliwa! biją już! kijami biją! Boże mój miłosierny.

Był to głos Pietrusi, która widać całym ciałem osunęła się na podłogę, bo pośrodku izby coś mocno stuknęło. Jednocześnie Aksena, która na kilka sekund oniemiała, trzęsącym się głosem przemówiła:

– A tobiez co, Pietrusia? a tobiez co? Niech Pan Bóg zmiłuje się nad nami! co tobie?

Krzykiem i stukiem przestraszona, trzyletnia Halenka wrzasnęła płaczem, ciszej nieco zawtórował jej Adamek. Przez wrzaskliwy płacz dzieci przebił się głos ślepej baby, donośny, nakazujący:

– Nie f i k s u j s i a (nie wariuj), Pietrusia. Światło zapal. Dzieci po ciemku płaczą.

Ciężko, ze zdławionymi jękami, kobieta podniosła się z ziemi, a gdy światło rozniecała i palące się łuczywo w szczelinę pieca wsuwała, ręce jej trzęsły się jak w febrze. Przy drżącym blasku powstającego ognia twarz jej z wyrazistością rzeźby wystąpiła na szare tło izby, blada jak płótno, z czołem ściągniętym w kilka fałd grubych, z oczami buchającymi płomieniem. Chustka spadła z jej głowy, splecione włosy okryły szyję i jeżyły się nad czołem, dwie tylko łzy świeciły na jej rzesach, ale głębokie łkania wstrząsały ustami i piersią. Światło zapaliwszy, obu rękami schwyciła się za głowę i jak nieprzytomna po izbie biegać zaczęła. To z szeroko rozwartymi oczami i rękami nad głową pośrodku izby stawała, to twarzą rzucała się na stół albo ławę, to do pieca przypadała i ku babce błagalnym jakby gestem obie ręce wyciągała wysoko. Przy tym mówiła ciągle, tak jak się mówi w gorączce, prędko, bezładnie, z nagłymi krzykami, to znowu ze znizeniem głosu aż do szeptu. W ten sposób opowiadała rzecz, której słuchając Aksena na swym sienniku prostowała się jak struna, żółtymi szczękami coraz prędzej poruszała, a kościanymi rękami bezwiednie może szukała głów małych wnuczek, które milczące już, przelekle, same się pod te ręce i do jej piersi przysunęły. Opowiadała, że do Łabudów zaszła szczęśliwie, t a l k i oddała, wszystkim pokłoniła się pięknie, ale w rozmowę się nie wdając zaraz nazad tą samą drogą poszła. Na tej drodze czatowali na nią ludzie, którzy znać już wiedzieli, że ona tamtędy od Łabudów wracając iść będzie. Czatowali na nią, za płotem ogrodu, za niskim płotem, przy którym, gdy przechodziła, ktoś ją kijem w plecy uderzył raz i drugi, a tak mocno, że aż na ziemię upadła. Ten, kto uderzył, był Szymon Dziurdzia, bo go dobrze, choć w zmroku, poznała, ale za Szymonowymi plecami rozległ się śmiech Stepana, a Paraska, Szymonowa żonka, cościś o pieniądzach i kupnej spódnicy zagadała, i Rozalka przeklinała, i wiedźmą ją nazywała, i jeszcze ze dwoje ludzi śmiało się i gadało, ale ona już nie wie, kim byli, bo zerwała się z ziemi i co sił dalej pobiegła. A oni przez płot na ścieżkę przeleźli i ku karczmie sobie poszli, nie uciekając, pomału, jakby nic. Bili! kijami już bić zaczęli! co ona pocznie? Za co to na nią przyszło?

Płakała teraz rzewnymi łzami, ręce łamała, widać było, że trwoga straszna mąciła jej rozum i odbierała wolę. Na piecu zaszemrał szept starej:

– Parobku Prokopku... oj, parobku Prokopku... czemu ja sobie teraz gadanie i łzy matki twej, Prokopichy, znów przypomniała?

Białe oczy pośród żółtej twarzy szerzej rozwarła i tym samym, co wprzód, nakazującym głosem przemówiła:

– Klękni i pacierz głośno mów...

Rozkazywała tak, jak gdyby wnuczka jej malutką jeszcze dziewczynką była, a ona słuchała też jej jak dziecko. Wnet uklękła.

– Nie tak – przemówiła stara – nie tak. Halenkę z pieca zsadź, Adamka na ręce weź, starszych do siebie zawołaj... ogarnij dzieci rękami i Najwyższemu Bogu je pokazuj... Pacierz mów i dzieci Bogu pokazuj... Ty matka... niech Bóg Najwyższy lituje się nad dziećmi...

Z sennym niemowlęciem na jednym ramieniu, a drugim ogarniając małego chłopca i dwie mniejsze odeń dziewczynki młoda kobieta klęczała pośrodku izby, a słowa modlitwy ze zmaconej pamięci jej uciekały i na drżące usta nie przychodziły. Ślepa baba chropowatym swym i trzęsącym się głosem zaczęła:

– Ojcie nasz, któryś jest w niebiesiech, ś w i a ć s i a imię Twoje, p r y j d ź królestwo Twoje, b u d ź wola Twoja...

Wtórował jej słaby zrazu, potem coraz wyraźniejszy głos młodej kobiety. Jednogłośnie, żarliwie wymówiły A m e n, po czym stara wyrzekła:

– Nu, wstań! może Pan Bóg Najwyższy posłyszał...

Ciszej dodała:

– I dzieci zobaczył...

Chwilowa cisza zapanowała w izbie. Pietrusia niemowlę do kołyski kładła, starsze dzieci skupiły się w kącie izby, tak szczelnie jedno do drugiego przytulone, jak przestraszona trzódka owiec.

– Gdzie Michałek? – zapytała Aksena.

– W kuźni.

– Nie wie, co tobie p r z y t r a p i ł o się...

– A nie wie...

Parę miesięcy temu z zalem swym i strachem, tak jak z radością i weselem, biegłaby wprost do męża, przede wszystkim i bez namysłu biegłaby do niego. Ale teraz! o! z innym on już sercem dla niej niż dawniej... Nie można już jej ze wszystkim do niego biec. Wiara jej w jego lubienie przepadła, co dzień więcej przepadała, a tam, gdzie była jej słodycz, robiło się tak gorzko, jakby ją, na przykład, przysypał ktoś garścią piekącej gorczycy.

– Chodź do mnie, d i t i a, pogadamy...

Od kołyski odeszła, na tapczanik wskoczyła, a stamtąd łatwo już jej było na brzegu pieca usiąść. Siedziały naprzeciw siebie; białe oczy ślepej baby zdawały się z wyteżeniem wpatrywać we wzburzoną i splakaną twarz młodej kobiety. Po dość długim namyśle Aksena zaczęła:

– Pietrusia! toż to jutro wielkie święto.

– Ale, babulo.

– Toż to Niepokalane Poczęcie Przenajświętszej Marii Panny, wielki fest w kościele i wielki targ w miasteczku.

– Ale, babulo.

– W kościele odpust święty, a na targu będzie n a r o d u chmura. I z Suchej Doliny gospodarze pojedą do kościoła i na targ.

Znowu dość długo milczała, myśli swe i plany jakieś zdając się żółtymi szczękami przeżuwać.

– Posłuchaj – rzekła – już tobie nie ma innego ratunku, tylko do Pana Boga udać się i u Niego o świadectwo przed ludźmi poprosić. Niechaj o tobie Pan Bóg zaświadczy, że nijakim grzechem śmiertelnym duszy nie zgubiła. Do kościoła idź, przed Panem Jezusem krzyżem leż, spowiadaj się i komunie przenajświętszą przyjm... Słyszysz?

– Słyszę, babulo. Dobrze, babulo, zrobię, jak doradzacie.

– Ale. Jak wypowiadasz się, a od księdza komunie przenajświętszą przyjmiesz, i sama pocieszysz się, i ludziom wszystkim pokażesz, że nieprzyjaciółką boską nie jesteś. Niechaj zobaczą, że do Pana Boga krzyżem leżąc modlisz się i że tobie ksiądz komunii przenajświętszej nie odmówił. Kiedy to zobaczą, poznają, że ty nie taka, jak oni wymyślili, i że śmiertel-

nego grzechu ani żadnego ważnego przestępstwa na tobie przed Panem Bogiem nie ma. Pan Bóg Najwyższy sam tobie dobre świadectwo wyda...

– Dobrze, babulo, dobrze – znacznie uspokojona powtórzyła Pietrusia i zmęczoną głowę na kolana babki pochylając kościaną rękę jej pocałowała. Ona tą ręką zaczęła ją po włosach gładzić. Milczały obie. Potem młoda kobieta ozwała się znowu;

– Franki poproszę, aby chaty i dzieci dopilnowała i strawę zwarzyła, a sama o świtaniu do miasteczka pójde.

– Może i Michałek pójdzie?

– Pewno nie pójdzie. Do dworu tego pójść jemu trzeba, z którego tę dużą robotę ma wziąć.

– Dobrze byłoby, żeby poszedł. Razem by pomodlili się i wypowiedali, żeby dawniejsze dobro wróciło...

Znowu milczały, w myślach pogrążone. Dzieci w kącie szeptać pomiędzy sobą zaczęły i z głośnym chrupaniem jeść surową brukiew, którą Stasiuk gdzieś w sieni zarzuconą znalazł. I nikt nie zwrócił uwagi na męskie kroki, które ozwały się za drzwiami. Kowal do izby wszedł, a Pietrusia wtedy dopiero głowę znad kolan babki podniosła. Na twarzy Michałka nie malowała się już uprzednia wesołość bez troski ni cienia. Niezadowolenie i niepokój przyćmiewały blask jego czarnych oczu, wargi pod czarnym wąsem nieco wydęte objawiały skłonność do wyrzutów i gniewu. Dzieci, które rzuciły się ku niemu, po głowach pogłaskał i obejrzawszy się po izbie zdziwionym głosem zawołał:

– A toż co? to wieczery jeszcze i z a w o d u (zaczątku) nie ma!

Istotnie, smolniak tylko rzucał na izbę skąpe i chwiejne światło; w czarnym, głębokim otworze pieca ognia nie było.

– O Jezu! – z pieca zeskakując krzyknęła Pietrusia – toż to ja dziś o wieczery zapomniałam, na śmierć zapomniałam!

I z takim pośpiechem, że aż ręce jej drżały, poczęła ogień rozniecać i w garnki nalewać wodę. Pierwszy raz to w życiu zdarzyło się jej o domowych zajęciach zapomnieć, a przyczyny zapomnienia tego mężowi powiedzieć nie mogła. On też o nią nie zapytywał. Usiadł na ławie i rzekł tylko:

– Już chwała Bogu o jedzeniu dla męża zapominasz, a dzieci surową brukiew z twojej łaski gryzą... jakby im żebrak jaki był ojcem...

Wziął na kolana Stasiuka, brukiew mu z rąk odebrał i w kąt izby ją cisnął. Wymówka, którą uczynił żonie, ostrą nie była, ale kobieta wolałaby może, aby się rozgniewał, a potem znowu przyjaźnie do niej zagadał. Ale on już do niej nie przemówił więcej i tylko do dzieci odzywał się czasem. Spieszyła z wieczszą, krupy do garnka sypała, jaj trochę przyniosła i urządzić zaczęła jajecznicę ze słoniną, aby móc jak najprędzej cokolwiek mężowi podać. Aksena do męża wnuczki kilka razy zagadywała: a co dziś w kuźni robił? a kogo widział? a czy jutro na fest pojedzie? On zbywał ją zawsze parą słowy, w których ani niegrzeczności, ani też życzliwości nie było. Jeżeli co mówił, to ot tak, byle zbyć, z roztargnieniem i mrukliwie. Pietrusia zapalając lampkę, urządzając, a potem i podając wieczrę ruszała się żwawo, pośpiesznie, a jednak wyglądała jak nieżywa. Z ust ani pary nie wypuszczała; chód jej był cichy i lękliwy; przed mężem stając powieki spuszczała. Widać było, że gdy on na nią patrzył, drętwiała cała z bojaźni. Wiedziała przecież dobrze, że bić jej ani nawet łąać nie będzie. Czegóż więc lękała się? Może spojrzenia jego, które gdy na nią patrzył, stawało się dziwnie przenikliwym, czasem rozgniewanym, a czasem tak smutnym, że dostrzegłszy je płacz powstrzymywać musiała. Coś pomiędzy nimi murem stało. Ona dobrze wiedziała, co to było. Jako rzemieślnik bardzo przez ludzi używany, Michałek ciągle z ludźmi się widywał i bywał wszędzie, gdzie oni bywali, i słyszał wszystko, co oni mówili. Ciekawy i rozmowny, tyle zawsze o wszystkim wiadomości posiadał, że niektórzy śmiejąc się mawiali o nim, iż słyszy, jak trawa rośnie. Słyszał więc tym bardziej to, co tyczyło się jego żony i domu. Raz w bójkę, a kilka razy w srogą kłótnię wprowadziły go te gadaniny ludzkie o Pietrusi. Potem już kłócić

się przestał i głuchego udawał, ale co działo się w jego sercu, to zdradzały wyraziste rysy jego twarzy i wypowiadały wyraziste także, skrytości nie nauczone oczy. Miał wiele ambicji; przez nią to głównie tak gorliwie pracował, chatę swą przyozdabiał i wszelkim dostatkiem napelniał, o oddaniu kiedyś Stasiuka do szkoły marzył. A tu spotykał go wielki wstyd! Przy tym, kto wie, jakie tam jeszcze przypomnienia i powątpiewania po myśli jego błędziły? Wierzyć – nie wierzył w prawdę tego, co ludzie o żonie jego gadali; przecież patrzył na nią tak, jakby ją wzrokiem na wskroś przeniknąć pragnął, a zbliżenia z nią jakby instynktem jakimś od niej odpychany unikał. Czasem przecież tkliwość jakaś podnosiła się mu z serca do gardła i oczu, a wtedy stawał się taki smutny, jakby z ojcowskiego pogrzebu powracał. Nigdy jednak okazać tego nie chcąc, stosownie do pory, w której się to zdarzało, albo z domu wychodził, albo co najprędzej spać się kładł. Teraz Pietrusia jajecznicę na stole postawiwszy stanęła naprzeciw niego i ze spuszczonymi powiekami czekała aby jej sobie na talerz nabrał, resztę chcąc dzieciom i babce rozdać. On cynową łyżkę w misce napelnionej jajecznicą pogrążając utkwiał w niej wzrok przenikliwy i razem trochę żaloszny.

– Oj, Pietrusia! Pietrusia! – kiwając głową zaczął – co tobie stało się? do czego ty teraz podobna? Włosy masz takie rozczochrane, jak żebyś z kim biła się, a oczy spuchnięte od płaczu. Czego płakałaś? ha?

Nic nie odpowiadając odwróciła się prędko i stanęła przy ogniu plecami do niego zwrócona. To milczenie, którym odpowiadała na serdeczniejsze pytanie jego, obraziło go widocznie, bo gdy mu chleba pod ręką zabrakło, podniesionym i grubym głosem krzyknął:

– Chleba daj! słyszysz? Czego tam stoisz z opuszczonymi rękami jak pani jaka!

A gdy oddała mu żadaną usługę, krzyknął znowu:

– Dzieciom daj jeść! nie żebraki one, żeby przez czort wie jaką matkę do północy głodne być musiały.

Była to już obelga i najboleśniejsza, bo macierzyńskiemu sercu jej zadana, a ona i na to nie odpowiedziała nic. Jedzenie babce i dzieciom rozdała, naczynia od wieczerzy wymyła i na półce poustawiała, stół starła, smolniak i lampę zgasiła i na tapczaniku usiadłszy nad kołyską schylona Adamka, który obudził się, piersią swą nakarmiła. Ogień w piecu palił się jeszcze trochę i w izbie panowało ruchome półświatło. Aksena na swym sienniku nieruchomo u wierzchołka pieca leżała. Spała czy nie spała, ale milcząca i nieruchoma leżała. Dzieci natychmiast po wieczerzy usnęły. Michałek spać nie szedł. Przy wieczerzy jadł dużo, potem na stole rozparty papierosy jeden po drugim palił, parę razy nawet zagwizdał coś sobie pod wąsem. Na pozór więc nie dolegało mu nic. Jednak do snu zabierać się ani myślał. Papierosy wciąż palił i z czołem na dłoni opartym dumiał. Pietrusia kołyskę poruszać i niemowlęciu do snu nucić zaczęła. Nie śpiewała, ale nuciła półgłosem, na nutę monotonną, przewlekłą, która w głębokiej ciszy i chwiejnym półświatle płynęła i kołysała się jak smutna, nieśmiała fala. Niemowlę usnęło, kobieta wstała z tapczana i bosymi nogami cicho do męża podeszła. Cicho też przemówiła:

– Michałek!

– Ha? – głowę znad dłoni podnosząc i na nią patrząc zapytał.

– Ja chcę jutro o świtaniu do miasteczka iść...

– Czego?

– Do kościoła na odpust. Franek poproszę, aby chaty i dzieci popilnowała.

Patrzył na nią ciągle, ale wyrazu oczu jego w zmroku widzieć nie mogła.

– Czemuż to tobie tak do kościoła zachciało się? – zapytał.

Po chwilowym milczeniu odpowiedziała:

– Wyspowiadam się i komunię przynajświętszą przyjmę. Niech mnie sam Pan Bóg Najwyższy przed ludźmi dobre świadectwo wyda.

Łkania powstrzymała i łzy, które gradem stoczyły się na policzki, fartuchem otarła.

– Znow płaczesz – zauważył Michałek – ot, płaksiwa ty teraz zrobiła się... że wszystkim nie taka, jak była...

– Nie taka – powtórzyła kobieta, a po chwili nieśmiało dodała:

– I ty nie taki, jak był...

– A nie taki – potwierdził mąż.

W krótkich tych słowach, którymi wspólnie zeznawali przed sobą zepsucie się szczęścia dawnego, brzmiała głęboka żalność. On wciąż przyglądał się jej bacznie.

– Taki doprawdy wypowiadasz się jutro i komunię przenajświętszą przyjmiesz?

– A jakże – odpowiedziała i zrobiła ruch do odejścia. Ale on na nią zawołał:

– Pietrusia!

– A co?

– Siadaj przy mnie, pogadamy.

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął:

– Posłuchaj, Pietrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziemy żyć jak te nieme stworzenia?... Tego tylko brakuje, żebyśmy zaczęli takie zgorzenie i taki śmiech ludziom robić, jak nie przymierzając Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie można, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dzieci i ja ciebie szanować muszę...

Słuchała go tak chciwie, jakby każde słowo jego wyrokiem dla niej być miało, a gdy umilkł, ręce na fartuchu rozłożyła i szepnęła:

– To i cóż ja zrobię, kiedy ty, Michałku, lubić mnie przestał...

Wymówiwszy to widocznie na odpowiedź z przyśpieszonym oddechem czekała. Ale kowal nie odpowiedział nic. Sapnął głośno, westchnął, kawałek nie dopalonego papierosa na środek izby rzucił i znowu głowę ręką podparłszy milczał. Wtedy ona, nie doczekawszy się zaprzeczenia słów, które wymówiła, ze stłumionym jękiem osunęła się na ziemię i namiętym szepem mówić zaczęła:

– Michałku, lubku, już ja dawno widzę, że ty mnie lubić przestał, że ja tobie zrobiłam się niemiła, że ja tobie jestem, ot tak, jak ten ciężki wór na plecach albo ten kamień, żeby go do nogi przywiązać... Nie ma twojej wesołości! nie ma twego gadania! nie ma twego śmiechu! Żalony ty czasem taki, że kiedy na ciebie patrzę, wołałabym już pod ziemią leżeć... Żałuję ja ciebie więcej jak życia własnego i nie chcę, żebyś ty przeze mnie marnie przepadł... kiedy ty mnie nie lubisz, to pójdę ja sobie z chaty, od ciebie, w szeroki świat pójdę, gdzie oczy poniosą... Babuli tylko do śmierci dopatrzysz... nie dużo już jej na tym świecie przebywać zostało, i jedno dziecko wziąć mnie pozwolisz... na pamiątkę, oj, na pamiątkę jedyną! Jak babuła ze mną kiedyś po świecie chodziła, taj na nas dwie pracowała, tak i ja z dzieciątkiem swoim chodzić będę, taj na oboje nas zapracuję... A jak zajdę gdzie daleko, het daleko, aż na skraj świata, to i wieść o mnie na zawsze przepadnie, ludzie pomyślą, że już między żywymi mnie nie ma, a tobie wolno będzie wziąć sobie żonkę inną i gospodynię inną i wszystko sobie według woli robić... Lubku, Michałku, pójdę ja sobie od ciebie, pójdę ja sobie z chaty od ciebie, na skraj świata pójdę, z jednym dzieciątkiem swoim... kiedy ty mnie już nie chcesz... oj, pójdę...

Mówiąc to kolana jego obejmowała i czoło ku nim schylając usta do nich pocałunkami przykładła. Ale gdy czasem głowę podniosła, to na jej twarzy pomimo nieznutowanego żalu tyle malowało się szczerości i siły, że zdawać się mogło, że ot, zaraz, zaraz zerwie się z ziemi, dziecko którekolwiek w ramiona pochwyci i z chaty wybiegnie... Nie zerwała się jednak z ziemi sama, lecz podniosły ją i na ławie posadziły dwa męskie ramiona. Ramię jej jak w kleszczach w ogromnym ręku swym ściskając i widocznie zmuszając się do śmiechu kowal mówić zaczął:

– Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? – Ej, jaka durna, czysta wariatka! Z chaty ona pójdzie! na skraj świata pójdzie! Albo to ja puściłbym ciebie z chaty? Ot, prędzej rozstałbym się z tym życiem...

W mgnieniu oka u szyi jego uwisała.

– To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

– Ty mnie tak samo miła jak wprzód...

Przy padającej na nich smudze bladego światła w twarze sobie z bliska popatrzeni. Ona zobaczyła, że to, co powiedział, prawdą było, i oczy jej oschły z łez, zaświeciły, stały się znowu takie wesołe, szczere i wymowne jak dawniej.

– Oj, ty, ty pleciuno! czy ty myślisz, że ja łotr jaki albo rozbójnik, żebym tak już od razu wszystkiego zapomniał i serce odmienił? Czy ty u cudzych ludzi horując i ludzkie pośmiewisko znosząc sześć lat na mnie nie czekała i dla mnie bogatym gospodarzem nie wzgardziła?

– Ale – szepnęła kobieta.

– Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy nijakiej jak ta szklanka w krynicznej wodzie wymyta, hoża ty była i wesoleńka jak ten ptak pod niebem latający...

– Ale...

– Siedem latek ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego dnia nie przeżył, złości na twojej twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

– Ale...

– Dzieciak ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przymnażając...

– Ale...

– Nu, to widzisz! dlaczegożbym ja ciebie lubić przestał? Oj, ty głupia! z chaty ode mnie iść chciała... a ja by za tobą poszedł, dogonił i wtedy by już wybił... dalibóg, wtedy, wtedy to już byłby tobie s z a b a s z! wybiłbym, nazad zawrócił i w chacie posadził. Siedź, babo, kiedy ci dobrze? Ot!

Wraz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, w pół objął i zapytał:

– Nu, teraz mów, czego dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak jak dawniej, z oczami błyszczącymi od szczęścia, chwilę jeszcze wzbraniała się ze zwierzaniem. Ale stare przyzwyczajenie mówienia mu wszystkiego przemogło, ręką twarz ze wstydu zakrywając, ale już nie płacząc, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę.

Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

– Zabiję! – krzyknął – na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, lotry te, chamy...

Chamami chłopów nazywał, jakby sam nie był chłopem... Istotnie, miał siebie za coś już nieco wyższego nad sferę, do której z urodzenia należał. Pietrusia przyczepiła mu się do ramion błagając, aby nikogo nie bił i nawet nie zaczepiał. Z żyłą na czole nabrzmiałą i błyskawicami w oczach siadł na ławie, sapał, papierosa z porywczymi gestami rąk zapalał. Potem kłęby dymu z ust wypuszczając sarkał jeszcze!

– Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! Ja nie wierzę... dalibóg, nie wierzę, żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupimi i najmędrzy człowiek czasem zgłupieje... Ale t a k i wiem dobrze i rozumiem, że to wszystko bajki. Ciemny naród i koniec! To swoją drogą, a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi albo oberwańcowi jakiemu bić się z chłopami po karczmach i drogach, a i nic to nie pomoże. Durniom głupoty ich z głów nie wybijas, żebyś nie wiem jak bił... Co tu robić?

– Jutro przed wszystkimi wypowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę – szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

– Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpuszczeniu w ścisku i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkim, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg broni...

Ręką sobie mocno twarz całą przetał, a potem nad głową włosy rozrzucić zaczął.

– Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... – zamruczał.

– Chatę i gospodarstwo rzucić! – krzyknęła Pietrusia.

– To cóż! cóż to ważnego? – odpowiedział.

Jednak oczami, które wilgocią zaszły, dokoła izby wodził. Miłą mu była ta chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niej przez tyle czasu jak ptak do gniazda przynosił! Miłym też był ten pójcowski ziemi kawał, na którym po długiej żołnierskiej tułaczce z radością w duszy osiadł! Po długiej chwili milczenia szyję żony objął i zaczął:

– Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszłaby ty za mną gdzie indziej?

– A jakże! – krzyknęła Pietrusia.

– No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzie indziej. Ziemię w arendę oddam, tak jak wtedy, kiedy do wojska szedłem; a z rzemiosłem moim cały świat choćby obejść, a chleba ani nam, ani dziatkom naszym nie zabraknie... W miasteczku gdzie osiadę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze, broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

– Jaki ty dobry, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie nie ma... Ja w twojej twarzy zobaczyłam i w twojej mowie posłyszałam, i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dlategoż ja ciebie tak i polubiłam, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był i że bez twego lubienia mnie tak, jak bez tego słońca grzejącego i bez tej wody pojącej...

Wyprostował pochyloną jej kibić i objął ją ramionami.

– Idź jutro do miasteczka, mszy świętej wysłuchaj, spowiadaj się, a po nabożeństwie do mojej siostry Hanuli, co tam za mężem, za felczerem jest, zajdź i rozpytaj się u niej, czy dobrze by mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem moim osiąść... czy tam kowala potrzebują... a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się pójdę. Wielki dwór i wielki majątek... zawsze kowal tam był, a teraz nie ma, może mnie zechcą. Chciałbym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź ty już sobie jutro w swoją drogę, a ja pójdę w swoją, a potem nie bawiąc babulę i dzieci na wóz zabierzem i h a j d a, w drogę! Ot tobie i droga zamierzana. Pójdiesz ty w świat lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkimi dziećmi, i z moją pracą także, z której wszędzie dobry kawałek chleba wyniknie...

– Dziękuję, Michałku, oj, dziękuję tobie za wszystką twoją dobroć... Żeby tak mogła, to zdaje się, cała bym przemieniła się w dziękowanie...

VII

W miasteczku o sześć wiorst od Suchej Doliny odległym, przez cały ranek świąteczny nad wielkim gwarem targowego rynku biły rozgłośnie dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano: konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych produktów małej własności. Sanie stały tam przy saniach dotykając się szczelnie albo nawet płozami na płozy wjeżdżając, zwierzęta i ludzie stłaczali się w ruchome kłęby, krzyk rozmów, kłótni, przekleństw, targów, rżenia koni, rycze-

nia bywała był ogromny i wielka pstrokaczna ubiorów i twarzy męskich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i małoszlacheckich. Czterej Dziurdziowie przybyli też na targ, każdy ze swoim. Piotr i Klemens przywiedli na sprzedaż konia i krowę, Stepan dwuletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmin żyta i grochu. Wszystko jedno: opiszą i sprzedadzą, lepiej mu więc było chwycić i na swoją korzyść sprzedawać, co się dało. Mnóstwo ludzi po zmówieniu kilku pacierzy odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach. Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku niewielkiemu białemu kościołowi, z którego szczytów leciała muzyka dzwonów, a z wnętrza dochodziły chóralne śpiewy towarzyszące procesji.

W nieobszernej kruchcie ścisk był taki, że powolny i uroczyście nastrojony chłop zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze dalej postąpić. Tu szerokie plecy w kozuchach stanęły już nieprzepartym murem, lecz poprzez kudłate czupryny męskie i nad kobiecymi, odświętnie ustrojonymi głowami mignęło mu złoto niesionej pod baldachimem monstrancji, zapasowały pelerynki kościelnej służby, błysnęły płomyki świec, górą frunęły chorągwie. Organy grały i kilkaset głosów chórem śpiewało. Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisku uczynić tego nie mogąc głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

– Ojcze niebieski, królu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze...

Modlitewkę tę wymyślił sobie sam w porze owej, gdy go skrucha wielka za krzywdę matce zrzadzoną ogarniała, i odtąd powtarzał ją zawsze, ilekroć był już bardzo nabożnie usposobionym. Rozpoczęła się suma. Piotr ze schylonym nieco grzbietem wznosił oczy w górę i wpatrzył się w widziane ponad głowami tłumu rzeźby wielkiego ołtarza. Były to jakieś gipsowe wieńce i arabeski, nad którymi stało kilka drewnianych posągów z krzyżami, z wielkimi księgami, z rękami powyciąganymi groźnie, błogosławiąco lub modlitewnie. Oczy chłopca napelniły się miękkim zamyśleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypomniał może wszystko, co kiedykolwiek na ten sam ołtarz patrząc przecierpiał i uprosił – skruchy i twogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie i pociechy a uspokojenia. Może też nad ołtarzem i wieńczącymi go posągami świętych, pod samym sklepieniem świątyni szukał wzrokiem blasków tych i świetności, w jakich mętnie przedstawiało się wyobraźni jego królestwo niebieskie. Długo tak wzrokiem po wysokościach błędził i wzdychał raz po raz.

– Ojcze niebieski, królu ziemski, opiekunie ludzi...

W bladawej twarzy jego, wzniesionych oczach i głośnym, wzdychającym szepcie wiele było tęsknoty, wdzięczności, pokory... Wtem organy grać przestały i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne:

– W imię Ojca i Syna...

Rozpoczęła się kazanie. Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokiej mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę. Języka, którym kazanie mówionym być miało, w codziennym życiu nie używał, lecz rozumiał go wybornie, a w potrzebie i mówić nim dobrze umiał. Więc głowę pochylił, ucha nadstawił i z całej siły wsłuchał się w głos czysty i donośny, pod sklepieniami budzący dźwięczne echa. Otaczający ludzie słuchali także, ale po większej części z roztargnieniem lub sennie. Postawy ich były pełne uszanowania, wzdychali nawet często albo też i rzucali oczami dokoła, albo je przymykali drzemiąc. Piotr chętnie słuchał słów rozchodzących się po kościele, ale nie wszystkie czyniły na nim wrażenie jednostajne. Były takie, które w nim nie budziły żadnych uczuć ni pojęć, i takie, które wzruszały go do głębi. W długim wstępie kapłan opowiadał ludowi o dobroci Boga i złości szatana. Przy wspomnieniu o pierwszej twarzy chłopca tak wyglądała, jakby spływał na nią promień ideału. Miękkła, wypogadzała się, pokrywał ją wyraz błogości i rozcudlenia. Lecz gdy w powietrzu zabrzmiała nazwa szatana, gęste brwi jego zbiegały się nad oczami, usta drgały trwożnie czy gniewnie i poruszał się cały tak zupełnie, jakby go ogarniała żądza splunięcia. Powściągał się przecież przez wzgląd na świętość miejsca.

Ogromny rumor kolan ludzkich padających na cegły posadzki. Organy grają znowu. Przy ołtarzu wznosi się śpiew melodyjny i błagalny, szepty i westchnienia falami szmeru płyną. Piotr gwałtownymi ruchami łokci miejsce swe rozszerzył, na klęczki upadł, do posadzki kościelnej ustami przylgnął i głośno zaszeptał:

– Niechaj siła boska przewycięży siłę szatana...

Wtem ktoś go mocno w łokieć trącił. Obejrzał się i zobaczył schyłonego nad sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho:

– Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam, co zrobić...

Odrzącił syna ramieniem i znowu pochylał się nad ziemią, ale Klemens za kozuch go pociągał.

– C h a d z i, tatku, a to targ stracim...

– S k a ż y starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał...

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie nalegał dłużej, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale Piotr nie odzyskał już uprzedniego nastroju ducha. Coś go korcić i niepokoić zaczęło. Ramionami wruszał, oglądał się, na koniec z klęczek powstał i kilka razy jeszcze uderzywszy się w piersi kościół opuszczał. W kruchcie spotkał się ze Stepanem, który palce w wodzie święconej zatapiał.

– A co tam z moim koniem słyhać? – z widocznym niepokojem zapytał.

– Starszyna go u Klemensa zatargował. I d z i c h u t k o, a to targ stracisz...

Stepan także niedługo zabawił w kościele, bo jeszcze wolika swego nie sprzedał; Szymon pomodlił się tylko przed kościelnymi drzwiami i co prędzej z pieniędzmi za żyto i groch otrzymanymi do karczmy pociągnął. Żaden z nich nie dotarł do środka kościoła ani tym bardziej do wielkiego ołtarza, gdzie wielkie mnóstwo ludzi spowiadało się przy konfesjonalach, a potem przed balustradą w oczekiwaniu komunii klękało.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku rynek targowy opróżniać się zaczął; natomiast coraz więcej sań i koni zgromadziło się u wrót obszernej, murowanej karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także sprzedając i kupując na rynku, koniecznością prawie było przed puszczeniem się w drogę do domów wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy, której brama owalnie wykrojona i cały budynek wszerek przierzynająca miała pozór czarnej otchłani, na placu twarzym od mrozu, śniegiem usłanym, słomą zasypanym i zamarzniętymi kałużami lśniącem, stało mnóstwo sań i koni, których głowy i szyje nikiły całkiem w przywiązanych do nich worach z obrokiem.

Izba karczemna znacznie tu była większą niż w Suchej Dolinie. W miasteczku na znacznie większą ilość gości rachować musiano niż w wiosce. W dzień takie szczególnie jak dzisiejszy zgromadzało się ich mnóstwo. Na rozłożystym kominie palił się wielki ogień, ludzie tu wchodzący stawali przed nim, rozgrzewali zmarznięte ręce, dla rozgrzania nóg uderzali stopami o podłogę, a potem ku stołom ściany otaczającym idąc zdejmowali z pleców płócienne, na sznurkach zawieszone worki. Wszyscy prawie worki takie posiadali. Znajdowała się w nich żywność na dzień cały z domu przywieziona. Gatunek jej i ilość zależały od względnej zamożności każdego z popasających. Jedni z woreczków swych wyjmowali tylko kawały czarnego chleba, szczypty soli i odłamy twardego sera; inni oprócz chleba i soli mieli jeszcze słoninę, kiełbasy, jaja ugotowane na twardo. Byli tacy, którzy do jedzenia szeroko rozsiadali się na ławach, i tacy którzy jedli chodząc lub stojąc. Tłum wzrastał, gwar stawał się ogłuszającym, zewsząd słyhać było wołanie o wódkę, miód i piwo, Żydzi różnego wieku, rodzinę karczmarza składający, nieustannie przewijali się wśród tłumu z blaszanymi półgarncówkami, kwartami, czarkami, ze szklankami z zielonego szkła, z glinianymi miskami pełnymi kwaszonych ogórków i śledzi, którymi chłopci przekąsywali wódkę. Znajdowali się tu mieszkańcy wielu oddzielnych wsi, ale prawie wszyscy do jednej gminy należący. Prawie wszyscy też

znali się pomiędzy sobą z bliska albo z daleka i zaczepiali się wzajem rozmowami o dzisiejszym targu, o poniesionych stratach lub zyskach, o różnych okolicznościach gospodarstw swych i rodzin. W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemłody, z długą brodą i w czarnej baranej czapce po same oczy na czoło wsuniętej, dość liczną kompanię miodem częstował. W poczęstunku tym oprócz ludzi innych udział brało kilku mieszkańców Suchej Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odegrywał Piotr Dziurdzia, albowiem okazji do poczęstunku dostarczył koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa też toczyła się o różnych zaletach tego konia, zaprowadziła do żywych rozpraw o koniach w ogólności i wzmagala się czasem w sprzeczki, które jednak starszyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając:

– Pijcie, panowie gromada, pijcie! na zdrowie wam! na szczęście!

Wyraz: panowie gromada, powtarzał się w jego ustach niezmiernie często. Czuł się on głową i naczelnikiem gminy, czyli gromady, i lękał się stracić najmniejszą sposobność przypomnienia o tym wszystkim. Chłopi głowami mu na podziękowanie skłaniali i zielonawe szklanki do ust nieśli. Klemens tylko nie pił i w rozmowie dotąd udziału nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znał. Obecność starszyny i zgromadzenie starych, poważnych gospodarzy, onieśmiały go i wstrzymywały od samodzielnego przystąpienia do poczęstunku. Stał tedy za ojcem i z nad ramienia jego wychylając twarz swą rumianą i błękitnooką, trochę chciwie a trochę nieśmiało na półgarncówkę i szklanki poglądał. Filuterne, żywe, a teraz miodem rozweselone oczy starszyny spotkały się z jego wstydlwym spojrzeniem.

– Aaaa! – zadziwił się ze śmiechem i palcem na parobka wskazał – aaa! panowie gromada! czy h e t o parobek jest, czy dziewczyna?

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

– Patrę, patrę i rozpoznać nie mogę! zdaje się, że parobek, ale za plecy b a ć k a schował się jak dziewczyna i wstydzi się bardzo... Nu, p o k a ż y ś... do stołu p o d e j d z i j, a to doprawdy pomyślę, że z m u ż c z y n y przemienił się w dziewczynę!...

Dowcipkowaniu temu towarzyszył chór grubych śmiechów; Piotr zaśmiał się także i syna ku stołowi popchnął.

– Nu, i d z i, kiedy pan starszyna woła...

Nie tak już bardzo wstydlwym był Klemens, za jakiego poczytał go starszyna. Usta wprawdzie dłonią zakrył, ale wesołymi oczami wprost na dostojnika gminy patrzył. Ten nalał pełną szklankę miodu i młodemu parobkowi ją podał.

– Pij! – zawołał – k a b y prędzej wąsy pod nosem wyrosły.

I wszystkim znowu do szklanek dolewając powątrzał:

– Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, który na wspomnienie o wąsach palcami powiódł po złotym puszkę, który mu górną wargę osypywał, a potem głową skinął i raźnie zawołał:

– Na zdrowie, panie starszyno!

– Na zdrowie tobie! – odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł: – W żołdacy nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

– A nie poszedł; kiedy dla niego pora na losowanie przyszła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już chwała Bogu Najwyższemu, pięćdziesiąty siódmy roczek życia mego szedł. Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu l g o t ę dali i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony...

– Ot i wykręcił się – zauważył ktoś z boku.

– Nu, szczęśliwy! – dorzucił ktoś inny.

– A szczęśliwy – powtórzył Piotr – k a b tylko Pan Bóg we wszystkim tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę miodu szczęśliwemu parobkowi podawał.

– Pij! – wołał – pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie t r a c h t u j e!

Chłopak zawahał się, na ojca spojrział, ale Piotr, którego zaszczyty wszelkie zawsze przyjemnie głaskały, rad zresztą ze skromnego dotąd zachowania się syna, szturchnął go w łokieć i zachęcił.

– Pij, kiedy pan starszyna każe...

Zupełnie już ośmielony i bardzo rozweselony, Klemens nie podniósł tym razem szklanki wprost do ust, ale podniósł ją w górę z takim gestem, że aż część miodu wylała się z niej na stół, przy tym sam podskoczył.

– K a b y tak koń brykał! – zawołał i dopiero szklanice do dna wychylił.

Koncept ten podobał się otaczającym, którzy także szklanki swe nad głowy podnosząc jedni po drugich powtarzali:

– K a b y tak koń brykał, panie starszyno, k a b y tak koń brykał!

Stosowało się to do konia tego, którego dziś od Piotra kupił starszyna. Wesoły z natury, a może i interes w tym swój mający, Anton Budrak, starosta Suchej Doliny, krzyknął na arendarza jeszcze o garniec miodu. Teraz on starszynę i całą kompanię wzajemnie poczęstuje. Kilka głosów odezwało się:

– Nie c h c e m o b o l s z m i o d u; kiedy t r a c h t u j e s z, to wódki dawaj!

Budrak krzyknął o wódkę, a starszynie, który miód wołał, trunek ten do szklanki lejąc, zaczął:

– J e n t e r e s jest taki, panie starszyno. C h c e m o proces o te grunta i łąki zacząć... K a b y dawność nie zaszła... co wiecie o tym, to gadajcie... może cokolwiek nam poradzicie. J e n t e- r e s jest taki...

I choć już wiele miodu a trochę wódki wypił, dość przytomnie jeszcze ważną dla całej wsi sprawę opowiadać zaczął. Ale Piotr przebił mu mowę i głos przed starszyną zabrał. Maksym Budrak i trzej Łabudowie jednemu i drugiemu przerywali, z czego zrobił się wielki chaos głosów i słów. Ale starszyna do publicznych zapraw był już nieco zaprawionym.

– Po kolei, panowie gromada – zawołał – po kolei h a w a r y c i e. Wprzód jeden, potem drugi, a ja będę słuchać. Ja między wami wszystkimi n a j w y ż s z e j s z y i wszyscy wy do mnie jak do ojca...

– Jak do ojca! – chórem wszyscy potwierdzili, a w tym momencie pijany Szymon przytoczył się ku starszynie i w łokieć go całując zaczął:

– Ja do was, panie starszyno, jak do ojca... gospodarstwa nie sprzedawajcie... h o r k a j a bieda mnie i dziatkom moim...

Parę pięści wyciągnęło się i odepchnęło pijaka, który też krokiem chwiejnym polazł ku arendarzowi mrużąc:

– Chackielku, wódki daj... kiedy Boga boisz się, jeszcze ze dwa kruczki daj... jeszcze z parę złotych mam... zapłacę... H o r k a j a bieda...

Klemens ujrzawszy, że pomiędzy starszyną i gospodarzami zanoszą się na poważną rozmowę o interesie, wysunął się z tego grona i poszedł do innego, które przed kominem składało kilkanaście kobiet. Jadły one także to, co z domów przywiozły, o targu dzisiejszym rozprawiły, sprzeczały się lub różne swe troski wzajemnie sobie opowiadały. Przy zbliżeniu się Klemensa w gromadce tej wnet rozległy się piskliwe krzyki i chichoty. Dwoma szklankami miodu rozweselony i uzuchwalony parobek znajomą jakąś młodycę z Suchej Doliny w ramię uszczypnął, a drugiej coś takiego do ucha powiedział, że zaczerwieniła się jak piwonia i twarz ręką od niego zasłoniła. Inne, starsze, niby gniewając się, niby żartując pięściami go odpychały i krzyczały, aby sobie do mężczyzn szedł. Wkrótce jednak ucichły wszystkie i wspinając się na palce nóg jedne przez drugie patrzeć zaczęły na przedmiot, który parobek zza siermięgi wyjął i im pokazywał. Przedmiotem tym był spory obrazek przedstawiający jakąś świętą i oprawiony w ramki pokryte złożonym papierem. Święta miała czerwoną szatę, złotą koronę nad głową, a w rękę trzymała błękitną palmę. Grubo nakładane jaskrawe farby obraz-

ka i lśniaca przed ogniem pozłota ramek wprawiły grono kobiet w pełen zdumienia zachwyt. Szeroko otwierały oczy i usta, patrzyły, lubowały się i dopytywać się zaczęły, czy Klemens dla siebie śliczną i świętą rzecz tę kupił, czy dla kogo innego? On wiedział dobrze, dla kogo obrazek ten kupił, ale nikomu o tym nie powiedział i zanośliwie śmiejąc się z ciekawości i chciwości, które malowały się na twarzach bab, znowu go za siermięgę schował. Wtem z gromady gwarzącej i pijącej u okna zawołał go mały, ruchliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopska, a wpół już ze szlachecka ubrany, leśnik z pobliskiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

– Klemens! – wołał – hej, Klemens! wypij no z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarkę i w szal wesołości wpadając ku stojącej w kącie beczce poskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niej wodę na podłogę wylał.

– K a b y krowa tyle mleka dawała! – krzyknął.

Grzmot śmiechu zatrząsł izbą, kobiety piszczały, spódnice podnosiły i do przeciwległych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął niosąc po spadzistości nierównej podłogi rzucone wprzód na ziemię skorupki jaj, łupiny ogórków, głowy i ogony śledziów. Klemens zniknął w wirze kilkunastu chłopów, którzy go z czarkami w rękach otoczyli, a pomiędzy którymi był także Szymon pociągający go wciąż za rękaw i z czarką w ręku mruczący:

– Pożycz h r o s z y, Klemens, z m i ł u j s i a, pożycz... choć złotówkę... wszystkie swoje już przepił... H o r k a j a doła mnie i dziatkom moim...

Zmrok zapadł zupełny. Posługacze karczemni postawili na stołach w różnych miejscach izby trzy cienkie łojówki w mosiężnych i odtłuszczonych lichtarzach.

Stepan Dziurdzia głośno do tej pory przywodził w niewielkiej jakiejś gromadce, widocznie uszczęśliwiony tym, że choć raz gdziekolwiek i komukolwiek mógł przywozić. Kiedy błysnęły światełka łojówek, spostrzegł on starszynę otoczonego mieszkańcami Suchej Doliny i poważnie coś do nich prawiącego. Na brązową, pomarszczoną twarz Stepana wybijały się rumieńce pochodzące od żywych rozpraw, w których rej wiódł, i od wódki, którą wypił. Zaciekawilo go jednak, co też sąsiedzi ze starszyną rozprawiają, i przysunawszy się ku grupie, którą składali, słuchać zaczął:

– Tak już trzeba, panowie gromada – prawil starszyna – inaczej nie można, bez tego już nic. P l a n i p o t e n t ó w sobie wybierzcie, żeby od was wszystkich do miasta poszli i h a d w o- k a t a najęli. P i e r w s z a rzecz p l a n i p o t e n t ó w wybrać... a druga h a d w o k a t a nając. Całą gromadą nie będziecie do h a d w o k a t a i do sądu chodzić... P l a n i p o t e n t y wasze będą chodzić... którego tam dnia do starosty zejdźcie się wszyscy i naradę zróbcie; kogo wybrać, kto u was najmądrzejszy i na największe u w a ż a n i e zasługuje!

Dziurdziowie, Budrakowie, Łabudowie i kilku innych przed siedzącym starszyną stali uważnie słów jego słuchając. Gdy skończył, parę głosów ozwało się:

– Na co nam na później odkładać? My i teraz wybór zrobić możemy... niechaj pan starszyna świadkiem będzie.

– Ale – potwierdzili inni – możemy, czemu nie możemy.

– Nie wszyscy my tu – ktoś zaprotestował.

– Nic nie szkodzi. Co my t u t postanowim, na to zgodzą się wszyscy – twierdził starosta Suchej Doliny, Anton Budrak.

– A ile tych p l a n i p o t e n t ó w trzeba? – zapytał Piotr.

– Trzech – odpowiedział starszyna – więcej nie trzeba, ale trzech, to już koniecznie trzeba.

Stepan w tej chwili pociągnął Piotra za rękaw i szepnął:

– S k a ż y, Pietruk, żeby mnie na p l a n i p o t e n t a wybrali...

Ale kilkanaście głosów szepet jego zagłuszyło.

– Najpierwej to już starostę prosim...

Okragła, pulchna, z konopiastym wąsem i zadartym nosem twarz Antona zajaśniała na kształt księżyca w pełni.

– Dobrze – odpowiedział – będę, czemu nie będę? A więcej kogo?

Stepan już pięścią całą w bok Piotra uderzył.

– Nu, odezwiw się... s k a ż y, żeby mnie wybrali...

Oczy mu aż gorzały żądzą odznaczenia, a może i przywiązanej doń ruchliwej czynności. Ale chłopci plenipotentem drugim obwołali starego Łabudę, który drapiąc się w łysinę prosił, aby go od c h ł o p o t ó w tych uwolnili, a obciążyli nimi lepiej którego z jego synów. Najstarszy, Pilip, oświadczył sam, że nie odmówi, choć mu ciężko będzie gospodarstwo opuszczać i do miasta jeździć, ale nie odmówi.

– Niechaj b u d z i e Pilip – zgodzili się chłopci.

– Nu, a trzeci? – zapytał starszyna.

– Trzecim niechaj już będzie Pietruk Dziurdzia...

Piotr wyprostował się tak, jak kiedyś, gdy go za starostę wybierano, i z rozjaśnioną twarzą za uważanie podziękował. Stepan go pięścią w bok uderzył.

– S k a ż y, Pietruk, żeby za czwartego mnie obrali...

Piotr rękę do włosów z zakłopotania niosąc odezwał się jednak:

– Może by na czwartego Stepanka wybrać.

– Nie trzeba czwartego – zakrzyczano go ze stron wszystkich – pan starszyna powiedział, że trzech trzeba, więcej nie trzeba...

– To może na moje miejsce Stepana obierzecie – zaproponował Pilip Łabuda. – I o w s z e m – dodał – mnie ciężko będzie i nie chce się...

– Nie c h c e m o Stepana! – krzyknęli wszyscy – na co nam on? z drugimi p l a n i p o t e n- t a m i tylko klócić się będzie... o pierwszeństwo i o wszystko...

– Jeszcze h a d w o k a t a wybije – ozwał się ktoś ze śmiechem.

Stepanowi krwiste rumieńce buchnęły do twarzy, w sam środek gromady wparł się i hałasować zaczął. Dowodził, że wybory nie były prawne, bo wszyscy gospodarze Suchej Doliny nie byli tu obecni, że jego na p l a n i p o t e n t a wybrać muszą, a jeżeli nie, to on do sądu pójdzie... Wszczęła się kłótnia i przyszłoby pewnie do pięści, ale starszyna podniósł się z ławy i na Stepana krzyczeć zaczął, grubych wyrazów i przezwisk nie żałując. Czul się on osobiście obrażonym.

– Co to nieprawne? – krzyczał – kiedy ja tu jestem, to wszystko prawne! Ja tu n a j w y ż- s z e j s z y i wszystko stanowiąc mogę... Mnie sam cesarz nad wami utwierdził... jeżeli zechcę, ulaskawię, a jeżeli zechcę, do k a t o r g i ześlę...

Stepan zmieszał się na chwilę, ale wnet potem z zawadiacką miną na arendarza o garniec wódki krzyknął i wraz z kilku przyjaźniejszymi sobie ludźmi opodal nieco od starszyny zawzięcie pić zaczął.

Piotr tymczasem, trunkiem rozmarzony, spadłym nań zaszczytem rozweselony, z kolei częstował starszynę i sąsiadów.

– D z i a k u j u! panie starszyno! d z i a k u j u, panowie gromada! – nieustannie powtarzał, a potem stanąwszy nad Antonem Budrakiem z czarką w rękę i przymrużonymi oczami, mówił:

– Ty p l a n i p o t e n t i j a p l a n i p o t e n t, ty starosta i ja starosta... tak i p o c a ł u j m y s i a...

Całowali się tak głośno, jakby korki z butelek wyskakiwały...

Ogólna zresztą pijatyka dosięgła w tej chwili stopnia wysokiego, ale odznaczała ją szczególność pewna. Ludzi, którzy by, tak jak Szymon Dziurdzia, upijali się na swoją rękę i bez przyczyny żadnej, było bardzo niewiele. Ogromna większość piła na zabój, ale z powodu traktamentów i okazji, a okazją było tu wszystko: koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie się znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, pro-

jekt ożenienia syna lub wydania za mąż córki. Wesołe czy smutne zdarzenie, zysk czy strata, przyjaźń czy kłótnia, nadzieja czy żal, wszystko wywoływało traktament po wiele razy z kolei odwzajemniany. W izbie panował niesłychany chaos głosów na przeróżne tony nastrojonych i poruszeń, przeróżne stopnie i natury pijaństwa objawiających. W jednym miejscu izby toczyła się bójka zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych; w innym przyciśnięto do ściany Żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów łajał chłopów przeraźliwie go łajających; gdzie indziej dwaj parobcy ujawszy się pod boki, do dwóch rozsierzdzonych kogutów podobni, kołysali się przed sobą, monotonnym głosem wymawiając wciąż jedne i te same słowa. Kilku mieszkańców Suchej Doliny z czarkami w rękach lazło całować starszyne, który także mocno podpity rozparł się na ławie i tak już wielką swą czapkę głęboko na twarz nasunął, że samą prawie rudą brodę spod niej widać było. Chłopi jednak dostawali się mu do policzków i cmokając w nie powtarzali:

– Ty z nas n a j w y ż s z e j s z y, ty nad nami wszystkimi jak ojciec...

Szymon, przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadiacką:

– Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmieję! – krzyczał – bo jak opiszesz, zabiję... dali-bóg, zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję... i b u d z i e t o b i e s z a b a s z!

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

– U ciebie córka – prawię – a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg n a j w y ż s z e j s z y.

A Budrak jednocześnie mówił:

– U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu nie ma być woli boskiej... będzie... tylko swatów przysyłaj...

– Przysyłaj! – twierdząco powtórzył Piotr i podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczaniem zaczął znowu:

– U ciebie córka, u mnie syn... niechaj, j a k t o j k a z a u, boska siła przezwycięży czartowską siłę...

Wtem Klemens ojca za rękaw kozucha pociągnął:

– J e d z i o m do chaty, tatku – cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijanym, ale jeszcze dość przytomnym. Zachciało mu się wracać do domu, aby co prędzej Nastce obrazek oddać. Piotr spojrział na syna zdziwionymi jakby oczami i z gniewem krzyknął:

– A ty chory byłeś! tylko co nie umarłeś! C z a r t o u s k a j a siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

– K a b ona świata nie widziała, ta, co mnie tej biedy narobiła! J e d z i o m do chaty, tatku!

I za rękaw od kozucha ciągnął ku drzwiom ojca, który dając się powodować synowi na Maksyma oglądał się i krzyczał:

– Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskim przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

– A ty czego tu jeszcze łajdaczysz! – krzyknął na krewnego Piotr – do chaty tobie... a to ostatnią kopiejkę przepijesz...

– Już i przepiłem... – wnet prawie zaczął Szymon – już to, co za żyto i groch wziął, do ostatniej kopiejki przepiłem... już i s z a b a s z mnie i dziatkom moim...

Wychodząc Piotr i Klemens wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potem na placyk okryty jeszcze chłopskimi saniami i końmi, choć część pewna biesiadujących rozjechała się już przedtem. Tu zobaczyli Stepana, który z szyi konia swego worek zdejmował i zabierał się do odjazdu.

– Hej, d z i a d ż k u! – krzyknął Klemens – poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby, a potem do Piotra krzyknął:

– A taki, szelmo ty, ja p l a n i p o t e n t e m będę... słyszysz?

– A ty nie łaj się... bo nie ma za co... niechaj będzie pochwalony Pan Bóg n a j w y ż s z e j- s z y na wieki w i e k o u... – odpowiedział Piotr.

Szymon laź także do sań swoich mruczając:

– Nie dała... szelma wiedźma h r o s z y nie dała... k a b ona tego świata nie oglądała... a teraz tobie i dziatkom twoim s z a b a s z!

Troje sań Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechało i drobnym truchcikiem chłopskich koni przesunawszy się przez miasteczko znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nieduży, dziesięć stopni może, nie więcej, ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu. Z góry też śnieg pada, drobniutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białymi chmurami, które ociągnęły całe sklepienie nieba, i choć noc ciemną nie jest, mało co widzieć można przez tę mgłę śnieżną, która pada z góry i podnosi się znad ziemi. Wiatr ją skręca w kłęby lub wielkimi płachtami rozpościera w powietrzu, a światło księżyca zza białych obłoków przenika ruchome jej wnętrze białą światłością, która nie oświeca nic.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchej Doliny i cała prawie prowadząca doń droga wysadzana była drzewami. W śnieżnej mgłę drzewa te szarzały na kształt błędzących po polu widm, ale Dziurdziowie rozpoznawali je od czasu do czasu i zacinając konie coraz więcej przestrzeni za sobą pozostawiali. Żaden z nich nie spał. Piotr czasem z akcentem nabożeństwa wzdychał lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać rozpoczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon, na saniach swych leżąc prawie, stał się dziwnie rozmownym i krzykliwym. Szumiący i gwizdzący wiatr słowa jego zagłuszał, on jednak nie dbając o to, czy jest przez kogo słuchanym, wykrzykiwał, komuś odgrażał się, na coś żalił się i kogoś przeklinał. Nagle Klemens zawołał:

– Ot i Pryhorki!

Taką nazwę nosiło wzgórze obrosłe dębowym i brzoźowym lasem, a o półtorej wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchej Doliny wiódł. Stąd już przestrzeń paru zaledwie wiorst rozdzielała ich ode wsi, a tu także znikaly drzewa przydrożne, a otwierała się gładka równina wzdęta tylko przed samym już krzyżem kilku niskimi pagórkami, których w śnieżnej zamieci zupełnie widać nie było.

Minęli Pryhorki i nic już przed sobą nie widzieli. Białe i białe: na niebie, ziemi i w powietrzu. Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórze. Klemens skręcił lejcami na lewo. Sanie zaryły się zrazu w śniegu.

– Gdzie ty pojechał? – zaszemrał Piotr.

– Dobrze, tatusi, tak trzeba – odparł parobek i raźnie zagwizdał.

W gruncie rzeczy, gdyby go kto zapytał, dlaczego zawrócił na lewo, kiedy od Pryhorek do Suchej Doliny droga wyciągała się prosto jak struna, nie umiałby odpowiedzieć. Był pewnym, że wcale nie zawracał, i w potrzebie uroczyście by to zaprzysiągł.

Tamci dwaj nie kierowali wcale końmi swymi. Obaj na wznak na saniach leżeli: Stepan ponuro milcząc i jakby wsłuchując się w szmery wiatru, Szymon – wciąż gadając i wykrzykując. Jechali. Konie czasem tonały w śniegu i wydostawały się zeń z trudnością; czasem na gładszej przestrzeni biegły sobie truchcikiem; czasem też pod płozami sań czuć było zagony, które wiatr gołocił. Nie drogą jechali, ale polem, i nie zwracali na to żadnej uwagi, dopóki znowu nie zamajaczyły przed ich oczami wzgórze i las Pryhorek.

– A toż co? – zawołał Klemens – znów Pryhorki?

– Aaa! po jakimu ty jedziesz? – zadziwił się Piotr.

Wyrwał lejce z rąk syna i chcąc uczynić całkiem przeciwnie temu, jak uczynił tamten, konia na prawo skrzył.

– Nie tak! – z sań swoich krzyknął Stepan.

– Tak! n i e b ó j ś, tak – odkrzyknął mu Piotr i jechał znowu dopóty, dopóki koń Piotra nie zagłębił się po kolana w jakimś rowie.

– Aaa! – zadziwił się chłop – t a k i znów nie tak pojechali!

I z niewielką trudnością, wołaniem i ściągnięciem lejców wyrwawszy z rowu tęgiego konika, zawrócił nazad. Dwoje sań innych zawróciło także, ale w ten sposób, że Szymon teraz znalazł się na przedzie. Jechali i jechali, aż znowu Stepan z sań swoich do Piotra krzyknął:

– Znów Pryhorki!

– Pfu! zgiń, przepadnij, nieczysta siło! – splunął Piotr i na Szymona zawołał:

– Skręć nazad!

– N a s z t o mnie nazad, kiedy tak dobrze! – odpowiedział nowy przewodnik.

– Może i dobrze! czy ja wiem – mruknął Piotr.

Klemens trząść się zaczął i dzwonić zębami.

– Tatku – odezwał się – mnie zdaje się, że znów ta choroba mnie bierze!

Choroba go nie brała, ale nieprzyzwyczajonego jeszcze do trunków głowa od upicia się boleć zaczęła, a wicher przenikał kożuch i chłodem wdzierał się aż do szpiku kości. Piotr splunął znowu i szeptać zaczął:

– Panie niebieski, królu ziemski, zlituj się nad nami grzesznymi!...

– Zawracaj! – krzyczał teraz na Szymona Stepan – zawracaj, Szymon! Nie widzisz, że nad staw pojechali?

Rozpoznał wśród śnieżycy cienie drzew rosnących nad brzegiem stawu. Potężny głos jego przebił się przez szum wiatru i dosięgnął uszu Piotra, który wnet konia zawrócił. Za nim zawrócili się dwaj inni.

Godzina przeszła upłynęła, odkąd, wpół tylko przytomni i śnieżną zamiecią oślepieni, krążyli tak po równinie zwracając się w różne strony i nie mogąc trafić na drogę, którą po razy wiele w różnych już punktach wszerek przejechali.

– Czort tuman na oczy puszcza! – odezwał się Piotr.

– Ale – potwierdził Klemens coraz więcej trzęsąc się od zimna.

Stepan do siebie zamruczał:

– Przyjdzie się człowiekowi jak psu zmarznąć.

A po chwili dodał:

– Jakby mnie nie stało, to ta n i e h o d n a ze wszystkim by już Kaziuka zameczyła...

I westchnął.

A Szymon na swoich saniach lamentował:

– Oj, h o r k a j a, h o r k a j a doła mnie i dziatkom moim!

Wtem Klemens podniósł się trochę na saniach i tonem wielkiego przestachu krzyknął:

– Znów Pryhorki!...

Piotr podniósł się także i wzrok wyteżył.

– A jakże! Pryhorki – potwierdził. – Czort wodzi, taki już, nie inaczej... Czort uwziął się dziś na nas, tuman w oczy rzuca i wodzi...

– Po jednym miejscu wodzi... – zauważył Klemens.

– Ale, po jednym miejscu. Czort nie inaczej... złaż z sań...

Wysiadł z sań i syna wołał:

– B u d z i e m drogi szukać...

Wysiedli obaj, a nadjeżdżające sanie Stepana z tymi, które się zatrzymały, zetknęły się tak blisko, że płozami zaczęły się o ich płozy.

– C h a d z i o m drogi szukać!... – krzyknął Piotr na Stepana i Szymona.

Wszyscy czterej brnąc w śniegu postąpili kroków kilka, wtem Klemens zawołał:

– B a c z y s z, tatku, b a c z y s z? (widzisz?)

Rękę wyciągał do szarzejącego, ruchomego cienia, który teraz właśnie wychylił się zza lasu Pryhorek i dość z bliska powoli przesunął się w śnieżnej mgle.

– W imię Ojca i Syna... – przeżegnał się Piotr – zgiń, przepadnij, nieczysta siło...

Stepan, najodważniejszy, parę kroków jeszcze naprzód postąpił.

– Czort czy baba? – wahającym się głosem wymówił.

– Baba... – zaczął Szymon – szelma baba, h r o s z y nie dała, wiedźma ta... ja jej jak matki prosił... Oho! poczekaj!

I puścił się naprzód. Po paru sekundach całą siłą swych pijanych nóg ku zarytym w śniegu saniom powracał. Przypadł do swoich sań i sapiąc, klnąc wyciągać z nich zaczął jeden z poprzecznych drągów składających siedzenie i przykrytych słomą.

– Ona sama – bełkotał – wiedźma ta... czortowa przyjaciółka... kowalicha p r o k l a t a j a... h r o s z y nie dała, a po nocy ludzi na zamarzniecie wodzi...

– Ona! znów ona! – krzyknął Piotr i także poprzeczny drąg z sań wyciągać zaczął.

– Niechaj czortowska przepadnie przed boską siłą... niechaj boska siła przezwycięży czortowska siłą... P o h a n a dusza jej... synka mnie zgubić chciała, a teraz znów na polu zamrozić, niedoczekanie jej...

– Czego ona do naszej rodziny przyczepiła się i prześladowuje... – krzyknął Klemens. – Czy to już moja młodzieńka głowa przepadać ma przez nią?...

Stepan tchu z ust nie wypuszczał, ale także poprzecznice z wozu wyciągał...

W napełniających świat białych ciemnościach twarze ich niewidziane były, ale z głośnych sapań ich piersi, z ponurych mruceń i pijanych wykrzyków bił wzbierający wulkan namiętności najsrozszych: trwogi i zemsty. Minuta upłynęła, a w mgle śniegowej o kilkanaście kroków od trojga skupionych z sobą sań zaciemniała szamocąca się gromadka ludzi i wzniosły się krzyki i jęki straszne, które jednak wicher przykrywał swym szumem i wraz z pogwizdami swymi niósł na szerokie, burzą huczące pola...

Pięć minut upłynęło, a wielka fala wiatru rozsuwając na chwilę mgłę śnieżną ukazała drogę, jak struna prosto wyciągającą się w przestrzeni, a na tej drodze troje sań, na których siedzieli czterej chłopci. Czartowską moc zniszczyli i drogę znaleźli. Konie zacięli, przeciągłymi głosy na nie zawołali, szybko posunęli się gładkim szlakiem drogi i w gęstych znowu zamieciach śnieżnych zniknęli. Za nimi Pietrusia, żona Michała kowala, nieruchomą plamą ciemniała na białej ziemi. Kijami połamali jej pierś i żebra, młodą twarz krwią zalali i zostawili na pustym polu, na szerokim polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukowi i kawkom na strawę.

ZAKOŃCZENIE

W sali sądowej gorąco od ścisku i światła. Od długich rozpraw i późnej godziny nocnej ciężkie znużenie napełnia powietrze. Drzwi szczelnie zamknięte i pilnie strzeżone otwierają się na koniec. Z głuchym szmerem powstaje z miejsc swych publiczność; obwinieni podnoszą się także w swej ławie. Długim szeregiem sędziowie przysięgli opuszczają miejsce swych obrad; jeden z nich w postawie pełnej powagi donośnym głosem odczytuje cztery pytania, z których każde stosuje się do jednego z obwinionych, a zakończone być ma odpowiedzią bardzo krótką: winien, niewinien.

Cztery razy w głębokiej ciszy po rześście oświetlonej i tłumem ludzi napełnionej sali donośnie rozbrzmiewa wyraz:

– Winien, winien, winien, winien.

Po krótkiej przerwie głos inny donośnie ogłasza wyrok:

– Piotr, Stepan, Szymon i Klemens Dziurdziowie skazani na pozbawienie wszelkich praw ludzkich i obywatelskich, dziesięć lat ciężkich robót w kopalniach i dośmiertne pozostanie w Syberii.

Skazańcy słuchali, słuchali. Głos ogłaszającego wyrok umilkł... Stało się. Po bladej jak chusta twarzy Piotra jedna za drugą ciekły łzy, ciche, ciężkie, a ręce jego podnosiły się z wolna i splatały u piersi.

– Panie niebieski, k r o l u ziemski, niech b u d z i e wola Twoja jak w niebiesiech, tak i na ziemi – wymówił głośno, wyraźnie i zapatrzył się w górę.

Stepan ani drgnął, tylko na zmiętą w tysiąc zmarszczek twarz jego spadł krwisty rumieniec, a z czarnych oczu strzeliła rozpaczna i zarazem groźna błyskawica.

Szymon pozostał jak był: z obwisłymi rękami, otwartymi usty i mokrym, osłupiałym wzrokiem. Zdawać się mogło, że wszystko na świecie było już mu obojętnym albo że nawet nie rozumiał wcale, czym odtąd miała mu być przyszłość.

Ale za tym pijakiem i głupcem podniosły się w górę dwa silne, młodzieńcze ramiona i dwie dłonie, które nie miały jeszcze czasu stwardnieć i szernieć w pracy, konwulsyjnym ruchem wpiły się w gęstwinę płowych jak len włosów. Włosy swe w obie garście Klemens pochwycił i głośnym płaczem ryknął...

Potem po jednym ławę swoją opuszczać zaczęli i powoli, ciężko stąpając, z kolei wchodzili w niskie drzwi, które otworzyły się przed nimi, a za którymi widać było boczną sień budynku ciemnością swą odbijającą czarno od rzęskiego oświetlenia sali. Z powodzi światła jeden po drugim wstępowali oni w tę czarną ciemność; za ostatnim z nich zniknęli dwaj zamykający pochód zbrojni żołnierze. Niskie drzwi zamknęły się z wolna, bez szelestu...